BIULETYN IPN

pamięć.pl

nr 7-8 (16-17)/2013

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Spory historyków: Generał Sikorski – mąż stanu czy przypadkowy bohater?

Atak spod ziemi

Internowany Lech Wałęsa

Dodatek specjalny:
płyta z filmami Jacka Petryckiego *A może tego nie wolno mówić...* i Mai Baczyńskiej *Miła, padnij!*

Cena 9 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319

numer indeksu 284521
nakład 9500 egz.

W KINACH 13 WRZEŚNIA

KINO Z KLASĄ

Zabierz klasę do kina!

PIERWSZY OD WIELU LAT FILM FABULARNY O **POWSTANIU WARSZAWSKIM!**

13 września na ekrany kin trafi SIERPNIOWE NIEBO. 63 DNI CHWAŁY – wielowątkowa i poruszająca historia będąca hołdem dla młodych Polaków walczących w Powstaniu Warszawskim. W filmie wykorzystano nieznane do tej pory materiały filmowe nakręcone w trakcie Powstania, które z niespotykaną siłą oddają realizm walk na ulicach Warszawy.

Dystrybutor filmu we współpracy ze specjalistami przygotował akcję edukacyjną **KINO Z KLASĄ**. Zapraszamy nauczycieli do skorzystania z materiałów edukacyjnych, zawierających m.in. scenariusze lekcji języka polskiego, historii i wiedzy o kulturze.
Można je pobrać z oficjalnej strony filmu: **www.sierpnioweniebo.pl**

Informacje: **Irena Kruglicz-Kamińska**, Specjalista ds. Edukacji Filmowej, irena@kinoswiat.pl; tel. **(22) 840-68-01**

**FILM POD OPIEKĄ MERYTORYCZNĄ MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO.
PATRONAMI HONOROWYMI SĄ PREZYDENT MIASTA STOŁECZNEGO WARSZAWY
ORAZ ŚWIATOWY ZWIĄZEK ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ.
PARTNEREM AKCJI EDUKACYJNEJ JEST INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ.**

„Pod tym sierpniowym niebem, walcząc w drużynie Orląt na warszawskiej Starówce, mój ojciec wszedł w dojrzałość. Poszły w bój warszawskie dzieci – jak pisał w znanej piosence mój stryj. Kto dziś o nich pamięta? Gdzie jest dzisiaj tamto sierpniowe niebo? Kto dziś jest nosicielem tamtych, wzniosłych ideałów? Nowe elity, warszawska inteligencja, czy może dzieci ulicy słuchające hip-hopu, składające wieńce w miejscach pamięci, malujące na ścianach graffiti z symbolem Polski Walczącej?"

Irek Dobrowolski, reżyser

„Najlepszy film, jaki widziałem"

gen. Janusz Brochwicz-Lewiński „Gryf", żołnierz AK z Batalionu Parasol, legendarny obrońca Pałacyku Michla

BIULETYN IPN
pamięć.pl
nr 7-8 (16-17)/2013

SPIS TREŚCI

3 AKTUALNOŚCI IPN
4 KALENDARIUM
6 Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON
8 Krzysztof Gottesman, **Dziewięćdziesiąte urodziny generała**

STOPKLATKA
10 Katarzyna Adamów, **Pierwsza milicjantka Polski Ludowej**

Z ARCHIWUM IPN
14 Grzegorz Majchrzak, **Instalacja podsłuchu pokojowego**

WYWIAD
16 **Oferta Hitlera** – rozmowa z prof. Rolfem-Dieterem Müllerem, niemieckim historykiem wojskowości

SPORY HISTORYKÓW
21 Przemysław Wywiał, **Mąż stanu**
24 Andrzej Krajewski, **Przypadkowy bohater**

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU
29 Radosław Malinowski, **Aba Poland – tych lubiliśmy!**
33 Waldemar Kowalski, **Nie takie straszne życie**
36 Szymon Nowak, **Atak spod ziemi**
40 Katarzyna Utracka, **Likwidatorzy w Powstaniu**
45 Karolina Wichowska, **Na tropie Małego Katynia**
48 Daniel Koreś, **Tajemnice generała Gano**
54 Tomasz Kozłowski, **Więzień stanu**
60 Bogusław Tracz, **Długowłosi pątnicy**
66 Jan Oleński, **Bilety na cukier**

Fot. AIPN

Fot. NAC

Fot. ze zbiorów T. Zawistowskiego

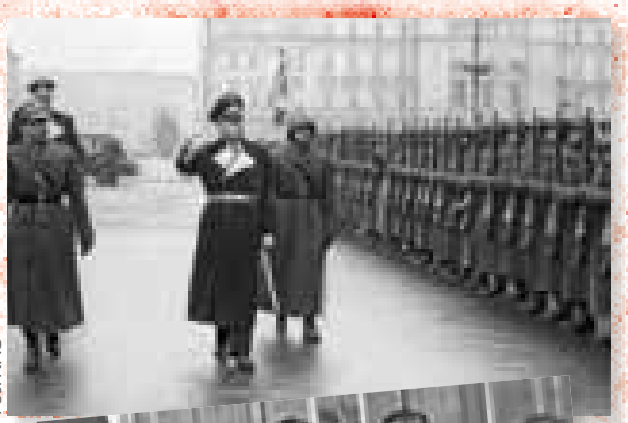

Fot. NAC

Fot. NAC

ŚLEDZTWO IPN
68 Ewa Koj, **Śledztwo gibraltarskie**

PAMIĘTAM JAK DZIŚ...
73 **Gruzy i kamienie** – relacja Anny Katanowskiej

PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU
77 Jerzy Eisler, **Gangsterzy i filantropi**

ORZEŁ BIAŁY
81 Tomasz Zawistowski, **Orły na koszulkach obozowej drużyny piłki nożnej**

Z BRONIĄ W RĘKU
85 Michał Mackiewicz, **Konspiracyjne peemy**

EDUKACJA HISTORYCZNA
89 Karolina Wichowska, **Mądrzy i odważni**
90 **Wielka wojna na planszy** – rozmowa ze Zdzisławem Zaborskim
94 Olga Tumińska, **Jak uczyć o Wołyniu?**

HISTORIA W KINIE
96 Filip Gańczak, **Nasze matki, wasz antysemityzm**
98 Łukasz Kubacki, **Miasto sprzed ruin**

100 RECENZJE
105 BIBLIOTEKA IPN

Siedemdziesiąt lat temu wydarzyła się pierwsza z dwóch katastrof lotniczych w historii Polski, w których zginęli przywódcy państwa. Samolot Liberator II AL523 z premierem rządu polskiego na uchodźstwie i Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych gen. Władysławem Sikorskim na pokładzie spadł do wody u stóp skały Gibraltaru. Od razu pojawiło się podejrzenie zamachu. Hipotezy te nie milkną do dziś, choć większość historyków skłania się ku stwierdzeniu, że był to jednak wypadek. Niezależnie od zasadności teorii spiskowych, równie szybko pojawiły się opinie, komu i dlaczego śmierć gen. Sikorskiego była na rękę. Dotyczyły one nie tylko aliantów i wrogów Polski (w tym nominalnego sojusznika, a w istocie nieprzyjaciela – ZSRR), lecz także polskich polityków i wojskowych. Czyje racje (stanu) teraz zwyciężą? – zastanawiano się wówczas. Postać gen. Sikorskiego w tym numerze „Pamięci.pl" stała się przedmiotem sporu historyków: Andrzej Krajewski i Przemysław Wywiał kreślą portret Naczelnego Wodza zupełnie odmiennymi kreskami. W 2008 roku, przy okazji 65. rocznicy śmierci generała, powrócił temat okoliczności katastrofy. W rezultacie przeprowadzono ekshumację szczątków Władysława Sikorskiego. O sprawie tej pisze prokurator IPN Ewa Koj.

W numerze przypominamy też sylwetkę innego generała – mniej znanego być może z powodu zadań, które wykonywał. Stanisław Gano szefował wywiadowi Polskich Sił Zbrojnych. Po 1945 roku nie wrócił do Polski i wkrótce znalazł się na liście oficerów, których władza komunistyczna pozbawiła polskiego obywatelstwa. O zasługach generała oraz o zarzutach stawianych mu i przez środowiska emigracyjne, i władzę „ludową" pisze Daniel Koreś.

W lipcu 1945 roku na Suwalszczyźnie miała miejsce obława. NKWD do spółki z miejscową bezpieką i milicją aresztowały i wywiozły w nieznane do dziś miejsce egzekucji prawie sześćset osób podejrzewanych o współpracę z antykomunistycznym podziemiem. Prawdę, o której przez cały bez mała okres Polski Ludowej nie wolno było mówić, a którą przechowywali mieszkańcy Suwalszczyzny, przedstawił dokumentalista Jacek Petrycki w filmie *A very polish secret / A może tego nie wolno mówić...* Dokument, który powstał pod koniec lat osiemdziesiątych w tajemnicy przed komunistycznymi władzami, dołączamy na płycie. O odkrywaniu historii Małego Katynia i o działalności Obywatelskiego Komitetu Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 roku – w artykule Karoliny Wichowskiej.

Pamiętamy też o Powstaniu Warszawskim: Szymon Nowak opisuje podziemny desant powstańców na pl. Bankowy, Katarzyna Utracka – działalność oddziału 993/W, a Michał Mackiewicz powstańcze peemy. Na dołączonej do numeru płycie zamieściliśmy także film *Miła, padnij!*, przedstawiający historię uczestniczki powstania.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski

pamięć.pl

Wydawca:
Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa:
dr hab. Grzegorz Berendt, dr hab. Robert Klementowski, dr Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski, dr Agnieszka Łuczak, dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski, dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący), dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Dawid Golik, Agnieszka Jaczyńska, dr Andrzej Krajewski, Jan Olaszek, Kamila Sachnowska, dr Paweł Sasanka, dr Magdalena Semczyszyn, Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:
Andrzej Brzozowski (redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56; e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak, Jakub Gołębiewski, Andrzej Sujka, Karolina Wichowska

Sekretariat: Maria Wiśniewska tel. 22 431-83-47, faks 22 431 83 11

Korekta: dr Magdalena Baj

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński, Marcin Koc, Sylwia Szafrańska

Redakcja techniczna: Andrzej Broniak

Skład i łamanie: Sylwia Szafrańska

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a, Warszawa

Adres do korespondencji: ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa www.ipn.gov.pl

Druk: Centrum Usług Wspólnych ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:

Legenda wieży spadochronowej

Katowicka wieża spadochronowa to jeden z symboli wojny obronnej 1939 roku. W powojennej Polsce wiele pisano o bohaterskiej, wielogodzinnej obronie polskich harcerzy, a mit kolejnych „polskich Termopil" spopularyzował Tadeusz Gołba w powieści dla młodzieży. Jak było naprawdę? O roli i obrońcach wieży we wrześniu 1939 roku pisze Grzegorz Bębnik.

Sprostowanie

W indeksie książki mojego autorstwa pt. *Studencki Komitet Solidarności we Wrocławiu 1977–1980* (Warszawa 2011) do nazwiska Mariana Szczęśniaka błędnie przypisano pseudonim TW „Rep". Jako autor czuję się w obowiązku serdecznie przeprosić za tę pomyłkę Pana Mariana Szczęśniaka oraz wszystkich Czytelników.

Kamil Dworaczek

■ Instytut Pamięci Narodowej uruchomił nowy portal internetowy **www.zbrodniawolynska.pl**. Jego zadaniem jest przybliżenie prawdy o tym, co wydarzyło się siedemdziesiąt lat temu na Wołyniu, w Galicji Wschodniej i na innych terenach, gdzie tysiące Polaków padło ofiarą ludobójczej czystki etnicznej prowadzonej przez ukraińskich nacjonalistów.

Wyniki badań opinii publicznej w Polsce i na Ukrainie pokazują, że wiedza na temat tej zbrodni wciąż jest znikoma. – Uważamy, że droga do pojednania prowadzi przez poznanie i wypowiedzenie prawdy nawet o najtrudniejszej, najboleśniejszej przeszłości – tłumaczy prezes IPN dr Łukasz Kamiński.

Portal dostępny jest w językach polskim, ukraińskim i angielskim. Oferuje podstawowe wiadomości na temat zbrodni wołyńskiej – jej genezy, przebiegu i skutków – a także m.in. relacje świadków, galerię zdjęć i informacje o śledztwach prowadzonych przez prokuratorów IPN. W zakładce „Czytelnia" można znaleźć liczne publikacje w formie elektronicznej, w tym książkę Romualda Niedzielki *Kresowa księga sprawiedliwych. O Ukraińcach ratujących Polaków poddanych eksterminacji przez OUN i UPA*.

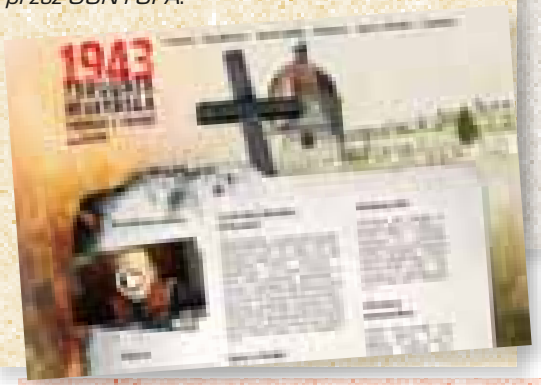

■ Na początku lipca na terenie dawnego Więzienia Karno-Śledczego przy ul. Kopernika **w Białymstoku** (dziś Areszt Śledczy) Instytut Pamięci Narodowej przeprowadził kilkudniowe **prace sondażowo-poszukiwawcze**, mające na celu odnalezienie szczątków ofiar zbrodni komunistycznych.

Fot. M. Zwolski

Obszar do badań wytypowano na podstawie relacji świadków oraz dokumentów archiwalnych. – Na terenie Białostocczyzny działało po wojnie silne podziemie antykomunistyczne. Władze bezwzględnie je zwalczały, w latach 1944–1956 wykonano tam ponad trzysta wyroków śmierci – mówi dr hab. Krzysztof Szwagrzyk, pełnomocnik Prezesa IPN ds. poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego.

W trakcie lipcowych prac ekipa pod jego kierownictwem odnalazła m.in. szkielet mężczyzny w wieku ok. 35–40 lat, a także liczne kości należące mężczyzny w wieku 17–20 lat, w tym fragmenty czaszki ze śladami postrzału z broni palnej. Natrafiono również na monety, obrączkę, pierścionek, fragmenty grzebienia i buta.

Odnalezione szczątki zostały zabezpieczone przez policję i przekazane do Zakładu Medycyny Sądowej w Białymstoku. Najprawdopodobniej już jesienią na terenie przylegającym do Aresztu Śledczego ruszą właściwe ekshumacje. IPN szacuje, że mogą tam spoczywać szczątki od kilkudziesięciu do ponad dwustu ofiar komunizmu – ludzi zamordowanych w więzieniu lub zabitych w trakcie potyczek i obław na terenie dawnego województwa białostockiego.

Instytut Pamięci Narodowej już teraz prosi rodziny osób, które mogły zostać pochowane na terenie aresztu w Białymstoku, o kontakt z dr. Marcinem Zwolskim (tel. 609 474 374). Chodzi o pobranie materiału do badań DNA, dających szansę na identyfikację ofiar.

■ Trwa szósty **konkurs „Książka Historyczna Roku"**. O Nagrodę im. Oskara Haleckiego rywalizują autorzy książek i e-booków opisujących losy Polski i Polaków w XX wieku.

Minął już termin nadsyłania zgłoszeń. Nominacje ogłosi do 30 września jury w składzie: prof. Adam Czesław Dobroński, prof. Antoni Dudek, prof. Piotr Franaszek, prof. Grzegorz Łukomski, prof. Andrzej Nowak, prof. Wojciech Roszkowski.

Następnie w drodze głosowania internetowego czytelnicy wybiorą spośród nominowanych najlepsze książki w dwóch kategoriach: książka naukowa i popularnonaukowa. Głosować można będzie od 1 do 31 października na stronie **www.ksiazkahistorycznaroku.pl**. Swoich zwycięzców wyłoni także jury. Laureaci otrzymają statuetki i nagrody pieniężne o łącznej wartości 60 tys. złotych. Uroczysta gala wręczenia nagród odbędzie się w listopadzie. Organizatorami konkursu są Instytut Pamięci Narodowej, Telewizja Polska i Polskie Radio.

Fot. P. Życieński

■ Do końca października **w Białymstoku** można oglądać **wystawę „Byliśmy tu"**, przygotowaną z okazji 70. rocznicy zagłady getta białostockiego. Ekspozycja przedstawia życie codzienne i losy Żydów białostockich w XX wieku: w II RP, w czasie okupacji niemieckiej (1941–1943), a także po wojnie.

W salach Muzeum Podlaskiego (Rynek Kościuszki 10) umieszczono plansze informacyjne oraz fotografie i artefakty, prezentujące dzieje przeszło pięćdziesięciotysięcznej społeczności żydowskiej w międzywojennym Białymstoku oraz tragiczne losy białostockiego getta.

Na dziedzińcu ratusza, a także na ulicach Suraskiej, Kalinowskiego, Odeskiej i na Placu Uniwersyteckim można obejrzeć część plenerową wystawy, obejmującą zdjęcia z okresu II wojny światowej. W holu Opery i Filharmonii Podlaskiej (ul. Odeska 1) zostały zgromadzone artefakty muzealne z powojennych wykopalisk archeologicznych na terenie dawnych dzielnic zamieszkanych przez ludność żydowską.

16 sierpnia, w 70. rocznicę akcji likwidacyjnej w getcie, odbędą się liczne wydarzenia kulturalne. Na wrzesień i październik planowane są zaś zajęcia dla uczniów. Zgłoszenia przyjmują Muzeum Podlaskie (pwiw@muzeum.bialystok.pl, tel. 85 740 77 41 lub 509 336 740) i Instytut Pamięci Narodowej (ewa.rogalewska@ipn.gov.pl, tel. 85 664 57 83).

Organizatorami wystawy są Muzeum Podlaskie, Opera i Filharmonia Podlaska, Oddział IPN w Białymstoku, tamtejszy Urząd Marszałkowski oraz Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

oprac. Filip Gańczak

POSTAĆ MIESIĄCA

Fot. AIPN

Kazimierz Sosnkowski (1885–1969)

8 lipca 1943: Generał Kazimierz Sosnkowski został Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych.

Miał za sobą długą służbę na rzecz ojczyzny. W młodości działał w Polskiej Partii Socjalistycznej i jej Organizacji Bojowej. W 1908 roku utworzył we Lwowie Związek Walki Czynnej – tajną paramilitarną organizację niepodległościową. Był bliskim współpracownikiem Józefa Piłsudskiego. W czasie I wojny światowej kierował sztabem I Brygady Legionów Polskich, walczącej u boku wojsk austro-węgierskich. Przez krótki czas pełnił obowiązki jej dowódcy. W lipcu 1917 roku większość żołnierzy I Brygady odmówiła złożenia przysięgi na wierność cesarzowi Niemiec. Sosnkowski został aresztowany i do listopada 1918 roku był więziony przez Niemców. W czasie wojny z bolszewikami dowodził Armią Rezerwową. Latem 1920 roku, w najtrudniejszym okresie walk, został członkiem Rady Obrony Państwa i ministrem spraw wojskowych. Tę ostatnią funkcję sprawował – z krótką przerwą – do 1924 roku. Podczas zamachu majowego w 1926 roku usiłował popełnić samobójstwo – prawdopodobnie nie umiejąc wybrać między lojalnością wobec Piłsudskiego a wiernością legalnemu rządowi. Został jednak odratowany. W 1936 roku awansował do stopnia generała broni. Jednocześnie nie był dopuszczany do najwyższych stanowisk w armii. Dopiero 10 września 1939 roku – w dziesiątym dniu wojny z Niemcami – objął dowodzenie Frontem Południowym. Podległe mu wojska biły się dzielnie, ale nie zdołały przedrzeć się do Lwowa. Sosnkowski przez Węgry dotarł do Francji. Prezydent RP Władysław Raczkiewicz wyznaczył go na swojego następcę. W emigracyjnym rządzie gen. Władysława Sikorskiego gen. Sosnkowski został ministrem bez teki. Do 30 czerwca 1940 roku był też komendantem głównym Związku Walki Zbrojnej – poprzednika Armii Krajowej. W lipcu 1941 roku ustąpił z rządu, protestując przeciwko podpisaniu z ZSRR układu Sikorski–Majski, pomijającego sprawę wschodnich granic Polski. Stanowisko Naczelnego Wodza objął po tragicznej śmierci gen. Władysława Sikorskiego w katastrofie lotniczej pod Gibraltarem. Był przeciwnikiem wywoływania Powstania Warszawskiego. Gdy wybuchło, bezskutecznie zabiegał o aliancką pomoc dla walczącej Warszawy. Ostro krytykował bezczynność sojuszników Polski. 30 września 1944 roku – pod naciskiem rządu brytyjskiego – został zdymisjonowany. Wkrótce wyjechał do Kanady, gdzie mieszkał do końca życia.

W 1995 roku gen. Sosnkowski został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Wałęsę Orderem Orła Białego.

11 lipca 1943: Przez Wołyń przelała się fala zbrodni, które przeszły do historii jako krwawa niedziela. Tego dnia ukraińscy nacjonaliści wymordowali kilka tysięcy Polaków. Odpowiedzialność za te ludobójcze czystki etniczne ponoszą Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów Stepana Bandery i Ukraińska Powstańcza Armia. Ich celem było stworzenie jednolitego etnicznie państwa ukraińskiego, w którym nie byłoby miejsca dla Polaków.

11 lipca 1943 roku oddziały UPA zaatakowały równocześnie około stu miejscowości, głównie w powiatach włodzimierskim i horochowskim. Na Polaków napadano nie tylko w domach, lecz również w kościołach w czasie mszy. Bezbronni ludzie ginęli od kul, ale też siekier, kos czy noży. Wsie były otaczane kordonem, tak by nie było możliwości ucieczki. Osobom próbującym wyrwać się z pożogi nie sprzyjała także pora roku. „Letnie temperatury pozwalały wprawdzie na nocowanie poza domem, ale krótka lipcowa noc nie dawała Polakom, dosłownie zmienionym w zwierzynę łowną, zbyt wiele czasu na ucieczkę i ukrywanie się pod osłoną ciemności" – tłumaczy w książce *Od rzezi wołyńskiej do akcji Wisła* dr hab. Grzegorz Motyka. Historyk ocenia, że był to dla Polaków jeden z najtragiczniejszych dni w czasie II wojny światowej.

Napady banderowców były kontynuowane w kolejnych dniach i miesiącach. Grzegorz Motyka podaje, że w latach 1943–1947 z rąk ukraińskich – głównie OUN-B i UPA, ale także samoobrony (SKW), ludności cywilnej, Ukraińskiej Policji Pomocniczej (podporządkowanej Niemcom) oraz żołnierzy z dywizji SS „Galizien" – zginęło w sumie ok. 100 tys. Polaków, a w wyniku polskich akcji odwetowych – od 10 do 15 tys. Ukraińców.

Fot. AIPN

Generał Władysław Anders

21 lipca 1943: W Iraku powstał 2. Korpus Polski pod dowództwem gen. Władysława Andersa.

Korpus został wyodrębniony z Polskiej Armii na Wschodzie i liczył kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy. Miał się stać sztandarową jednostką polską, która u boku aliantów zachodnich weźmie udział w wojnie w Europie. Jeszcze latem 1943 roku został przeniesiony do Palestyny, następnie do Egiptu, a stamtąd do południowych Włoch, zajętych już w tym czasie przez wojska anglosaskie. W składzie brytyjskiej 8. Armii żołnierze Andersa wzięli udział w kampanii włoskiej. W maju 1944 – kosztem prawie tysiąca zabitych – zdobyli obsadzone przez Niemców wzgórze Monte Cassino, co otworzyło aliantom drogę na Rzym. Dwa miesiące później oddziały polskie wyzwoliły Ankonę, a w kwietniu 1945 roku Bolonię. Po wojnie korpus pozostał we Włoszech w składzie alianckich wojsk okupacyjnych. W 1946 roku został przetransportowany do Wielkiej Brytanii, a rok później rozwiązany. Część żołnierzy wróciła do zdominowanej przez komunistów Polski (wielu z nich z powodów politycznych trafiło wkrótce do więzień). Większość, w tym gen. Władysław Anders, pozostała jednak na emigracji.

Fot. AIPN

Pochód z udziałem ZMP i młodzieżówek komunistycznych z innych krajów

21 lipca 1948: We Wrocławiu został utworzony Związek Młodzieży Polskiej.
Zajął on miejsce komunistycznego Związku Walki Młodych, socjalistycznej Organizacji Młodzieży TUR, Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici" oraz Związku Młodzieży Demokratycznej, związanego ze Stronnictwem Demokratycznym. Powstała w ten sposób jedna, centralnie sterowana organizacja młodzieżowa, w pełni podporządkowana Polskiej Partii Robotniczej, a później Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Związek Młodzież y Polskiej był wzorowany na sowieckim Komsomole. Służył indoktrynacji młodzieży, kształceniu lojalnych kadr oraz pomocy w przebudowie społeczeństwa na modłę komunistyczną. Miał kształtować „nowego człowieka", bezkrytycznie popierającego system stalinowski. Zetempowcy uczestniczyli w prorządowych manifestacjach, wielkich budowach socjalizmu czy promowaniu „współzawodnictwa pracy". Najbardziej zagorzali aktywiści związku szykanowali rolników niechętnych kolektywizacji, donosili na „nieprawomyślnych" kolegów lub nauczycieli itp. W szczytowym okresie Związek Młodzieży Polskiej skupiał ok. 2 mln (prawie 40 proc.) ludzi w wieku 15–30 lat. „Nie zapisać się do ZMP nie było może aktem heroizmu, ale na pewno wymagało sporo cywilnej odwagi i skazywało na dyskomfort życia. Człowiek stawał się obywatelem drugiej kategorii" – mówił w ubiegłym roku na antenie Polskiego Radia prof. Jerzy Eisler, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie. Brak przynależności do Związku Młodzieży Polskiej mógł np. zamknąć drogę na studia.
ZMP został rozwiązany w styczniu 1957 roku – na fali politycznej odwilży. Zastąpił go Związek Młodzieży Socjalistycznej.

20 sierpnia 1943: W wieku 22 lat zginął Tadeusz Zawadzki „Zośka", harcmistrz, podporucznik Armii Krajowej, późniejszy bohater książki *Kamienie na szaniec* Aleksandra Kamińskiego.
Zawadzki był absolwentem znakomitego gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie (w tej samej klasie uczył się m.in. poeta Krzysztof Kamil Baczyński). W czasie niemieckiej okupacji zaangażował się w działalność w Szarych Szeregach – konspiracyjnym harcerstwie. Objął komendę hufca „Mokotów Górny". W ramach organizacji małego sabotażu „Wawer" hufiec ten z powodzeniem malował na murach „kotwice" – symbol Polski Walczącej. Jesienią 1942 roku Zawadzki został zastępcą ppor. Ryszarda Białousa, dowódcy Oddziału Specjalnego „Jerzy", podległego Kierownictwu Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej. Brał udział w licznych akcjach bojowych i dywersyjnych. Dwukrotnie został odznaczony Krzyżem Walecznych i raz Krzyżem V klasy Orderu Virtuti Militari. W marcu 1943 roku dowodził np. grupą „Atak" w czasie głośnej Akcji pod Arsenałem, w której wyniku odbito z rąk gestapo grupę więźniów, w tym Jana Bytnara „Rudego". W maju tego samego roku uczestniczył pod Celestynowem w innej skutecznej akcji odbicia więźniów. Zginął w czasie ataku na strażnicę graniczną w miejscowości Sieczychy koło Wyszkowa. Nazwę „Zośka" nosił później jeden z batalionów Szarych Szeregów, które wzięły udział w Powstaniu Warszawskim.

20 sierpnia 1968: Rozpoczęła się Operacja Dunaj – interwencja wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji.
Przemiany polityczne w tym kraju, zapoczątkowane w styczniu 1968 roku, wywołały niepokój władz innych państw socjalistycznych, zwłaszcza ZSRR. Alexander Dubček, nowy I sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji, zapowiedział bowiem głębokie reformy, obiecując „socjalizm z ludzką twarzą". W Moskwie obawiano się, że doprowadzi to do obalenia ustroju socjalistycznego. Nie chciano też, by atmosfera Praskiej Wiosny, jak nazywano polityczną liberalizację w Czechosłowacji, udzieliła się społeczeństwom pozostałych krajów bloku wschodniego. W tej sytuacji zapadła decyzja o zbrojnej interwencji. Do Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej weszły wojska ZSRR, PRL, Węgier i Bułgarii. Wsparcia logistycznego udzieliła dodatkowo NRD. Wojsko Polskie reprezentowała 2. Armia, powołana zarządzeniem ministra obrony narodowej gen. Wojciecha Jaruzelskiego i dowodzona przez gen. Floriana Siwickiego. Było to niespełna 30 tys. żołnierzy i 750 czołgów. Wojska czechosłowackie nie stawiły oporu. Polaków przywitały za to napisy „Okupanci, wracajcie do domu". Także na murach polskich miast pojawiały się w tym czasie krytyczne hasła „Precz z agresją na Czechy" czy „Niech żyje wolna Czechosłowacja". W proteście przeciw haniebnej interwencji wojskowej Ryszard Siwiec, były żołnierz Armii Krajowej, dokonał samospalenia w trakcie dożynek na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie.
Polskie jednostki opuściły Czechosłowację jesienią 1968 roku. Pozostały tam jednak oddziały Armii Radzieckiej. Operacja Dunaj skutecznie zahamowała reformy Praskiej Wiosny.

Fot. AIPN

31 sierpnia 1988: Minister spraw wewnętrznych PRL Czesław Kiszczak spotkał się z Lechem Wałęsą, liderem nieuznawanej przez rząd opozycji. Trzygodzinna rozmowa odbyła się w willi MSW przy ul. Zawrat w Warszawie. W dyskusji uczestniczyli również bp Jerzy Dąbrowski i Stanisław Ciosek, członek Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR. Generał Kiszczak domagał się od Wałęsy natychmiastowego wygaszenia trwających w tym czasie strajków. W zamian obiecywał rozmowy Okrągłego Stołu z udziałem władz i opozycji. Miałyby one dotyczyć m.in. zmian w ordynacji wyborczej do parlamentu, utworzenia senatu i formy, w jakiej „konstruktywna opozycja" mogłaby zostać dopuszczona do udziału w oficjalnym życiu politycznym. W ciągu kilku dni Lechowi Wałęsie istotnie udało się doprowadzić do zakończenia akcji strajkowej, choć sprzeciwiała się temu część dawnych działaczy Solidarności. Minister Kiszczak i I sekretarz KC PZPR Wojciech Jaruzelski zdołali z kolei przełamać opór aktywu partyjnego przed ideą rozmów z opozycją. Istotne znaczenie miała tu katastrofalna sytuacja gospodarcza PRL.
Wkrótce doszło jednak do impasu w negocjacjach. Władze długo nie godziły się na ponowną legalizację NSZZ „Solidarność". Sprzeciwiały się także, by opozycję reprezentowali w czasie rozmów Jacek Kuroń i Adam Michnik. Ostatecznie obrady Okrągłego Stołu rozpoczęły się dopiero 6 lutego 1989 roku.

oprac. Filip Gańczak

Sierpień 1930 roku

„Sierpień to doniosły miesiąc w historii nowej Polski” – przypominał **„Powstaniec Śląski”** w 10. rocznicę wybuchu II Powstania Śląskiego. W lipcowo-sierpniowym numerze z 1930 roku Stanisław Mastalerz, uczestnik Powstań Śląskich, wspomniał na łamach miesięcznika wydarzenia z 19/20–25 sierpnia 1920 roku, które doprowadziły do usunięcia z obszaru plebiscytowego, Górnego Śląska, niemieckich organów bezpieczeństwa i utworzenia w ich miejsce mieszanej, polsko-niemieckiej policji. W związku z wielkim kryzysem gospodarczym, który dotknął także Polskę, Związek Powstańców Śląskich, wydawca „Powstańca”, zrezygnował z wesołych i hucznych obchodów na rzecz zbiórki pieniężnej na Dom Powstańca Śląskiego w Katowicach. „Przejmijmy się wszyscy chęcią służenia dobrej sprawie. Zapomnijmy na parę dni o narzekaniu i biadaniu. Wszak wtedy, gdy zawrzała walka drugiego powstania, czasy też nie były różowe. Nie było pieniędzy, broni ani amunicji, nie byliśmy pewni jutra, nie wiedzieliśmy, czy czyn powstańczy nie zmiecie nas w przepaść, czy nie rozbiorą na nowo naszej Ojczyzny, a jednak bez wahania stanęliśmy do szeregu, hardo stawiając czoło wrogowi i hurmem go pędząc ze Śląska. I dziś – pomimo przesilenia – nie miałoby nas stać na parę groszy na rozbudowę dzieła, które będzie naszą wspólną własnością, naszym żywym pomnikiem?”.

Zbiórkę pieniędzy prowadzono na terenie całego województwa śląskiego. Prace budowlane rozpoczęto sześć lat później, a budynek oddano do użytku dopiero w listopadzie 1938 roku. Mieściły się tam sale konferencyjne, sklepy, kino oraz restauracja Piwnica Śląska, która – jak podkreślał „Powstaniec” w 1939 roku – miała być miejscem, „gdzie będą nawiązywać się kontakty, umacniać i tworzyć coraz to szersze odcinki zwartego, jednolitego frontu społeczeństwa, gdzie każdy uczciwy, zdrowo myślący Polak czuć się będzie jak u siebie”.

22 lipca 1945 roku

Pierwszą stronę numeru 147 **„Trybuny Robotniczej”** z 22 lipca 1945 roku redakcja dziennika poświęciła otwarciu VIII sesji Krajowej Rady Narodowej. Znalazło się tam także miejsce na podsumowanie pierwszych dwunastu miesięcy rządów komunistycznych w Polsce. W artykule wstępnym *Pierwszy rok rządów Demokracji* tuba Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Partii Robotniczej w Katowicach nie szczędziła pochwał pod adresem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i prowadzonej przez niego polityki: „Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, obejmując władzę w imieniu narodu i dla narodu, wyłuszczył cele i zasady swej polityki w słynnym Manifeście z dnia 22 lipca 1944 roku. Manifest Lipcowy PKWN stał się bojowym programem demokracji polskiej, dookoła którego skupiły się wszystkie patriotyczne elementy naszego narodu. [...] Dzięki tej słusznej polityce PKWN zostali hitlerowscy okupanci w ciągu kilku miesięcy przepędzeni z polskiej ziemi, zostały wyzwolone wszystkie polskie ziemie, wróciły do Macierzy prastare polskie ziemie: Śląsk, Prusy Wschodnie, Gdańsk i Pomorze. Dzięki polityce PKWN udało się zbudować administrację polską, przeprowadzić głębokie reformy społeczne, a w pierwszym rzędzie reformę rolną. W rezultacie tych reform po raz pierwszy w historii naszego narodu lud Polski stał się prawdziwym gospodarzem swego kraju, udało się stworzyć podstawy dla dobrobytu i potęgi Polski”. Redakcja nie zapomniała także o żołnierzach Wojska Polskiego i Armii Czerwonej, która „wyzwoliła kraj nasz spod jarzma niemieckiej okupacji”, oraz o Związku Radzieckim, który „okazywał nam i okazuje stałą pomoc przy odbudowie naszego kraju”. Jednocześnie „Trybuna” ostrzegała przeciwników władzy ludowej: „Nie ma takiej siły, która mogłaby przywrócić w Polsce stare, przedwrześniowe porządki. Wszystkie zakusy reakcji będą odparte”. A na straży nowego, powojennego porządku – jak podkreślała redakcja – stać miała w pierwszym rzędzie klasa robotnicza i jej partia – PPR. Obraz nakreślony przez „Trybunę” mijał się jednak z rzeczywistością. W owym „pierwszym rzędzie” stali enkawudziści, a zaraz za nimi funkcjonariusze MBP.

21 sierpnia 1968 roku

„Kierownictwo partyjne i rządowe Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej zwróciło się do Polski, Związku Radzieckiego i innych państw sojuszniczych z prośbą o udzielenie bratniemu narodowi czechosłowackiemu natychmiastowej pomocy, włącznie z pomocą sił zbrojnych. Apel ten spowodowany jest zagrożeniem, które powstało dla ustroju socjalistycznego w Czechosłowacji i określonej przez konstytucję państwowości ze strony sił kontrrewolucyjnych, które są w zmowie z wrogimi dla socjalizmu siłami zewnętrznymi" – głosiło oświadczenie rządu PRL zamieszczone na pierwszej stronie **„Dziennika Polskiego"** w numerze 198 z 21 sierpnia 1968 roku. Odezwa była następstwem rozpoczętej w nocy z 20 na 21 sierpnia inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, w związku z próbą przeprowadzenia w tym państwie reformy ustroju komunistycznego. Jak można było przeczytać w oświadczeniu, rząd PRL wspólnie z rządami Ludowej Republiki Bułgarii, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Węgierskiej Republiki Ludowej i ZSRR postanowiły pozytywnie odpowiedzieć na apel władz czechosłowackich, kierując się przede wszystkim „zasadami nierozerwalnej przyjaźni i współpracy oraz zgodnie z istniejącymi zobowiązaniami sojuszniczymi". Władze zapewniały, że wojsko zostanie wycofane, „gdy tylko zaistniałe zagrożenie dla osiągnięć socjalizmu w Czechosłowacji, zagrożenie dla bezpieczeństwa krajów wspólnoty socjalistycznej zostanie usunięte i kiedy prawowite władze uznają, że nie ma potrzeby dalszego przebywania tam tych jednostek wojskowych". Oświadczenie kończyły słowa: „Bratnie kraje stanowczo i zdecydowanie demonstrują swoją nienaruszalną solidarność wobec wszelkiego zagrożenia zewnętrznego. Nie pozwolimy nikomu i nigdy wyrwać ani jednego ogniwa ze wspólnoty państw socjalistycznych".

1 sierpnia 1978 roku

Dlaczego założyliśmy Wolne Związki Zawodowe? – to tytuł artykułu wstępnego zamieszczonego na pierwszej stronie inauguracyjnego numeru **„Robotnika Wybrzeża"** z 1 sierpnia 1978 roku. Pismo, organ założonych kilka miesięcy wcześniej przez Andrzeja Gwiazdę, Krzysztofa Wyszkowskiego i Antoniego Sokołowskiego Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, przypominało, że mimo istnienia w Polsce potężnych związków zawodowych, „co kilka lat robotnicy wychodzą na ulicę i w gwałtowny sposób dopominają się o swoje prawa, narażając się na ataki MO i późniejsze represje". I stawiało pytanie: „Istniejące Zw. Zaw. nie spełniają swojej roli jaką jest organizowanie ludzi pracy do obrony swoich interesów wobec pracodawcy. Mimo masowych Zw. Zaw. nie jest u nas lepiej niż w krajach Trzeciego Świata, gdzie ruch związkowy jest w zalążku. Dlaczego tak jest? Najogólniej rzecz biorąc są dwie przyczyny: 1. Istniejące Zw. Zaw. zależne są od pracodawcy, którym w Polsce jest aparat administracyjno-partyjny. Symbolem tego może być osoba [Władysława] Kruczka, który jest równocześnie przewodniczącym CRZZ i członkiem ścisłego kierownictwa partyjnego. 2. W naszym systemie opartym na gospodarce upaństwowionej pracodawca reprezentuje znacznie większą siłę niż w systemie kapitalistycznym, gdzie interes państwa i interesy pracodawców nie są takie same". Celem WZZW – podkreślano – nie było przejęcie władzy w kraju, ani nawet narzucanie społeczeństwu poglądów politycznych, lecz jedynie dążenie do utrzymania niezależności ruchu związkowego od pracodawcy. Jak słusznie zauważyli wydawcy „Robotnika", dla komitetów zakładowych PZPR, dyrekcji zakładów pracy i Służby Bezpieczeństwa jakakolwiek próba niezależnej działalności była „sprawą polityczną". Mimo to „Robotnik" zapewniał i przypominał: „Nasza działalność jest legalna i zgodna z prawem. Każdy człowiek ma naturalne prawo do obrony, do sprawiedliwości i do godnego życia – gwarantuje nam to Konstytucja PRL i międzynarodowe konwencje i umowy dotyczące praw ludzkich i obywatelskich. Działalność związkowa jest pod szczególną ochroną prawną. 14 III 1956 r. Polska podpisała i zobowiązała się przestrzegać Konwencję Nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy".

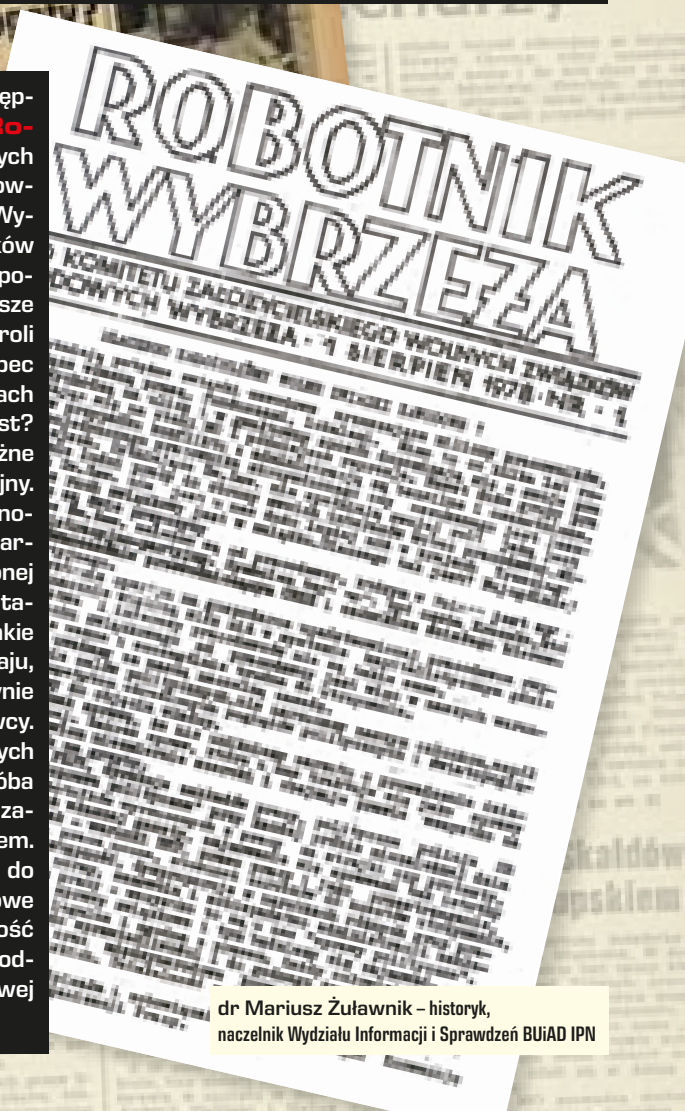

dr Mariusz Żuławnik – historyk,
naczelnik Wydziału Informacji i Sprawdzeń BUiAD IPN

Dziewięćdziesiąte urodziny generała

Krzysztof Gottesman

Generał Wojciech Jaruzelski raz jeszcze podzielił Polaków. Jego dziewięćdziesiąte urodziny, obchodzone na początku lipca, stały się dla niektórych okazją do świętowania i wydania pamiątkowej księgi. Inni protestowali przed hotelem, gdzie odbywała się jubileuszowa feta, jeszcze inni – jak ja – z wściekłości w milczeniu zgrzytali zębami.

Zdrajca czy człowiek honoru? Tępy żołdak czy pragmatyczny patriota, który na swoje barki wziął ciężar największy z możliwych? Spór o rolę Wojciecha Jaruzelskiego trwa od lat. Ja sam, przyznaję – choć znam standardy obowiązujące publicystę i przestrzegam ich – nie potrafię spojrzeć na gen. Jaruzelskiego do końca obiektywnie. Tak, jak się patrzy na polityków, na przykład, z Hiszpanii czy Portugali, również zaplątanych w pogmatwaną historię, czy nawet na księcia Franciszka Druckiego-Lubeckiego albo hrabiego Aleksandra Wielopolskiego. Nie potrafię odrzucić bagażu osobistych doświadczeń, z tak mocno zaznaczoną w nich Solidarnością. Jeszcze bardziej jednak nie potrafię zrezygnować z wartości moralnych wyznawanych od lat kilkudziesięciu, bez nich nie wyobrażam sobie prowadzenia polityki. Dlatego zawsze Jaruzelskiego będę widział ze złą, schowaną za ciemnymi okularami, zaciętą twarzą, gdy zapowiadał, że socjalizmu w Polsce będzie bronił jak niepodległości. Socjalizmu tak bardzo różnego od moich wyobrażeń. A z podniesionych w górę w geście nadziei przeze mnie i miliony Polaków dwóch palców śmiał się i szydził...

Jeden z obrońców generała zadał kilka lat temu pytanie, co każdy z nas zrobiłby na jego miejscu, gdyby podejmował decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego. Pytanie miało w zamyśle jego autora świadczyć o nieuchronności wyprowadzenia czołgów na ulice. Być może każdy z nas na JEGO miejscu tak by właśnie postąpił. Ale u podstaw tego pytania leżało fałszywe założenie. Wojciech Jaruzelski na to, by znaleźć się na tym szczególnym miejscu, pracował przez kilkadziesiąt lat. Ja zaś i wielu innych, do których kierowane było to pytanie, mieliśmy zupełnie

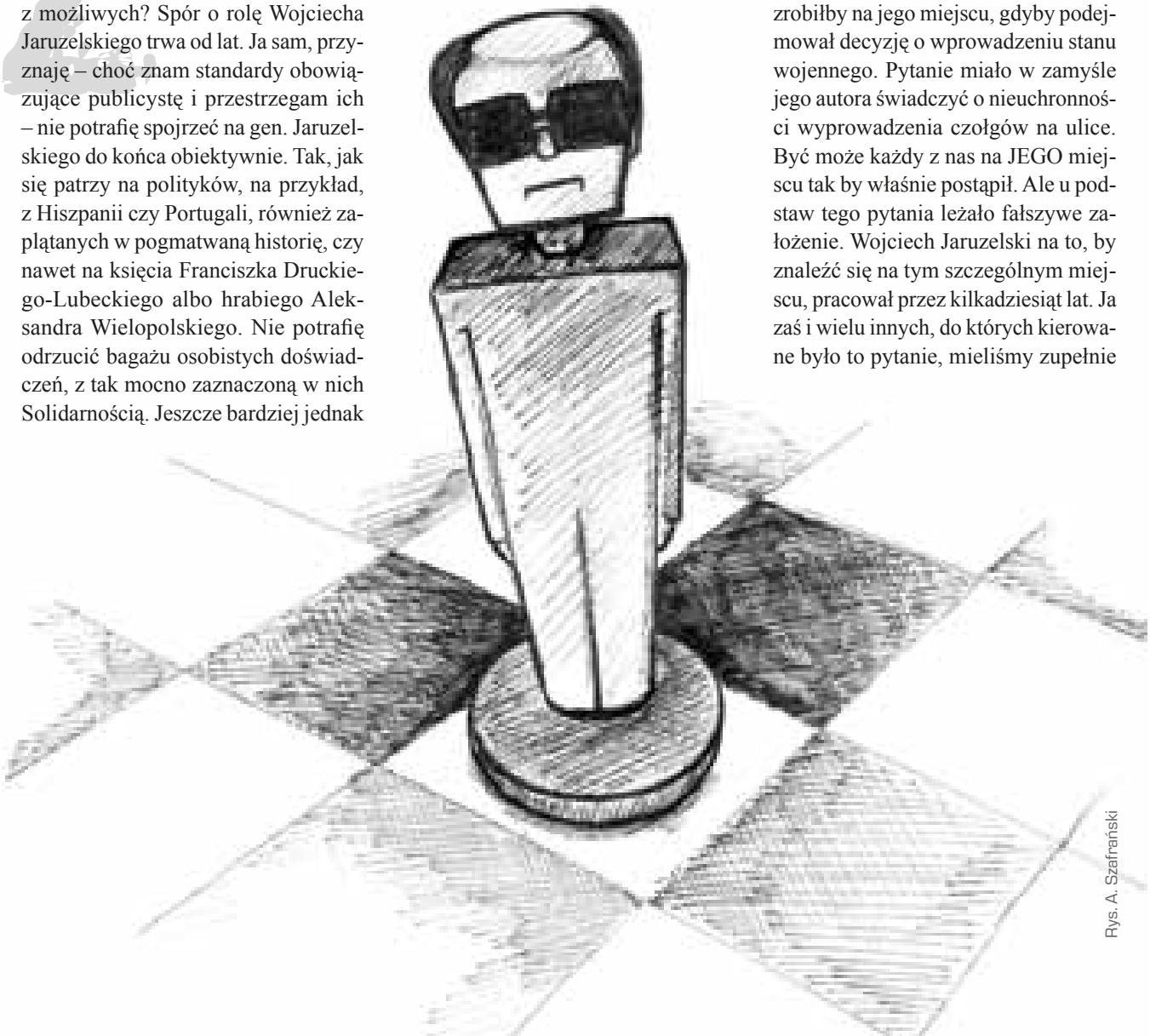

Rys. A. Szafrański

inne doświadczenia. Nie każdy wychowany w patriotycznej rodzinie – choć wielu takich było – uląkł się sowieckiej siły i wyparł z siebie doświadczenia dzieciństwa, stanął po stronie silniejszych. Nie każdy w latach stalinowskich robił karierę w polskim wojsku dowodzonym przez marszałka Rokossowskiego. Nie każdy współpracował z Informacją Wojskową. Nie każdy z nas podpisywał rozkazy degradujące oficerów pochodzenia żydowskiego, nie każdemu z nas przeszkadzał socjalizm z ludzką twarzą Alexandra Dubčeka, nie każdy był ministrem obrony, gdy strzelano do robotników w grudniu 1970 roku. Listę można ciągnąć długo. Obejmie ona również górników Wujka, Grzegorza Przemyka, księdza Jerzego Popiełuszkę i wiele innych ofiar. Słowem – wyjątkowo służalcza postawa polityka w niesuwerennym kraju. Był bowiem Jaruzelski przez kilkadziesiąt lat jedną z kilku, może kilkunastu osób podejmujących najważniejsze decyzje w Polsce, a w latach osiemdziesiątych sprawował władzę niemal absolutną. Odpowiedzialny jest również za zacofanie cywilizacyjne, księżycową gospodarkę, fałsz i zakłamanie funkcjonujące tak powszechnie w życiu publicznym. Taka jest jego hipoteka. Czy ją wykupił, oddając władzę? Dla mnie nie było takiej ceny. Zwłaszcza, że moneta, którą zapłacił, była raczej fałszywa.

Dlaczego więc ktoś o tak brudnym życiorysie, tak bardzo, w wolnym już i demokratycznym kraju, wciąż dzieli Polaków? Dlaczego może być pozytywnie odbierany, szanowany, nawet po ludzku lubiany? Wcale nie tylko przez postkomunistycznych emerytów i ich rodziny. Badania opinii publicznej wciąż pokazują dużą grupę jego zwolenników.

Pierwsza odpowiedź to brak podstawowych choćby rozliczeń z komunistyczną przeszłością, jej najcięższymi zbrodniami. Gdyby procesy autorów stanu wojennego, osób odpowiedzialnych za masakrę w grudniu 1970 roku i kilka innych rozpoczęły się kilkanaście lat wcześniej, to nie tylko znaczna część społeczeństwa inaczej patrzyłaby na PRL, ale i klimat życia publicznego byłby inny. Ale jest też odpowiedź druga. Nieco wstydliwa, ukrywana, od której chętnie uciekamy. I która może sprawiła, że odpowiedź pierwsza jest taka, jaka jest. Proces akceptacji, przystosowania się i utożsamiania z PRL był o wiele silniejszy, niż wielu chce dzisiaj przyznać. Przystosowanie do systemu było znacznie mocniejsze, a na pewno mocniej się uzewnętrzniało niż opór wobec niego. W szczytowym momencie do PZPR należało ponad trzy miliony Polaków, w sumie przez jej szeregi przewinęło się ich znacznie więcej. Zgoda, znaczna ich część to zwykli oportuniści. Urządzali się przez lata, zdobywali wykształcenie i pokonywali kolejne szczeble zawodowej kariery. Po drodze popełniali mniejsze lub większe świństwa, mniejsze lub większe ustępstwa na rzecz systemu. Czy można mieć do nich pretensję? Niech każdy odpowie na to pytanie sam.

„Wygraliśmy pierwszą bitwę, ale nie wygraliśmy kampanii (na co potrzeba kilku miesięcy) ani wojny (potrzeba 10 lat, aby odwojować spustoszenia w świadomości i podźwignąć gospodarkę z ruiny)" – powiedział w charakterystycznym dla siebie języku Jaruzelski na jednym z pierwszych posiedzeń Biura Politycznego KC PZPR po wprowadzeniu stanu wojennego. Słowa jego się nie sprawdziły. Choć świadomość Polaków została przez lata panowania Jaruzelskiego mocno zubożona i zatruta, to swojego jubileuszu generał nie może obchodzić z podniesionym czołem.

Krzysztof Gottesman – dziennikarz, publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

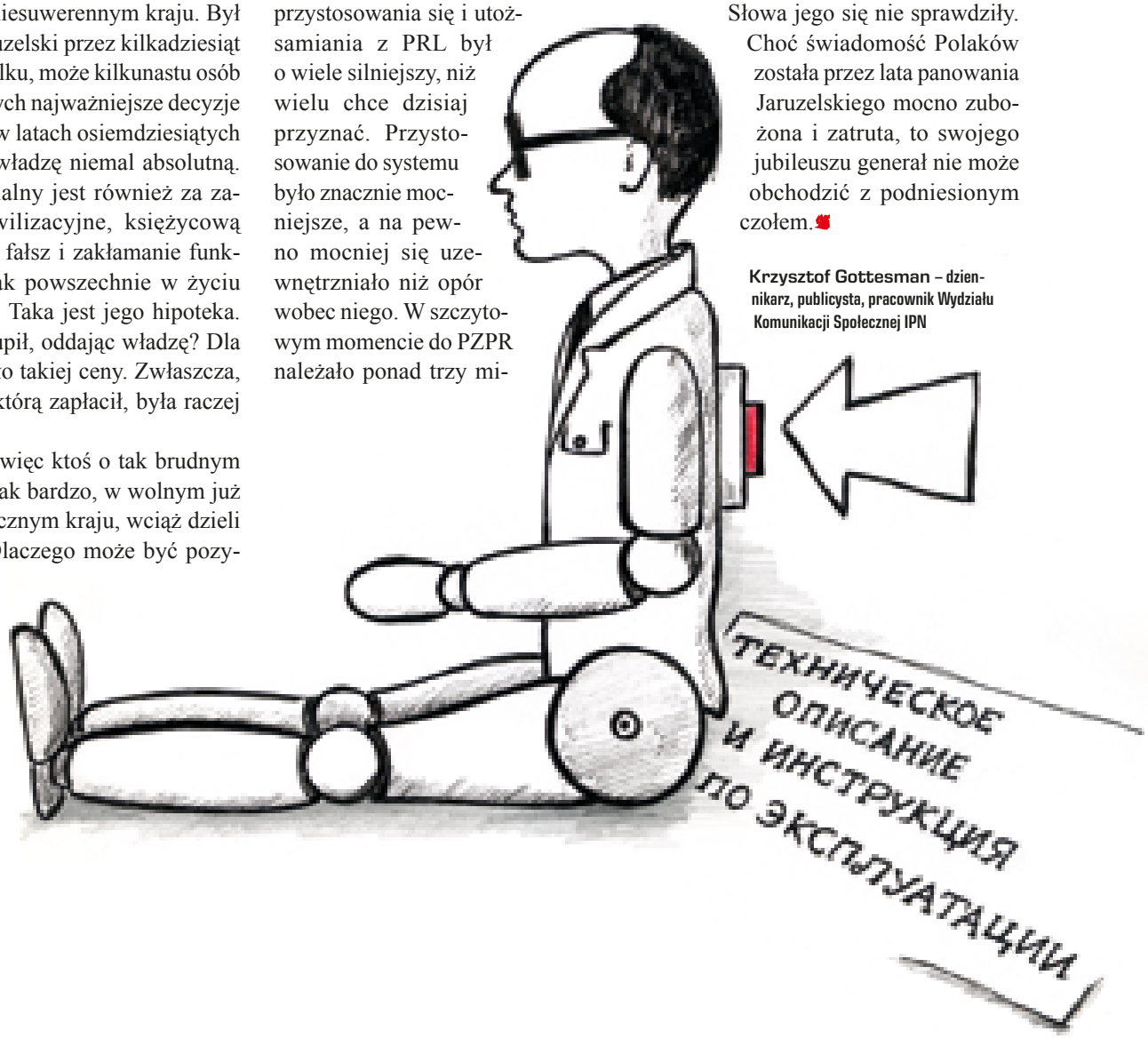

Rys. A. Szafrański

PIERWSZA MILICJANTKA POLSKI LUDOWEJ

Katarzyna Adamów

Warszawiacy znali ją jak jako Lodzię Milicjantkę. Stała się bohaterką wielu artykułów prasy codziennej i czasopism. Pokazywano ją sobie na ulicy, czytano o niej w gazetach, podziwiano ją w kinach w trakcie projekcji Polskiej Kroniki Filmowej. Zaskarbiła sobie sympatię mieszkańców stolicy i nie tylko. Niespodziewanie dla niej samej, Leokadia Krajewska (z domu Kubanowska) stała się ikoną PRL-owskiej „kobiety pracującej".

Urodziła się w 1928 roku w nadbużańskim Wirowie, w pobliżu Sokołowa Podlaskiego. Miała trzy lata, gdy zmarł jej ojciec. Jej matka, Czesława, zdecydowała wówczas o przeniesieniu się z dziećmi do Warszawy, gdzie zaczęła pracować jako gospodyni w prywatnych domach. W czasie okupacji zajmowała się handlem. Pod koniec wojny Leokadia pracowała jako sanitariuszka w Polskim Czerwonym Krzyżu.

Kreatywne CV

W kwietniu 1945 roku jako siedemnastoletnia dziewczyna zwróciła się do Komendy Milicji Obywatelskiej m.st. Warszawy z podaniem o przyjęcie do pracy, pisząc: „Niniejszym uprzejmie proszę Komendę m. Warszawy o przyjęcie mnie w poczet członków MO, gdyż pragnę pracować dla Demokratycznej Polski z całym zapałem i nałożone na mnie obowiązki potrafię w całości wypełnić". Do podania dołączyła życiorys, w którym dodała sobie rok życia i kilka klas szkoły powszechnej (w rzeczywistości do wybuchu wojny zdążyła ukończyć tylko cztery klasy). To małe kłamstwo szybko się wydało i ze względu na brak kwalifikacji do pracy biurowej rozkazem z 18 kwietnia 1945 roku została przydzielona do Kompanii Regulacji Ruchu Milicji Obywatelskiej m.st. Warszawy. Cztery lata później w kolejnym życiorysie Leokadia sprostowała dane na swój temat. W 1946 roku zdecydowała się kontynuować naukę i ukończyła kolejne dwie klasy. Jak większość funkcjonariuszy, wstąpiła do Polskiej Partii Robotniczej.

Leokadia Kubanowska pojawiła się na stołecznych ulicach wiosną 1945 roku. Kierowała ruchem m.in. na skrzyżowaniach al. Sikorskiego (dzisiejszych Alej Jerozolimskich) z Bracką; Marszałkowskiej z Piusa XI (dzisiejszą Piękną); Krakowskiego Przedmieścia z Karową; pl. Teatralnego z Bielańską, a także na rondzie Waszyngtona, koło Belwederu i na pl. Bankowym. Dość szybko zdobyła sobie popularność, którą zauważały także gazety: „Mandat karny za… uśmiech", „Pogromczyni tramwajów i aut", „Kiedy szofer nie staje na sygnał stop…" – to tylko niektóre tytuły z prasy codziennej. Pokazują one, jakim zainteresowa-

Fot. AIPN

Fot. AIPN

Leokadia na zdjęciu legitymacyjnym

niem i jaką popularnością cieszyła się Lodzia Milicjantka. Młoda i nieśmiała dziewczyna była jedną z pierwszych kobiet pełniących służbę w Kompanii Regulacji Ruchu MO. Z tego względu wzbudzała naturalne zainteresowanie kierowców i przechodniów. W gazetach pisano: „[…] uśmiechają się do niej wszyscy kierowcy i pasażerowie tramwajów. Przechodnie specjalnie zatrzymują się na krawędziach chodników i podziwiają, jaka jest ładna i jak efektownie robi przepisowe zwroty”.

Fot. AIPN/kolekcja Juliena Bryana

Do Lodzi wkrótce dołączyły inne milicjantki – wśród funkcjonariuszy kierujacych ruchem w Śródmieściu Warszawy tuż po wojnie przeważały kobiety; skrzyżowanie al. Sikorskiego (obecnie fragment Al. Jerozolimskich) i ul. Brackiej – u góry odtworzona już trakcja tramwajowa

Fot. AIPN

Późniejsze zdjęcie legitymacyjne Leokadii Krajewskiej

Ciemno, zimno, kierowcy pijani

Lodzia Milicjantka mieszkańcom stolicy kojarzyła się z charyzmą, dużym temperamentem, energią i uśmiechem: „Władczym ruchem ręki powstrzymuje rozpędzone samochody, na niesfornych kierowców potrafi zdobyć się na stanowczy gest i… mandat karny. A choć mróz dokucza, a gimnastyka ramienna kosztuje wiele wysiłku, nasza dzielna milicjantka potrafi przy tym wdzięcznie się uśmiechać". Podziwiano także jej zgrabne ruchy i nienaganną sylwetkę: „Jak dyrygent orkiestry na podium, tak i ona dyryguje tętnem wielkiego miasta […]. Z jakąż gracją, z jakimż wdziękiem, jak bystro, jak zdecydowanie i z promiennym uśmiechem milicjantka nr 1237 reguluje pulsem Warszawy". Na pytanie dziennikarza o mandaty, Lodzia z rozbrajającą szczerością wyznała: „Najwięcej kar łapią łebkarze, bo im się zawsze spieszy. Szoferzy trolleybusów są bardzo ostrożni, wiadomo, czarna magia, elektryka. Sałaciarze to stare wygi warszawskiego bruku, starają się, jak mogą. Z rikszami trochę gorzej. Publika chodzi już lepiej i więcej zwraca uwagi na sygnały do przechodzenia".

Gdy w 1948 roku milicjanci zaczęli kierować ruchem ze specjalnych postumentów, Stefan Wiechecki – popularny Wiech – na łamach „Expressu Wieczornego" pisał: „Lodzia jest Władziuchna wyjątkowo twarzowa, a tak wysoko stoi, że do okien tramwajowych kalotechniką sięga. To tyż może się zdarzyć, że jakiś sercowy Warszawiak niechcący naumyślnie ją pocałuje. I masz pojęcie, co się będzie działo. Lodzia z balii zeskoczy, żeby protokół zestawić i faceta do mamra odprowadzić, a tem czasem fatalne zabradziażenie kołowego ruchu może nastąpić. Po mojemu balie musowo obniżyć!".

W pierwszych latach po wojnie w stolicy służbę drogową pełniły trzy plutony milicji: praski, warszawski (złożony w większości z kobiet) i pluton ochrony mostów. Rozpoczęcie pracy w terenie poprzedzało co najmniej trzytygodniowe szkolenie obejmujące musztrę wojskową, naukę obsługi broni palnej i kierowania ruchem. Milicjantki z Kompanii Regulacji Ruchu miały ciężką pracę. Przez osiem godzin, bez względu na warunki atmosferyczne, musiały stać wyprostowane i skupione na przestrzeganiu przez kierowców przepisów ruchu drogowego. Same funkcjonariuszki skarżyły się również na brak oświetlenia stołecznych ulic, a także dużą liczbę kierowców jeżdżących pod wpływem alkoholu. Obraz pracy milicjantek przedstawiła wiosną 1947 roku ppor. Jadwiga Juszkiewicz, zastępca kierownika Kompanii Regulacji Ruchu w Warszawie, w wypowiedzi dla miesięcznika dla milicjantów „Na Straży Demokracji" o trudnościach aprowizacyjnych i braku odpowiedniego umundurowania. Zapewniła przy tym, że pomimo tych niedogodności milicjantki dobrze wykonują swoją pracę: „Komu jak komu, ale milicjantce jest najtrudniej uciec. Wiedzą o tym szoferzy i nie

WIECZÓR WARSZAWY

KOMUNIŚCI 1-szą PARTIĄ FRANCJI

Otrzymali 1/3 głosów w niedzielnych wyborach

MRP UTRZYMUJE STAN POSIADANIA

Przegrana de Gaulle'a – dalsze straty socjalistów

Kto utworzy rząd?:

Fot. AIPN

próbują nawet tłumaczeń i wykrętów. Nasze milicjantki zdobyły sobie pod tym względem pewnego rodzaju sławę – są nadzwyczaj sumienne w pełnieniu służby i bezwzględne dla winnych”.

W charakterystykach służbowych Lodzi wielokrotnie podkreślano, że w regulowaniu ruchem ulicznym jest wzorem dla innych milicjantów: wykazuje inicjatywę i zamiłowanie do wykonywanych obowiązków służbowych, jest pracowita, dokładna i koleżeńska. Doceniano jej zdyscyplinowanie, poczucie odpowiedzialności, a także skromność i takt. Zaakcentowano jej aktywność społeczną w pracy na rzecz bezpieczeństwa w ruchu drogowym. W 1950 roku odnotowano: „Na posterunku regulacyjnym zwroty wykonuje energicznie i przepisowo, z posterunku interwencyjnego bez powodu nie zejdzie, posiada jedynie tą wadę, że jest nieśmiała do reagowania na wykroczenia, co uwidacznia się w braku doniesień i ukarań”. Choć zwracano uwagę na brak aktywności partyjnej, to jednak dostrzegano jej zainteresowanie zajęciami świetlicowymi i kółek amatorskich, podczas których „pogłębiała swoje wiadomości polityczne i zawodowe”.

Ze skrzyżowania do biura

Leokadia Kubanowska w jednym z wywiadów wspomniała, że praca w terenie jest bardzo wyczerpująca i ciężka, zwłaszcza zimą, a umundurowanie milicjantów niewystarczające. Być może z tego powodu w połowie 1950 roku Krajewską przeniesiono do pracy biurowej. Prawdopodobnie sama była już zmęczona dotychczasowym trybem służby, który nie wpływał korzystnie na jej zdrowie.

Słynna milicjantka wielokrotnie była nagradzana i premiowana kolejnymi awansami. W 1955 roku uznano ją za przodownicę pracy, a w latach sześćdziesiątych udekorowano odznaką „20 lat w Służbie Narodu” oraz Złotą Odznaką „Za Zasługi dla Warszawy”.

Kiedy w lutym 1969 roku Krajewską mianowano na oficerskie stanowisko inspektora Wydziału Kontroli Ruchu Drogowego KS MO, w dołączonej do wniosku personalnego opinii po raz pierwszy zwrócono uwagę na jej popularność. Wspominano, że swoją postawą w pierwszych latach służby „szybko zdobyła sobie autorytet u przełożonych, wśród kolegów i użytkowników dróg publicznych. Często o jej dobrej pracy pisała prasa krajowa, a w kilku przypadkach i prasa zagraniczna”. Jak czytamy w innej notatce z 1969 roku: „W latach 1945–49 [błąd – w rzeczywistości Krajewska kierowała ruchem do 1950 roku] jako milicjantka regulacji ruchu drogowego pełniła służbę na ulicach Warszawy. Z powyższego okresu jest znana jako jedna z najlepszych milicjantek. Wyróżniała się odpowiednią postawą, sprawną regulacją ruchu i uprzejmością wobec obywateli. Dlatego też zyskała sobie dużą sympatię i popularność wśród mieszkańców Warszawy, a nawet kraju. Do dziś jest znana społeczeństwu z tamtych pierwszych lat jako »Lodzia«”.

W połowie sierpnia 1973 roku por. Leokadia Krajewska, pełniąca wówczas służbę w jednej z sekcji Pogotowia i Dochodzeń Wydziału Kontroli Ruchu Drogowego KS MO, zdecydowała o przejściu na emeryturę. Do dziś mieszka w Warszawie.

Fot. AIPN/kolekcja Juliena Bryana

Dopiero od 1948 roku wprowadzono postumenty dla milicjantek, poprawiające ich widzialność i bezpieczeństwo

Katarzyna Adamów – historyk, archiwista w Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

Instalacja podsłuchu pokojowego

Wbrew potocznym wyobrażeniom podsłuch pokojowy nie był powszechnie stosowany przez Służbę Bezpieczeństwa. Wykorzystywano go tylko w szczególnie uzasadnionych przypadkach, zdecydowanie rzadziej niż podsłuch telefoniczny czy telegraficzny. Tym bardziej, że jego montaż bywał niekiedy nader skomplikowany.

Podsłuch był najczęściej wykorzystywanym przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa środkiem tzw. techniki operacyjnej. Oddawał on bowiem wiernie przebieg prowadzonych rozmów, inna sprawa to prawdziwość informacji pozyskanych z tych rozmów. O ile założenie podsłuchu telefonicznego czy później również telegraficznego było stosunkowo łatwe, o tyle instalacja podsłuchu pokojowego zdecydowanie trudniejsza. W związku z tym był on przez esbeków dużo rzadziej używany i zarezerwowany dla najważniejszych prowadzonych przez nich spraw.

Zainstalowanie podsłuchu pokojowego (PP) wymagało najczęściej wejścia do lokalu zajmowanego przez osobę, którą planowano inwigilować. Oczywiście, zarówno wejście, jak i montaż aparatury podsłuchowej musiały być prowadzone w sposób gwarantujący pełną konspirację działań SB. Dodatkowym utrudnieniem w tym przypadku była ponadto konieczność stosowania (ze względu na ograniczenia techniczne) przewodowych instalacji podsłuchowych. Zdecydowanie rzadziej wykorzystywano podsłuchy bezprzewodowe, niewymagające kabla łączącego mikrofon z magnetofonem, na którym rejestrowano dźwięk.

Podsłuch montowano (na określony czas) na wniosek zainteresowanej jednostki operacyjnej. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych zawierał on: imię i nazwisko osoby, u której planowano go założyć, dokładny adres zamieszkania, informacje o zawodzie i miejscu pracy tej osoby, motywy operacyjne uzasadniające założenie PP, informację o tym, jakiej pomocy w zamontowaniu podsłuchu oczekuje zamawiająca jednostka, informację o tym, kto wie o jego planowanym montażu oraz komu przekazywać uzyskane przy jego wykorzystaniu dane, imię i nazwisko, stopień i stanowisko służbowe funkcjonariusza rozpracowującego osobę, u której podsłuch pokojowy planowano zainstalować.

Przed zamontowaniem podsłuchu przeprowadzano rozeznanie (rozpoznanie) miejsca, gdzie PP miał działać. Ponadto pion operacyjny zamawiający instalację przekazywał funkcjonariuszom pionu „T" (techniki operacyjnej), mającym go zakładać, szczegółowe informacje o osobie inwigilowanej, jej rodzinie czy innych współmieszkańcach.

Sam montaż odbywał się na podstawie opracowanego wcześniej planu, w którym starano się przygotować na ewentualne niespodzianki, np. nieoczekiwany powrót osób zamieszkujących w danym lokalu. W operację jego zakładania byli zaangażowani funkcjonariusze pionów „T" i „B" (zajmującego się obserwacją zewnętrzną) oraz jednostki operacyjnej zainteresowanej instalacją podsłuchu. W razie potrzeby wykorzystywano również resortową agenturę, np. w celu usunięcia kogoś z mieszkania.

Najczęściej stosowano tajne wejście, pod nieobecność domowników. Czasem jednak decydowano się na tzw. wejście zalegendowane, najczęściej pod pretekstem remontu.

***

Obok plan zabezpieczenia instalacji podsłuchu pokojowego u Mirosława Chojeckiego, jednego z członków Komitetu Obrony Robotników (potem Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR") i szefa Niezależnej Oficyny Wydawniczej („NOW-ej"), z kwietnia 1980 roku. Został on przygotowany w chwili, gdy Chojecki był od ponad dwóch tygodni aresztowany za rzekomą kradzież powielacza – otrzymał sankcję prokuratorską z artykułu kodeksu karnego dotyczącego kradzieży, tyle że nie poinformowano go, co i komu miał ukraść....

Było to już zresztą kolejne podejście SB do zamontowania urządzeń podsłuchowych w zajmowanym przez niego mieszkaniu. Funkcjonariusze SB przymierzali się do tego co najmniej od lipca 1977 roku. Wcześniej w działaniach przeciwko niemu wykorzystywano już zresztą podsłuch telefoniczny.

Mimo jednak zaawansowanych przygotowań i kilku przymiarek ostatecznie do założenia podsłuchu pokojowego u Mirosława Chojeckiego nie doszło. Zawsze bowiem pojawiały się jakieś, czasem całkiem niespodziewane, przeszkody. W tym akurat przypadku była to choroba syna „figuranta", Dawida: niepracująca (nie mogła znaleźć zatrudnienia z przyczyn politycznych) żona Chojeckiego nie odprowadzała dziecka do przedszkola, więc wejście do mieszkania okazało się niemożliwe. Planowano bowiem dostać się do środka pod jej nieobecność.

Wcześniej pojawiały się inne przeszkody, np. w październiku 1977 roku zachorowała sama małżonka Chojeckiego, a w kwietniu 1979 roku chora była z kolei osoba udostępniająca swe mieszkanie funkcjonariuszom SB i jej stała obecność uniemożliwiała przeprowadzenie całej operacji. Z mieszkania korzystano bowiem pod jakimś pretekstem (jakim w tym przypadku – nie wiadomo), ale nie informowano sąsiadów o zakładaniu podsłuchu w mieszkaniu obok. Kolejną próbę podjęto po pół roku, ale wtedy wykryto przeszkodę techniczną: jak stwierdzano w jednym z dokumentów, Chojecki zainstalował w podłodze metalowy pręt, czyli kątownik mający zapobiec wypaczaniu się podłogi przy drzwiach wejściowych do mieszkania. W lipcu 1980 roku montaż podsłuchu okazał się niewykonalny, bo sąsiadka Chojeckich, która miała wpuścić do siebie SB, trafiła do szpitala i funkcjonariusze nie mogli skorzystać z jej mieszkania. Innym razem osoba, która zgodziła się udostępnić swój lokal funkcjonariuszom, po konsultacji z synem nie wpuściła ich.

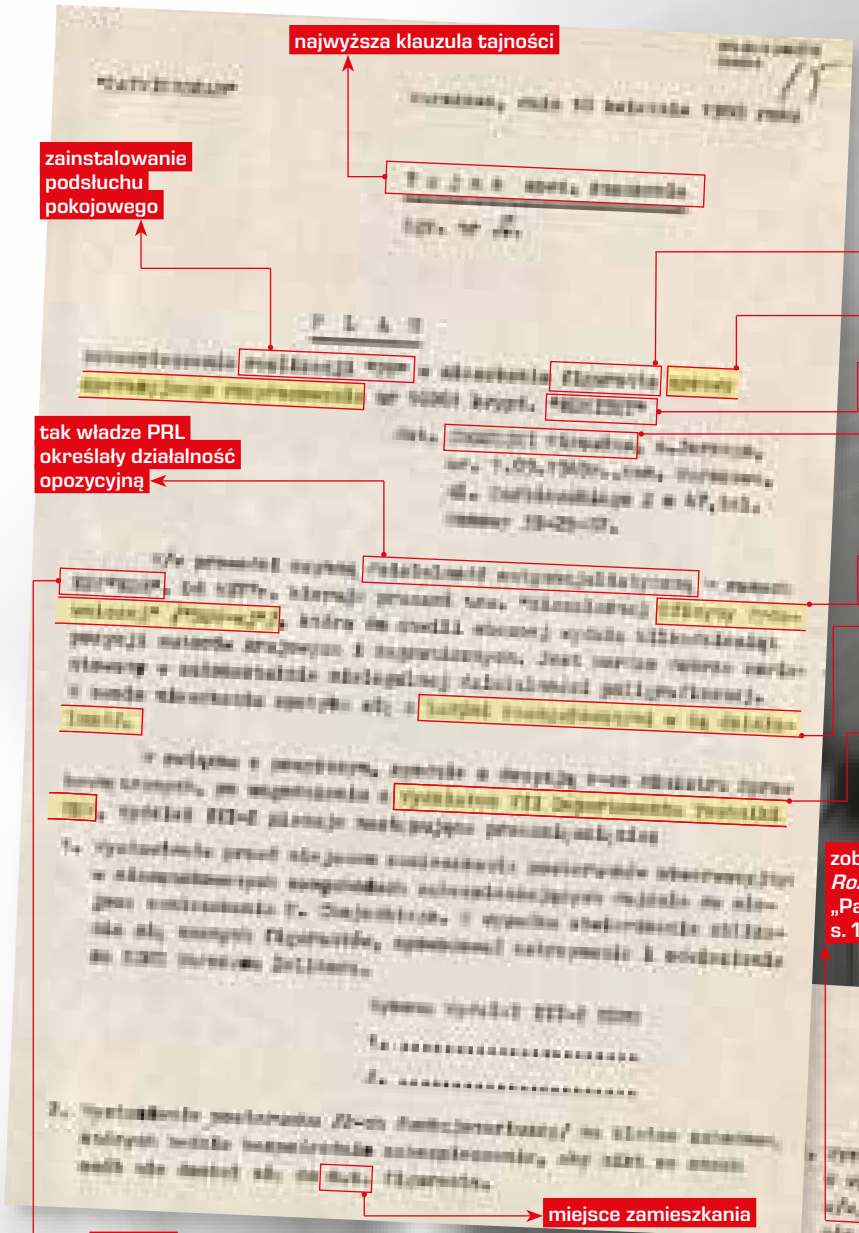

najwyższa klauzula tajności

zainstalowanie podsłuchu pokojowego

tak władze PRL określały działalność opozycyjną

miejsce zamieszkania

osoba pozostająca w zainteresowaniu operacyjnym Służby Bezpieczeństwa, wobec której podejmowane były działania operacyjne

SOR – jedna z form pracy operacyjnej SB, wszczynana w celu rozpoznania działań danej osoby lub środowiska, ich udokumentowania i zapobieżenia działalności antysystemowej

rozpracowanie Mirosława Chojeckiego prowadzone przez warszawską SB od kwietnia 1976 roku

Mirosław Chojecki – w latach 1976–1981 członek Komitetu Obrony Robotników/ KSS „KOR", współzałożyciel Niezależnej Oficyny Wydawniczej „NOW-a"

największe podziemne wydawnictwo opozycyjne w Polsce

w swoim mieszkaniu Chojecki spotykał się z osobami zaangażowanymi w działalność opozycyjną, głównie w ramach NOW-ej i KOR/ KSS „KOR"

zajmował się instalowaniem podsłuchu pokojowego

zob. Grzegorz Majchrzak, *Rozmowa operacyjna*, „Pamięć.pl" nr 8/2012, s. 10–11

jednostka zajmująca się obserwacją osób i miejsc, którymi interesowały się służby; pion „B" ściśle współpracował w tym zakresie głównie z SB (jak w tym przypadku)

Komitet Samoobrony Społecznej „KOR" powstał 29 września 1977 roku w wyniku przekształcenia Komitetu Obrony Robotników, jego członkowie działali jawnie, domagali się respektowania praw człowieka i udzielali pomocy osobom prześladowanym z powodów politycznych

miejsce (np. mieszkanie), w którym funkcjonariusze SB zakładali punkt obserwacyjny; bazę organizowano przed założeniem podsłuchu, najczęściej w tym samym budynku; przechowywano tam sprzęt techniczny, dokumenty i inne rzeczy potrzebne funkcjonariuszom SB biorącym udział w operacji

właśc.: Magdalena Bocheńska–Chojecka – historyk, żona Mirosława Chojeckiego zaangażowana w działalność NOW-ej, zajmowała się składem książek; bezrobotna z powodów politycznych

jednostka operacyjna SB utworzona w 1978 roku w KSMO, odpowiedzialna za inwigilację intelektualistów, artystów i dziennikarzy

zorganizowanie obserwacji

wejście funkcjonariuszy SB do pomieszczenia bez wiedzy i zgody jego dysponenta w taki sposób, by nie zorientował się on, że ktoś obcy tam przebywał

Komenda Stołeczna Milicji Obywatelskiej

w tym czasie zajmowała się rozpracowywaniem liderów KSS „KOR" i nielegalnych wydawnictw

funkcjonariusz SB (1972–1990), kierownik sekcji II Wydziału III-2 KS MO (1979–1981)

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik BEP IPN, członek Stowarzyszenia „Archiwum Solidarności" i Stowarzyszenia Wolnego Słowa; zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej

Oferta Hitlera

Składane przez polityków Trzeciej Rzeszy propozycje sojuszu z Polską mogły być szczere – przekonuje prof. Rolf-Dieter Müller, niemiecki historyk wojskowości, w rozmowie z Filipem Gańczakiem

Fot. ze zbiorów Rolfa-Dietera Müllera

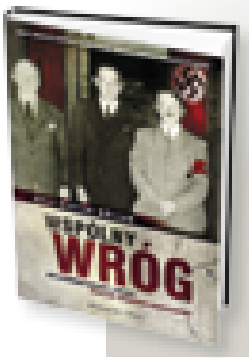

Prof. Rolf-Dieter Müller (ur. 1948) kieruje obszarem badawczym „Niemiecka historia wojskowości przed rokiem 1945" w Centrum Historii Wojskowości i Nauk Społecznych Bundeswehry w Poczdamie. W Polsce ukazały się jego książki *Wspólnicy Hitlera. Formacje sojusznicze Wehrmachtu na froncie wschodnim* (2010) i *Wspólny wróg. Hitlerowskie Niemcy i Polska przeciw Związkowi Radzieckiemu* (2013).

W 1934 roku doszło do podpisania polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy. W książce *Wspólny wróg* porównuje Pan konsekwencje tego wydarzenia z późniejszym o pięć lat paktem Ribbentrop–Mołotow.

Do 1933 roku niemiecki sztab generalny zawsze wychodził z założenia, że następna wojna zacznie się od wspólnego z ZSRR uderzenia na Polskę, a później przyjdzie nam walczyć z francuskim supermocarstwem. Również w ministerstwie spraw zagranicznych, partii nazistowskiej i ogólnie w niemieckim społeczeństwie było wystarczająco dużo wrogo nastawionych do Polski sił, które nie chciały zaakceptować polskiej niepodległości. Politycy i generałowie Republiki Weimarskiej prędzej byli gotowi potajemnie paktować z bolszewikami. Zgrzytali zębami, gdy Adolf Hitler po przejęciu władzy zerwał tajne kontakty z Armią Czerwoną. W tym sensie deklaracja o niestosowaniu przemocy z 1934 roku oznaczała dramatyczną zmianę kursu w niemieckiej polityce zagranicznej.

Dała też początek polsko-niemieckim rozmowom na najwyższym szczeblu. W kolejnych latach Hermann Göring, jeden z czołowych dygnitarzy NSDAP, kilkakrotnie gościł w Polsce na polowaniach. Czy było to coś więcej niż kurtuazja?

Rozmawiano o możliwościach niemiecko-polskiego sojuszu wojskowego przeciwko Związkowi Radzieckiemu. W odrzuceniu bolszewizmu widziano pewną wspólnotę ideologiczną. Polska w latach dwudziestych i wczesnych trzydziestych bez wątpienia była w Europie najsilniejszym bastionem przeciw bolszewizmowi. A właściwym celem Hitlera od początku była napaść na Rosję. Z perspektywy 1934 roku wyglądało to jednak tak, że nie istniała granica niemiecko-sowiecka. Spojrzenie Hitlera kierowało się więc ku Polsce i jej pięćdziesięciu dywizjom. Nawet gdyby pozostały neutralne, dla Niemiec byłoby to korzystne. W wypadku wojny z ZSRR niemieckie uderzenie mogłoby pójść na północy przez kraje bałtyckie, a na południowym wschodzie przez Rumunię i Ukrainę. W sprzyjających okolicznościach Hitler podjąłby się tego już w 1937 czy 1939 roku, bo w powszechnej ocenie sowiecka armia znajdowała się w tym czasie w opłakanym stanie.

W połowie lat trzydziestych w Niemczech ukazały się w czterech tomach pisma zebrane Józefa Piłsudskiego...

…z przedmową Hermanna Göringa, drugiego człowieka w państwie. Pojawiło się nawet limitowane wydanie marszałkowskie, które było rozprowadzane wśród wysokich rangą funkcjonariuszy nazistowskiego reżimu i trafiło m.in. do szefa SS Heinricha Himmlera.

Czy był to element starań, które miały na celu pozyskanie Polski jako sojusznika?

A czy w tym czasie lub nawet w roku 1940 byłoby do pomyślenia, żeby wydawnictwo należące do NSDAP oficjalnie wprowadziło na rynek księgarski pisma Józefa Stalina? Nie wiadomo mi również nic o podobnej inicjatywie w stosunku do Benito Mussoliniego – sojusznika Trzeciej Rzeszy. Przedsięwzięcie z niemieckim wydaniem wspomnień Piłsudskiego było więc szczególnym gestem. A zarazem jednym z wielu. W mojej książce wspominam o współpracy polskiej i niemieckiej policji czy wymianie młodzieży, w której mogli brać udział polscy harcerze i członkowie Hitlerjugend. Nie zawsze musi to być wyrazem szczerych intencji. Ale niewątpliwie był taki okres, kiedy Hitler myślał o pięćdziesięciu polskich dywizjach i wierzył, że będzie w stanie włączyć Polskę do paktu antykominternowskiego wymierzonego w ZSRR. Piłsudski niekoniecznie był zwolennikiem niemieckiej polityki. Ale w powietrzu wisiały różne warianty.

Wydanie marszałkowskie pism Piłsudskiego było finansowanym przez państwo tłumaczeniem dzieł człowieka, który

jeszcze niedawno uchodził za wroga Niemiec. Gdyby Hitler chciał uśpić uwagę Polski, nie musiałby aż tak przypochlebiać się Piłsudskiemu. Proszę sobie wyobrazić zagorzałego esesmana z Gdańska, który ma przeczytać pisma Piłsudskiego. Musiałby odstąpić od wiary! Gdybym był zdecydowany wyeliminować Polskę, byłbym szaleńcem, gdybym do tego stopnia dezorientował własnych zwolenników, że przedstawiałbym Piłsudskiego jako wybitnego męża stanu, który w 1920 roku uratował Europę przed komunizmem. Myślę, że Hitler był w stanie – mimo wszystkich rozbieżności i napięć politycznych – wyobrazić sobie Polskę jako partnera, tak jak partnerami Trzeciej Rzeszy stały się Rumunia czy Węgry.

Pod koniec wojny Węgry zostały jednak zajęte przez Wehrmacht, a większość węgierskich Żydów – wymordowana.

Tak, ale wówczas u bram stała już Armia Czerwona. To było w roku 1944. Sytuacja była więc zupełnie inna. Poza tym Hitler był Austriakiem, a w Austrii istnieje wiele uprzedzeń w stosunku do Węgrów – „nie można na nich liczyć, to wieczni buntownicy". Hitler gardził Węgrami. Nie chciał zresztą, by w 1941 roku wzięli udział w ataku na ZSRR. To był pomysł gen. Franza Haldera, szefa sztabu generalnego wojsk lądowych. W roku 1944 węgierski dyktator Miklós Horthy nie panował już nad sytuacją. Od czasu klęski pod Stalingradem Węgrzy myśleli o tym, jak wycofać się z wojny, i negocjowali z mocarstwami zachodnimi. W tym sensie rok 1944 nie może być traktowany jako punkt odniesienia.

Powszechnie uważa się, że Hitler nienawidził Polaków.

Szukałem wrogich Polsce wypowiedzi Hitlera sprzed 1939 roku. W *Mein Kampf* trudno znaleźć konkrety. Podobnie zresztą rzecz się ma z okresem rządów NSDAP od roku 1933, jeśli nie liczyć książki *Rozmowy z Hitlerem* Hermanna Rauschninga. Człowiek ten był nazistą, który poróżnił się z Hitlerem, opuścił Gdańsk i po kampanii wrześniowej 1939 roku na zlecenie francuskich tajnych służb spisał wspomnienia. Krytyczna analiza pokazuje, że to źródło nie jest wiarygodne. Gdyby Rauschning miał rację, że Hitler był nastawiony antypolsko, to musiałoby się znaleźć więcej świadków. Dlaczego tylko Rauschningowi Hitler miałby powiedzieć o swojej antypolskiej fobii? Nie miał przecież powodu, by przed najbliższym otoczeniem maskować swoje zamiary. Po 1933 roku nie stronił od wypowiedzi antysowieckich. Dlaczego więc w pamiętnikach Josepha Goebbelsa nie znajduję antypolskich tyrad Hitlera? Sądzę, że Adolf Hitler nie gardził Polakami. Czuł pewien respekt przed Józefem Piłsudskim, który dopomógł swojemu narodowi w wywalczeniu niepodległości, w 1920 roku pokonał Armię Czerwoną, a później wziął w cugle słabą polską demokrację.

Oczywiście, można wytknąć Hitlerowi awersję do Słowian. Ale Włosi, Węgrzy, Rumuni czy nawet Finowie też nie byli ➤

› Minister spraw zagranicznych III Rzeszy Joachim von Ribbentrop (drugi z lewej) przechodzi przed frontem kompanii honorowej Wojska Polskiego na pl. Piłsudskiego; Warszawa, 26 stycznia 1939 roku

Fot. NAC

Egzekucja Polaków w Bochni dokonana w ramach akcji AB

Germanami. Pakt Ribbentrop–Mołotow pokazał, że Hitler potrafił ze względów taktycznych odłożyć na bok ideologię. Tylko w dwóch sprawach naziści na dłuższą metę nie byli gotowi do ustępstw. Były to antysemityzm i antykomunizm. W innych sprawach Hitler był całkiem elastyczny.

Dlaczego więc zdecydował się na brutalną politykę okupacyjną w Polsce?

Z pewnością wiąże się to z dynamiką wewnątrz reżimu nazistowskiego. W pierwszych zbrodniach w Polsce uczestniczyli przeważnie naziści ze wschodnich, przygranicznych prowincji Rzeszy. Przez ponad pięć lat musieli trzymać język za zębami i znosić fakt, że Berlin prowadzi politykę przyjazną Polsce. Teraz jednak nadeszła ich godzina. Chodziło o to, by tereny, które w 1918/1919 roku utracono na rzecz Polski, znów przyłączyć do Rzeszy, i by zapanowały na nich „niemieckie stosunki". Oznaczało to likwidację polskich elit i polskiego ruchu oporu. Ludzie z SS wkraczali do Polski bez skrupułów – zdecydowani barbarzyńsko mordować. Zdarzały się oczywiście także zbrodnie, za które odpowiada Wehrmacht. Z drugiej strony silny opór Wojska Polskiego był czymś, co we wrześniu 1939 roku wśród niemieckich żołnierzy często wzbudzało respekt. Wystarczy spojrzeć na sceny z honorowej kapitulacji Westerplatte czy Warszawy.

Wehrmacht – w pewnym uproszczeniu – chciał więc jednego, a SS drugiego. Hitler zaś zawsze był podatny na najradykalniejsze rozwiązanie. Wynikało to z jego osobowości i doświadczenia politycznego.

Nie chciał polskiego Pétaina albo Quislinga?

Przez krótki czas był brany pod uwagę wariant, by w centralnej Polsce pozostawić coś w rodzaju podporządkowanego Rzeszy Królestwa Kongresowego – z nadzieją, że skłoni to mocarstwa zachodnie do zakończenia wojny. Szybko jednak, już pod koniec września, Stalin wysłał sygnał, że nie jest zainteresowany istnieniem polskiego państwa buforowego. A skoro Zachód i tak nie akceptował klęski Polski i nie był gotowy do drugiego układu monachijskiego [w 1938 roku europejskie mocarstwa zdecydowały w Monachium o przyznaniu Niemcom części Czechosłowacji – przyp. F.G.], to karta w postaci polskiego rządu marionetkowego straciła na znaczeniu. Pewną rolę odgrywało też to, że po klęsce wojskowej we wrześniu 1939 roku natychmiast powstał polski ruch oporu. Cały świat liczył się z tym, że – jeśli dojdzie do starcia Niemiec z Francją i znów zamieni się ono w długotrwałą wojnę w okopach – wy-

Fot. NAC

Premier Prus Hermann Göring (pierwszy z lewej), prezydent RP Ignacy Mościcki (w środku) i gen. Kazimierz Sosnkowski (pierwszy z prawej) w czasie polowania w Puszczy Białowieskiej, luty 1937 roku

buch powstania na ziemiach polskich może zachwiać pozycją Trzeciej Rzeszy. Z niemieckiego punktu widzenia postrzegano Polaków jako notorycznych buntowników. Myśl była taka: żeby zapobiec polskiemu powstaniu, trzeba od początku być bezlitosnym. Dyrektywy dla władz okupacyjnych zostały więc dodatkowo zaostrzone. Rozkaz wymordowania polskiej warstwy przywódczej nie miałby oczywiście sensu, gdyby potrzebowano elit chętnych do kolaboracji.

Wróćmy do polsko-niemieckich rozmów w latach trzydziestych.

Jeszcze w styczniu 1939 roku Berlin dość otwarcie negocjował z Warszawą. Polskiemu ministrowi spraw zagranicznych Józefowi Beckowi proponowano na przykład podział wschodniej Ukrainy. Czy to wszystko było tylko manewrem mającym na celu zmylenie przeciwnika? Co by było, gdyby Warszawa była gotowa zrezygnować ze statusu Gdańska jako wolnego miasta i zaakceptować propozycję poprowadzenia przez polski korytarz na Pomorzu eksterytorialnej linii kolejowej i autostrady?

Hitler odrzucał jednak Traktat Wersalski. Czy na dłuższą metę byłby gotowy zrezygnować z Katowic, Poznania i Bydgoszczy?

Nie ma wątpliwości, że apetyt rośnie w miarę jedzenia. Czy któregoś dnia Hitler zażądałby wschodniej części Górnego Śląska? Ale gdyby Polska regularnie dostarczała z Katowic węgiel, którego potrzebowała Trzecia Rzesza… Przecież Finlandia słała z rejonu Petsamo cenny nikiel i Niemcy nie musiały wysyłać tam żołnierzy.

Polscy historycy powołują się na inny przykład. Jesienią 1938 roku – podczas konferencji monachijskiej – Hitler uzyskał od Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch zgodę na przyłączenie do Rzeszy należącego do Czechosłowacji Kraju Sudeckiego. To mu jednak nie wystarczyło i niespełna pół roku później Wehrmacht wkroczył do Pragi. Ten sam los spotkałby Polskę – można usłyszeć.

To dobry argument, ale nie można porównywać tych dwóch przypadków. Od 1935 roku Czechosłowacja była w sojuszu wojskowym z ZSRR. Pakt ten przewidywał, że w wypadku wojny w pierwszej kolejności na czechosłowackich lotniskach wyląduje kilka tysięcy sowieckich samolotów, które szybko będą mogły pojawić się nad Berlinem. Możliwość, że Czechosłowacja – wsparta dodatkowo sojuszem z Francją – stanie się sowieckim lotniskowcem, z punktu widzenia Niemiec była bardzo niebezpiecznym scenariuszem.

Hitler chciał rozbić Czechosłowację również dlatego, że w przypadku wojny ze Związkiem Radzieckim potrzebował drogi z Drezna przez Pragę w stronę Ukrainy. W tym kontekście jest jasne, dlaczego na początku 1939 roku tak dużą rolę odgrywała sprawa Rusi Zakarpackiej – najbardziej wysuniętej na wschód części Czechosłowacji. Południowa droga do ZSRR prowadziła przez Słowację i właśnie Ruś Zakarpacką.

Fot. Piotr Mecik/FORUM

Adolf Hitler na mszy za duszę Józefa Piłsudskiego w katedrze św. Jadwigi w Berlinie, 18 maja 1935 roku

Ale Czechosłowacja nie graniczyła z ZSRR. Do wojny ze Związkiem Radzieckim Hitler i tak potrzebował Polski albo Rumunii.

I dlatego na początku 1939 roku Niemcy negocjowali z Polską na temat Rusi Zakarpackiej. Na zasadzie: damy wam Ruś Zakarpacką, a wy nam dacie wolną rękę w Gdańsku. To był interes, który –moim zdaniem – chciał ubić Hitler. Problem w tym, że Polacy powiedzieli: Ruś Zakarpacka niewiele nam daje, za to Wolne Miasto Gdańsk ze względów symbolicznych jest dla nas ważne i z niego nie zrezygnujemy. Dla Hitlera było to trudne do zrozumienia. Ostatecznie podarował Ruś Zakarpacką Węgrom, które mniej więcej w tym samym czasie przystąpiły do paktu antykominternowskiego.

Dlaczego Gdańsk miał dla Hitlera tak duże znaczenie?

Adolf Hitler stwierdził kiedyś: „Gdańsk nie jest celem, o który chodzi". Uważa się, że miał na myśli Polskę. Ale czy rzeczywiście? I jak należy rozumieć jego pojęcie „przestrzeni życiowej na Wschodzie"? Czy oznaczało to cały Wschód, łącznie z Polską? Na pewno miał na myśli Rosję. Problemem w przypadku wojny z ZSRR były zaś długie linie zaopatrzeniowe, które na północy musiały biec przez „polski korytarz" i Gdańsk, bo nie można było transportować wszystkiego drogą morską. Dlatego sądzę, że słowa Hitlera „Gdańsk nie jest celem, o który chodzi" można rozumieć tak, że właściwym celem jest Leningrad.

Fot. NAC

Niemiecki minister propagandy Joseph Goebbels (w jasnym płaszczu) zwiedza Muzeum Narodowe w Krakowie, czerwiec 1934 roku

Czy w Niemczech już przed II wojną światową istniały konkretne plany wojny ze Związkiem Radzieckim? W książce wspomina Pan, że plany niemieckiego dowództwa zachowały się tylko częściowo.

Tak, ale znamy w całości plany marynarki wojennej. Wiosną 1939 roku w dowództwie Kriegsmarine na obszar Bałtyku zakłada się już ofensywny wariant wojny z ZSRR. Natomiast do wczesnej jesieni 1939 roku niemieccy generałowie nie pracują nad żadnym planem ataku na Francję. Do wiosny 1939 roku nie ma również niemieckich planów marszu na Warszawę. Dopiero na przełomie marca i kwietnia Hitler dochodzi do wniosku, że nie udało mu się przeciągnąć Polski na swoją stronę. A skoro dyktator chce wreszcie wojny, to Polska jako państwo musi zostać zlikwidowana.

W ubiegłym roku ukazała się w Polsce książka *Pakt Ribbentrop-Beck* Piotra Zychowicza. Autor przekonuje, że – na czas pierwszej fazy wojny – II RP powinna była zawrzeć sojusz z Hitlerem. Czy podpisuje się Pan pod tą tezą?

Nie chciałbym, żeby moja książka została zrozumiana jako mowa obrończa na rzecz polsko-niemieckiego sojuszu w 1939 roku. Chcę tylko pokazać, że historia jest otwarta i możliwe są różne opcje. Nie chcę argumentować w stylu Hitlera, że Polska powinna była zawrzeć przymierze z Trzecią Rzeszą. Być może w zupełności wystarczyłaby życzliwa neutralność. Czy w ostatecznym rozrachunku uratowałoby to Polskę? Można to przewidywać tylko w ograniczonym stopniu. Dla przetrwania ludności cywilnej przypuszczalnie taki wariant byłby lepszy.

Polska zdecydowała się jednak odrzucić ofertę Hitlera. W czasie sejmowego przemówienia w maju 1939 roku Józef Beck po raz pierwszy oznajmił światowej opinii publicznej: Polska suwerenność jest dla nas nietykalna i nie podlega negocjacjom, nawet jeśli ma nas to kosztować życie. Jest w tych słowach coś imponującego. A że pomylono się co do niezawodności Francji, to już tragizm… Kalkulacja Becka mogła się powieść tylko wówczas, gdyby piętnastego dnia wojny Brytyjczycy i Francuzi rzeczywiście podjęli obiecywaną wielką ofensywę na froncie zachodnim. Wówczas już jesienią 1939 roku Polska byłaby w obozie zwycięzców. Ale wiemy – i można to było wtedy przewidzieć – że Francja, której problemem były chwiejne rządy, czuła się bezpiecznie za Linią Maginota – gigantycznym systemem fortyfikacji. Władze w Paryżu grały na zwłokę i w jakimś sensie poświęciły Polskę. Nikt nie przewidywał jednak – tym bardziej nikt w Warszawie – że również Stalin prowadzi swoją grę. Zakładano, że Hitler i Stalin to śmiertelni wrogowie. W tym sensie pakt Ribbentrop–Mołotow był wielkim zaskoczeniem. Wszystko to było wielką grą, a Polska stała się jej pierwszą ofiarą.

Fot. NAC

Wizyta ministra spraw zagranicznych RP w Berlinie, 3 lipca 1935 roku; stoją od lewej: Joachim von Ribbentrop, minister Józef Beck, Adolf Hitler, minister spraw zagranicznych III Rzeszy Konstantin von Neurath, Hermann Göring, ambasador RP Józef Lipski

Mąż stanu

Przemysław Wywiał

Generał Władysław Sikorski kilkakrotnie w swojej karierze politycznej dał dowód na to, że kierował się odpowiedzialnością za państwo. Było tak wtedy, gdy po zabójstwie prezydenta Gabriela Narutowicza objął stanowisko premiera; w czasie przewrotu majowego zachował neutralność; wreszcie – podjął się kierowania rządem na uchodźstwie i dowodzenia Polskimi Siłami Zbrojnymi. Bez wątpienia zasługuje na miano męża stanu, choć jego dokonania mogą być różnie oceniane.

Fot. NAC

Brytyjskie gazety przedstawiały Sikorskiego jako właściwego człowieka we właściwym czasie

U progu II Rzeczypospolitej był już doświadczonym żołnierzem i politykiem. Należał do założycieli Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego, był szefem Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego oraz dowódcą 5. Armii w czasie wojny z bolszewikami. Początkowo blisko współpracował z Józefem Piłsudskim, z którym się jednak już w czasie I wojny światowej mocno skonfliktował: Piłsudski był przeciwny rekrutacji do legionów bez ustępstw politycznych ze strony państw centralnych, natomiast Sikorski aż do początku 1918 roku opowiadał się za sojuszem z Austrią; w 1924 roku konflikt pogłębiły rozbieżności w poglądach na organizację władz wojskowych.

W grudniu 1922 roku odbyły się pierwsze w II Rzeczypospolitej wybory prezydenckie. Niestety, wybór na najwyższy urząd w państwie Gabriela Narutowicza, zgłoszonego przez Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie", spotkał się z gwałtownym sprzeciwem ugrupowań prawicowych. Odmówiły one współpracy z prezydentem i rozpętały agresywną kampanię przeciwko niemu. W takiej atmosferze 16 grudnia 1922 roku w warszawskiej Zachęcie Eligiusz Niewiadomski dokonał zamachu na Narutowicza.

Karny żołnierz

W obliczu mordu i groźby narastania fali niepokojów oraz wobec zupełnej bezsilności rządu marszałek sejmu Maciej Rataj, który zgodnie z konstytucją przejął obowiązki głowy państwa, zdecydował się na powołanie nowego gabinetu, który byłby w stanie opanować napiętą sytuację w kraju. Objęcie kierownictwa rządu zaproponował gen. Władysławowi Sikorskiemu, wówczas szefowi Sztabu Generalnego. „Ze swej strony oświadczam – powiedział

Nowy premier RP Władysław Sikorski podczas składania oświadczenia; październik 1939 roku

Fot. NAC

Sikorski niedługo potem – że skoro zmuszony okolicznościami przyjąłem jak karny żołnierz obowiązki prezydenta rządu, wypełnię je konsekwentnie z zupełnym poczuciem odpowiedzialności".

Natychmiast po objęciu stanowiska premiera przystąpił do działań mających na celu uspokojenie sytuacji. W odezwie do społeczeństwa napisał: „Powołany przez Marszałka Sejmu, zastępującego Prezydenta Rzeczypospolitej, obejmuję [...] ster rządów w chwili najcięższej, jaką przeżywało państwo nasze od chwili zmartwychwstania. Ujmując w takim momencie ster rządów, jestem zdecydowany przeprowadzić z całą bezwzględnością obronę porządku prawnego i spokoju wewnętrznego". Jednym z pierwszych jego posunięć stało się wprowadzenie w Warszawie stanu wyjątkowego – dzięki temu udało się opanować sytuację i zapobiec niepokojom społecznym. W spokoju przeprowadzono nowe wybory prezydenckie i uniknięto rozruchów po wyroku skazującym Niewiadomskiego na śmierć.

Kolejny egzamin z odpowiedzialności generał zdał w maju 1926 roku. W czasie przewrotu majowego Sikorski, dowódca Okręgu Korpusu nr VI we Lwowie – jak napisał potem Władysław Pobóg-Malinowski – „zajął postawę wyczekującą" i nie poparł czynnie żadnej ze stron. Mimo dwukrotnego wezwania ze strony premiera Wincentego Witosa, aby przybył do Warszawy i wsparł wojska rządowe, odpowiedział odmownie. Jak donosił „Kurier Warszawski", wobec konfliktu pomiędzy Piłsudskim a rządem „jen. Sikorski wskazał, iż najważniejszym zadaniem powierzonego mu okręgu jest pilne baczenie na granicę wschodnią". Miało chodzić o możliwość buntu ukraińskiego i podejrzane ruchy wojsk sowieckich. Ostatecznie wysłane przez niego do stolicy skromne siły nie zdołały dotrzeć na miejsce.

Wydaje się, że gen. Sikorski już w pierwszych dniach przewrotu, widząc postawy społeczeństwa i własnych podkomendnych, zwątpił w trwałość rządu Witosa. Sam też wcześniej niejednokrotnie negatywnie wypowiadał się na temat „zbankrutowanego sejmowładztwa". Jego zdaniem stronę rządową charakteryzowały „upór i poczciwość drobnomieszczańska", natomiast prezydent odznaczał się „nikłym autorytetem". Mimo że od lat był skonfliktowany z Piłsudskim, uznał chyba, że jego zwycięstwo stanowić będzie mniejsze zło i nadzieję na sanację życia politycznego.

Dowódca lwowskiego okręgu słusznie zauważył, że największe niebezpieczeństwo dla kraju stanowi rozprzestrzenienie się walk i włączenie do nich kolejnych obszarów. Robił więc wszystko, co w jego mocy, by utrzymać spokój wśród swoich żołnierzy i nie dopuścić do żadnych samowolnych ruchów wojska. W liście do marszałka Rataja z 16 maja 1926 roku napisał: „W korpusach oficerskich podległych mi pułków, do których przedzierają się nie znane przedtem wiadomości o zawziętości dokonanej walki bratniej w stolicy państwa, o obfitym przelewie krwi żołnierza w okolicy Belwederu, o demonstracyjnym uprowadzeniu w charakterze jeńców wojennych i o więzieniu tych oficerów i szeregowych, którzy z rozkazu najwyższego zwierzchnika sił zbrojnych państwa spełnili swój żołnierski obowiązek wobec konstytucji i prawa, pogłębia się gorycz i groźba wzajemnej nienawiści. Jako dowódca korpusu, który pragnie utrzymać podległe mi oddziały w nienaruszalnym stanie moralnym, dla jednego celu armii narodowej, tj. dla obrony niepodległości państwa, mam obowiązek stwierdzić, że o ile wszyscy ci żołnierze nie zostaną przywróceni do pełni swych praw, pacyfikacja zaś zrewolucjonizowanych w armii stosunków nie zostanie bezzwłocznie i wielkodusznie podjęta – wówczas zarzewie wojny domowej ugruntuje się wraz z jej dla państwa katastrofalnymi następstwami. Jeżeli miałaby być podejmowana przeciwko komukolwiek z tych żołnierzy zemsta – wówczas musiałaby ona dotknąć oddziały szeregu korpusów, w każdym razie proszę, by od lwowskiego korpusu zaczęto". Dzięki jego decyzji uniknięto dodatkowego, niepotrzebnego przelewu krwi żołnierskiej w bratobójczej walce.

Największe wyzwanie czekało jednak na gen. Sikorskiego po wrześniu 1939 roku, kiedy to miał skupić w swoich rękach najważniejsze funkcje w emigracyjnych władzach Rzeczypospolitej. 28 września 1939 roku powierzono mu dowództwo

Prezydent RP Stanisław Wojciechowski (z lewej) w towarzystwie generała Władysława Sikorskiego, Warszawa, ok. 1924 roku

Fot. NAC

Fot. NAC

Posiedzenie Rady Narodowej i rządu RP poświęcone wizycie gen. Władysława Sikorskiego w USA w 1943 roku; od prawej: gen. Władysław Sikorski, poseł Władysław Banaczyk, poseł Witold Kulerski, NN, NN, poseł Ignacy Schwarzbart, gen. Stefan Dembiński

tworzących się na terenie Francji polskich oddziałów wojskowych. Już na pierwszej odprawie z oficerami zaapelował o zaprzestanie sporów politycznych i w tak dramatycznej chwili przekreślenie tego, co dzieli Polaków i może utrudniać dalszą walkę: „Proszę panów, by zapomnieli o tym, co nas dzieliło, a zwrócili się ku temu, co nas łączy, a przynajmniej łączyć powinno. Jesteśmy tu wszyscy, by ratować honor Armii Polskiej, a raczej bronić go w dalszym ciągu – bo dążymy do tego, by nie zabrakło wojska polskiego, gdy będą się ważyły losy Polski. Nie będziemy tu robić żadnej polityki. Uprzedzam panów, że na żadną partyjną czy brygadową politykę nie ma i nie może być miejsca w Wojsku Polskim. Zasadą moją będzie kult kompetencji, a wierzę, że spotkamy się pod hasłem »Honor i Ojczyzna«". Nie jest przypadkiem nawiązanie do tajnej organizacji „Honor i Ojczyzna", którą kiedyś tworzył, a w której szeregach znaleźli się zarówno jego zwolennicy, jak i przedstawiciele obozu piłsudczyków. Niestety, działania wymierzone w przeciwników politycznych wykazały już wkrótce, że gen. Sikorski nie był do końca szczery w swoich słowach.

Rząd jedności

30 września został zaprzysiężony na prezesa Rady Ministrów, a 7 listopada wyznaczony na stanowisko Naczelnego Wodza i równocześnie generalnego inspektora sił zbrojnych. Poza tym, wzmocniony tzw. umową paryską, w której prezydent zrzekał się części swoich kompetencji, Sikorski pełnił także funkcje ministra spraw wojskowych i ministra sprawiedliwości, co sprawiło, że stał się osobą o największych uprawnieniach. Było to możliwe dlatego, że dysponował wówczas mocnymi atutami: należał do polityków opozycyjnych wobec sanacji, nie był obciążony odpowiedzialnością za klęskę wrześniową, miał pożądane kwalifikacje i doświadczenie wojskowe, niezbędne dla Naczelnego Wodza, oraz – co bardzo ważne dla rządu i armii tworzonych na obczyźnie – cieszył się zaufaniem i poparciem Francji.

Tworząc rząd emigracyjny, Sikorski musiał się wykazać umiejętnością znalezienia kompromisu między różnymi, często mocno się zwalczającymi środowiskami. Jego gabinet miał być w założeniu rządem jedności narodowej, ale stał się tak naprawdę rządem kompromisu między przeciwnikami sanacji a przedstawicielami obozu, który sprawował władzę w Polsce od 1926 roku. Jak stwierdził Ignacy Paderewski, było to „najlepsze rozwiązanie, na jakie można było liczyć w istniejących warunkach".

Najważniejszym zadaniem dla nowego premiera i Naczelnego Wodza stała się naturalnie walka o wyzwolenie kraju, którą zamierzał oprzeć na dwóch filarach: sojuszu ze sprzymierzeńcami zachodnimi i własnej sile militarnej. Pierwszym sukcesem premiera stało się uznanie jego gabinetu na arenie międzynarodowej. „Dla sojuszników osoba Sikorskiego – pisała Walentyna Korpalska, autorka biografii politycznej generała – a dla innych państw wybór rządu na podstawie obowiązującej konstytucji, były gwarantem jego legalności. Polska, reprezentowana przez ten rząd, była więc w dalszym ciągu aliantem mocarstw zachodnich".

Główną troską stała się odbudowa sił zbrojnych we Francji, a potem w Wielkiej Brytanii. Sikorski zabiegał, by tworzące się oddziały były traktowane jako suwerenna armia i trzeci aliant. Komunikat Sztabu Naczelnego Wodza nr 2 ze stycznia 1940 roku stwierdzał: „Armia Polska jako suwerenna jest podporządkowana Polskiemu Naczelnemu Dowództwu. Aż do ukończenia działań wojennych występować będzie ona na prawach absolutnej równości, jako jedna z trzech armii walcząca pod Najwyższym Dowództwem Sojuszniczym". Częściowym sukcesem zakończyły się wysiłki gen. Sikorskiego na rzecz włączenia Polski do Najwyższej Rady Wojennej. Przy każdej nadarzającej się okazji w czasie spotkań z przywódcami aliantów przypominał o znaczeniu Polski i jej roli jako członka koalicji. Niestety, alianci nie zawsze respektowali swoje zobowiązania.

Fot. NAC

Spotkanie prezydenta Władysława Raczkiewicza i gen. Władysława Sikorskiego, Londyn

Układ z Sowietami

Po agresji niemieckiej na Związek Sowiecki premier musiał przewartościować politykę zagraniczną swojego gabinetu. Do czerwca 1941 roku jego działaniami kierowała zasada „dwóch wrogów": Niemcy były uważane za „wroga nr 1", Związek Sowiecki natomiast „wroga nr 2". Teraz koniecznością stało się unormowanie stosunków ze Stalinem, który znalazł się w szeregach koalicji antyhitlerowskiej. W wyniku nacisków ze strony Wielkiej Brytanii, której zależało na normalizacji stosunków między dwoma sojusznikami, gen. Sikorski zgodził się pominąć w rokowaniach z Sowietami najbardziej drażliwą kwestię: uznanie przez Moskwę stanu prawnego między Rzecząpospolitą i ZSRR sprzed września 1939 roku. Wierzył, że sprawę tę będzie można uregulować później, ponieważ – jak sądził – o losach wojny przesądzą zachodni sojusznicy Polski i poprą wówczas jej stanowisko. Obawiał się też, że niepodpisanie układu z Sowietami doprowadzi do zmarginalizowania roli Polski w obozie aliantów.

Mimo silnej opozycji w rządzie i groźby konfliktu w środowisku emigracyjnym zdecydował się więc podpisać układ z Moskwą, tzw. układ Sikorski-Majski. Tłumaczył potem: „Układ obecny reguluje tylko doraźnie dzielące nas wzajemnie w ciągu dziejów spory. Nie dopuszcza on jednak nawet sugestii, by stawiać pod znakiem zapytania granice państwa polskiego sprzed września 1939 roku. Nie dopuszcza myśli o rezygnacji z czegokolwiek przez Polskę. Przywraca stosunki normalne pomiędzy obydwoma państwami i uznaje równorzędnie wzajemność pomocy".

Rozbieżności w ocenie tego dokumentu nie mogą przesłaniać faktu, że udało się zdecydowanie poprawić los ludności polskiej przebywającej czy więzionej na terenie Związku Sowieckiego oraz rozbudować Polskie Siły Zbrojne. Odroczono także, przynajmniej na jakiś czas, powołanie przez Stalina nowego ośrodka władzy polskiej opartego na środowiskach komunistycznych.

Przede wszystkim Polak

Generał Sikorski, premier Rządu RP na Uchodźstwie i Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych, stał się dla rodaków w okupowanym kraju symbolem dalszej walki u boku zachodnich aliantów i nadziei na odzyskanie niepodległości. Takie uczucia Polaków obrazuje chociażby popularne wówczas powiedzenie: „Gdy słoneczko wyżej, to Sikorski bliżej". Jego śmierć w katastrofie gibraltarskiej była tym większym ciosem dla narodu, że nastąpiła zaledwie kilka dni po aresztowaniu przez Niemców gen. Stefana Roweckiego „Grota", komendanta głównego Armii Krajowej.

Mimo popełnionych błędów, często zbytniej ufności w szczere zamiary sojuszników (Austrii w czasie I wojny światowej, potem Francji i Wielkiej Brytanii), gen. Sikorski był jednym z tych polityków, którzy odegrali największą rolę w historii Polski pierwszej połowy XX wieku. Na jego pogrzebie premier Winston Churchill powiedział: „Był to prawdziwy mąż stanu, żołnierz, towarzysz, sprzymierzeniec, przede wszystkim Polak. Odszedł. Wiem jednak, że gdyby stał u mego boku, chciałby, abym to właśnie powiedział, co mówię z głębi serca. Żołnierz musi ginąć, lecz śmiercią swoją żywi naród, który go wydał. Sikorski poległ. Tak właśnie musi się myśleć o waszym zmarłym premierze i Naczelnym Wodzu. Pamiętajcie, że dążył on do zjednoczenia wszystkich Polaków, zjednoczenia dla jednego celu, jakim jest pokonanie i ukaranie niemieckich grabieżców Polski". Aż do tragicznej śmierci Sikorski był żołnierzem służącym sprawie niepodległości, a zginął jako godny przywódca walczącego narodu.

dr Przemysław Wywiał – historyk, pracownik Muzeum Armii Krajowej w Krakowie

Przypadkowy

Andrzej Krajewski

Przy wszystkich swoich talentach gen. Władysław Sikorski miał trzy wady: potrafił zrazić do siebie każdego sojusznika, czuł nieprzepartą potrzebę okazywania serwilizmu obcym rządom, a podejmując ważne decyzje, zawsze na pierwszym miejscu stawiał własne ambicje.

Podczas posiedzeń polskiego rządu na uchodźstwie często wybuchały awantury. Ta z 21 lipca 1941 roku przebiegała jednak wyjątkowo burzliwie. Premier Władysław Sikorski postanowił przeforsować zgodę na nawiązanie stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Sowieckim i podpisanie układu umożliwiającego stworzenie polskiej armii na terenie ZSRR. Takiego porozumienia domagał się Winston Churchill i kształt dokumentu kreśliły brytyjskie służby dyplomatyczne. Biorący udział w rozmowach minister spraw zagranicznych rządu RP, August Zaleski, bardzo sceptycznie oceniał możliwe korzyści. Podczas dyskusji zwrócił uwagę na fakt, że Londyn nie chce zagwarantować Polakom powrotu ich kraju do granic z 1939 roku i dodał, że linia Curzona – pozostawiająca poza granicami RP m.in. Lwów i Wilno

bohater

– „nigdy nie przestała być credo angielskiej opinii publicznej”.

Ale Sikorski przyjął postawę pragmatyka, niemającego złudzeń co do międzynarodowej pozycji Rzeczypospolitej. „Trudno powoływać się na nasz wkład krwi i mienia w obecną wojnę, na nasze zasługi i naszą martyrologię, kiedy prosty interes żywotny Wielkiej Brytanii i Ameryki, interes konieczności zgniecenia za wszelką cenę Hitlera, wysuwa dla tych mocarstw na pierwszy plan Sowiety” – mówił. Jego zdaniem, pragmatyzm nakazywał przystać na podpisanie układu ze Stalinem, choć nie gwarantował on Polsce zachowania po wojnie integralności terytorialnej ani suwerenności. Kolega Sikorskiego ze studenckich lat, gen. Kazimierz Sosnkowski, nie zgodził z taką diagnozą. Uważał, że należy czekać i niczego nie podpisywać, bo wkrótce padnie Moskwa. „A wówczas właśnie Sowiety będą skłonniejsze do ustępstw, a świat anglosaski przestanie z nimi się liczyć jak obecnie” – twierdził. Sikorski pozostał głuchy na takie argumenty, choć napływające z terenów ZSRR wieści wskazywały, że Wehrmacht skutecznie realizuje kolejny blitzkrieg. W tej sytuacji granie na zwłokę dawało szansę ocalenia jedności emigracji (i tak już mocno skłóconej), zapobieżenia niesnaskom w korpusie oficerskim, a co najważniejsze – uzyskania na papierze gwarancji suwerenności i nienaruszalności granic Rzeczypospolitej. Im bliżej Moskwy znajdowali się Niemcy, tym bardziej skłonny do ustępstw mógł być Stalin. Ale tak kalkulować gen. Sikorski nie potrafił. Musiałby bowiem pozostać do końca lojalny wobec swoich, przestać bać się irytacji Churchilla oraz braku poklasku na londyńskich salonach. I – co najtrudniejsze – podejmować ważne decyzje, bez stawiania zawsze na pierwszym miejscu swego nienasyconego ego.

Polityczny sierota

W swoim życiu Władysław Sikorski osiągnął tak wiele dzięki nieprzeciętnym zdolnościom, uporowi oraz... możnym protektorom. Na świat przyszedł 20 maja 1881 roku w malutkim Tuszowie Narodowym nieopodal Mielca. Jego ojciec, wiejski organista i nauczyciel, zmarł cztery lata później. Samotna matka nie potrafiła zapewnić trojgu dzieciom środków do nauki. Edukacja młodego Sikorskiego zakończyłaby się zapewne na szkole elementarnej, gdyby nie zamożna rodzina Jędrzejowiczów. Zachwyceni inteligencją i urokiem chłopca sfinansowali jego naukę w seminarium nauczycielskim w Rzeszowie, a następnie studia na Wydziale Inżynierii Dróg i Mostów Politechniki Lwowskiej.

W dorosłym życiu Sikorski, ilekroć znajdował się w centrum politycznej gry, natychmiast rozpaczliwie szukał wpływowego protektora. Gotów był posunąć się bardzo daleko, by pozyskać jego opiekę i aprobatę. Po raz pierwszy ta prawidłowość dała o sobie znać latem 1915 roku, kiedy wojska państw centralnych opanowały ziemie dawnego Królestwa Kongresowego. Sikorski był wówczas szefem Departamentu Wojskowego utworzonego w Galicji Naczelnego Komitetu Narodowego (NKN) – organizacji mającej ambicję

Podróż inspekcyjna gen. Władysława Sikorskiego do Armii Polskiej na Bliskim Wschodzie; gen. Władysław Sikorski przemawia do junaków, 1943 rok

Fot. NAC

stanowić zaczątek polskiego rządu, z którą jednak niespecjalnie liczył się dowódca Legionów – Józef Piłsudski.

Sam Sikorski przez kilka lat obracał się w kręgach Polskiej Partii Socjalistycznej i uczestniczył w tworzeniu Związku Walki Czynnej, nigdy jednak nie czuł się zbyt mocno związany z Komendantem. Dlatego zaraz po przybyciu do Warszawy odbitej z rąk Rosjan ogłosił, zgodnie z życzeniem Berlina i Wiednia, werbunek do Legionów. Piłsudski, kiedy tylko się o tym dowiedział, werbunek natychmiast odwołał. W rozmowach z cywilnymi politykami i Sikorskim swoją decyzję motywował bardzo jasno: Polacy nie powinni dawać zaborcom niczego za darmo. Dopuszczał powstanie polskiej armii, ale dopiero wówczas, gdy Niemcy i Austro-Węgry o to poproszą, gwarantując powstanie po wojnie niepodległej Rzeczypospolitej.

Początkowo Sikorski się zawahał i uległ argumentom Komendanta. Ale niemieckie władze wojskowe nakazały Piłsudskiemu opuszczenie Warszawy, a wtedy szef Departamentu Wojskowego zmienił zdanie i przeprowadził werbunek bez stawiania Berlinowi czy Wiedniowi jakichkolwiek warunków. Potem w rozmowie z Juliuszem Zdanowskim, ekonomistą związanym z ruchem narodowym, wyjaśniał, że – jak zapisał ten drugi – „powrót Rosji byłby zagładą dla Królestwa i że wobec tego jest w naszym interesie bronić granicy wschodniej. Że zatem ofiarowanie choćby 100 000 ludzi może właśnie być decydującym, że przeciw rusofilskiemu stanowisku chłopów musi się zareagować". To dość mętne tłumaczenie się z oddawania za darmo w ręce państw centralnych „polskiego mięsa armatniego" dużo mniej wyjaśniało niż zapisek Izy Moszczyńskiej, najbliższej wówczas współpracownicy Sikorskiego: „Rozbija się po salonach, jada kolacje u książąt lub z generałami niemieckimi". Sprawom NKN nie poświęcał zbyt wiele uwagi.

Fot. NAC

Uroczystość otwarcia siedziby rządu RP w Angers we Francji; za samochodem stoi gen. Władysław Sikorski

Okazując tak daleko idącą uległość, Sikorski szukał jednocześnie protektorów w Wiedniu i Berlinie. To mogło otworzyć mu wrota do wielkiej kariery. Ale stało się inaczej. Zaborcy nie docenili dobrych chęci i gdy środowiska legionowe ogłosiły Sikorskiego zdrajcą, jego notowania polityczne dramatycznie spadły. Gdy na początku 1918 roku zaczęły się ważyć losy Polski, zupełnie osamotniony ppłk Władysław Sikorski sprawował funkcję zaledwie dowódcy ośrodka rekrutacyjnego w Bolechowie.

Wielki gracz od małych rozgrywek

Z politycznego niebytu Sikorski wyszedł dzięki wojnie z bolszewikami. Znakomicie się sprawdził jako dowódca frontowy. Potrafił wymuszać posłuch i szybko podejmował decyzje. Podczas Bitwy Warszawskiej dokonywał prawdziwych cudów, dowodząc nad Wkrą 5. Armią, co zostało w pełni docenione przez prasę i opinię publiczną. Ale militarna chwała nie zaspokajała jego ambicji. Pozwoliła natomiast zająć fotel premiera rządu pozaparlamentarnego. Stało się tak w grudniu 1922 roku, po zabójstwie prezydenta Gabriela Narutowicza. Pełniący tymczasowo obowiązki głowy państwa marszałek sejmu Maciej Rataj wybrał Sikorskiego na premiera, ponieważ ten nie był związany z żadną partią polityczną: wiele osób z PPS okazywało mu sympatię, najliczniejsze zaś w parlamencie partie prawicowe wręcz uznawały za przyjaznego im generała. W sytuacji gdy nikt nie potrafił stworzyć większości sejmowej, zręczny polityk utrzymałby rząd techniczny nawet do kolejnych wyborów.

Tymczasem pierwsze, co zrobił Sikorski, to przeprowadził ostry atak na endecję, oskarżając już w swoim *exposé* członków tego ruchu o moralną odpowiedzialność za śmierć prezydenta. Potem szukał bliskiego sojuszu z dwoma niezbyt licznymi ugrupowaniami parlamentarnymi: PPS i Polskim Stronnictwem Ludowym „Wyzwolenie", jednocześnie powołując do życia tajną organizację, mającą zbudować polityczną przeciwwagę dla zwolenników Marszałka, znaną pod kuriozalnym skrótem H_2O, który miał być rozwijany jako Honor i Ojczyna. Te irracjonalne poczynania sprawiły, że wrogie dotąd obszarnikom PSL „Piast" już w maju 1923 roku zawarło koalicję z prawicą, aby pozbyć się generała z fotela premiera.

Kolejne podejście Sikorskiego do wielkiej polityki miało miejsce na początku 1924 roku w rządzie fachowców Władysława Grabskiego. Powierzono mu wówczas tekę ministra spraw wojskowych. Tym razem znany z zamiłowania do spisków generał próbował dokończyć, rozpoczęty jeszcze przez rząd Wincentego Witosa, proces ograniczania wpływów Piłsudskiego w armii. Nowy projekt ustawy o najwyższych władzach wojskowych Sikorski skonstruował tak, by Marszałek na pewno nie zechciał zostać generalnym inspektorem sił zbrojnych i wybrał emigrację w Sulejówku. Swój cel Sikorski osiągnął, lecz na dłuższą metę niewiele rzeczy było dla polskiej sceny politycznej groźniejszych niż narastająca frustracja Komendanta. Wybuchła ona w maju 1926 roku.

Podczas przewrotu majowego Sikorski przebywał już we Lwowie, zesłany tam na stanowisko dowódcy Okręgu Korpusu nr VI. Rozkaz ministra spraw wojskowych Juliusza Malczewskiego, który zażądał przybycia z odsieczą legalnemu rządowi, Sikorski po prostu zignorował. Ale Piłsudski tego nie docenił i w 1928 roku odsunął generała od wszelkich stanowisk, przenosząc go do dyspozycji ministra spraw wojskowych.

Po kolejnej klęsce politycznej Sikorski uznał, że protektorów musi znaleźć za granicą, ponieważ w Polsce już nikt nie chciał stanąć w jego obronie. Generał nawet nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć na pytanie, dlaczego po tylu latach działalności publicznej nie miał żadnych oddanych przyjaciół czy wpływowych sojuszników.

Fot. NAC

Gen. Władysław Sikorski z oficerami nad mapą; od lewej: gen. Marian Kukiel (siedzi), NN, NN, ppłk Jerzy Borkowski, gen. Tadeusz Klimecki gen. Stanisław Ujejski

Generał na uchodźstwie

Nowych przyjaciół Sikorski znalazł we Francji. Procentowały znajomości zawarte jeszcze w roku 1920. Na salony wprowadził go gen. Maxime Weygand, na obiady zapraszali do siebie legendarni marszałkowie Ferdinand Foch i Philippe Pétain. Obaj zgodzili się potem napisać przedmowy do książek Polaka na temat wojny z bolszewikami i nowoczesnego pola walki, co dodało monografiom splendoru. Jednak Sikorski wiedział, że nawet pomoc francuskiego wywiadu wojskowego, z którego oficerami również utrzymywał intensywne kontakty, nie pomoże mu w triumfalnym powrocie do władzy. Dlatego na głównego protektora postanowił wybrać sobie mieszkającego w Szwajcarii Ignacego Paderewskiego. Ten były premier i znakomity pianista cieszył się nadal wielkim autorytetem w stolicach wszystkich najważniejszych mocarstw zachodnich. Co więcej, miał słabość do Heleny Sikorskiej. Żona generała na życzenie małżonka pisywała więc egzaltowane listy do kompozytora, wzywając go, żeby powrócił do ojczyzny i przejął rządy. „My, kobiety, odgadujemy wiele rzeczy instynktownie. Ja zaś instynktownie nie od dzisiaj widzę triumfalny powrót do Polski jej pierwszego Obywatela i powtórzenie w trwalszej i jeszcze wyższej formie wydarzeń 1919 roku" – pisała Sikorska w 1931 roku. W swych listach uparcie tytułowała Paderewskiego prezydentem, schlebiając pianiście w nieprawdopodobny wręcz sposób. „A myśli nasze zwracają się dzisiaj do Pana Prezydenta, nie tylko jako do jednego z najgenialniejszych ludzi świata; nie tylko jako do chluby Polski, ale i jako do jednego z tych bardzo niewielu Polaków, od których zależy przyszłość Ojczyzny" – przekonywała polityka i artystę.

Paderewski nie uległ pochlebstwom i wbrew namowom nie przyjechał w 1933 roku do Warszawy, rezygnując tym samym z ubiegania się o urząd prezydenta po zakończeniu kadencji Ignacego Mościckiego. Sam pomysł takiej rozgrywki politycznej, kiedy Rzeczpospolitą niepodzielnie rządził obóz sanacyjny, był fantasmagorią. Po długim nakłanianiu kompozytor zgodził się tylko patronować w roku 1936 utworzeniu centrowego ruchu politycznego – Front Morges. Sikorski liczył na to, że zgromadzenie w jednej organizacji sławnych polityków: Wojciecha Korfantego, Wincentego Witosa i Karola Popiela oraz znanych dowódców, m.in. gen. Józefa Hallera i gen. Mariana Januszajtisa (organizatora nieudanego puczu w 1919 roku), wzbudzi entuzjazm rodaków. Tymczasem inicjatywę Sikorskiego przyjęto w Polsce zupełnie obojętnie. Dawne polityczne tuzy okazały się zupełnie zgraną kartą.

Pod koniec lat trzydziestych próby powrotu Sikorskiego do wielkiej polityki były coraz bardziej rozpaczliwe i żałosne. Generał snuł w Warszawie intrygi z francuskim ambasadorem Léonem Noëlem i czechosłowackim posłem Jurajem Slávikiem, wymierzone w marszałka Edwarda Rydza „Śmigłego" i ministra spraw zagranicznych Józefa Becka. Wysoko postawionych przyjaciół w Paryżu nieustannie straszył tym, że Rzeczpospolita zamierza zawrzeć sojusz wojskowy z III Rzeszą i sugerował, że on mógłby temu zapobiec. Z działań tych niewiele by wynikło, gdyby nie Adolf Hitler.

Warto było czekać

Marszałek Rydz „Śmigły" w czasie wojny obronnej w 1939 roku popełnił mnóstwo błędów, lecz o losie obozu sanacyjnego, przesądziło zignorowanie prośby Sikorskiego, który wnioskował o przydział frontowy. Na skutek tego generał już we wrześniu 1939 roku zjawił się w Paryżu i mógł wykorzystać przyjaźnie nawiązywane od lat. Dla francuskiego rządu Édouarda Daladiera i sztabu generalnego był idealnym kandydatem na nowego polskiego premiera. Trudno zakładać, by Sikorski nie miał świadomości tego, że za sprawą zakulisowych działań francuskiego MSZ Rumunia – przedwojenny sojusznik Francji i Polski – internowała prezydenta RP, cały rząd oraz naczelnego wodza. Kolejnym elementem intrygi stało się niedopuszczenie przez aliantów do tego, by prezydent Mościcki, zgodnie z prerogatywami przewidzianymi w obowiązującej konstytucji kwietniowej, przekazał swój urząd Bolesławowi Wieniawie-Długoszowskiemu. Solidarny sprzeciw rządów Wielkiej Brytanii i Francji sprawił, że prezydentem na uchodźstwie został uległy Władysław Raczkiewicz, który nie stawiał oporu przed odebraniem mu większości uprawnień i przekazaniem ich premierowi. W tym momencie Sikorski teoretycznie otrzymywał władzę, o której wcześniej mógł tylko marzyć.

W rzeczywistości premier bez własnego państwa był przywódcą uzależnionym od dobrej woli szefów mocarstw. Znamienne, że generał natychmiast zaczął się zachowywać tak, jak podczas I wojny światowej – oferował aliantom wszystko, czego tylko od niego żądali, bez stawiania warunków. Nieustannie szukał akceptacji i poklasku wśród najważniejszych przywódców, najpierw we Francji, a po jej klęsce w Londynie i Waszyngtonie. Polityk i publicysta Stanisław Cat-Mackiewicz odnotował, jak pewnego razu, kiedy siedział w londyńskim kinie przy Piccadilly Circus, przecierał oczy ze zdumienia, oglądając angielską kronikę wydarzeniową. „Na ekranie Jerzy VI ze swoją miłą, sympatyczną [...] fizjonomią, i Churchill, podobny do ogromnego nadętego buldoga z gumy. Raptem sus, skok i wskakuje między nich gen. Sikorski w generalskiej rogatywce. Cała sala rozumie, że generał wskoczył w ostatniej chwili, zobaczywszy soczewkę operatora kinowego. Robi mi się nieprzyjemnie. De Gaulle by tak nie skakał".

Nadmierną uniżoność dawało się dość łatwo wyjaśnić pragmatyzmem politycznym i brakiem atutów mogących podnieść polityczne znaczenie rządu polskiego na uchodźstwie. Trudno jednak znaleźć usprawiedliwienie dla systematycznego pogłębiania podziałów wśród polskiej emigracji przez Sikorskiego oraz brutalnego wyeliminowania grona wartościowych osób związanych z obozem sanacyjnym. W tym ostatnim przypadku poczynania generała wskazują, że wzięcie odwetu za lata upokorzeń sprawiało mu prawdziwą frajdę. Zadbał więc o to, aby utworzona przez niego jeszcze w październiku 1939 roku komisja do zbadania przyczyn klęski wrześniowej odsunęła od wszelkich funkcji oficerów, polityków i urzędników mających cokolwiek wspólnego z rządami sanacji. Doprowadził do umieszczenia przez władze francuskie około stu oficerów i urzędników w ośrodku odosobnienia w Cerizay, a ci, którzy się tam nie zmieścili, trafili do zwykłych więzień,

w których dzielili cele z kryminalistami. Potem premier RP starał się, aby jeszcze większa grupa jego dawnych wrogów znalazła się na zesłaniu w jakiejś afrykańskiej kolonii, gdzie klimat i choroby tropikalne rozwiązałyby – z jego punktu widzenia – problem. Nie udało się tego osiągnąć z powodu klęski Francji, jednak Churchill w geście przyjaźni pozwolił, aby na wsypie Bute u zachodnich wybrzeży Szkocji powstał ośrodek internowania, w którym lądowali Polacy uznani przez Sikorskiego za osoby mu wrogie. Łącznie trafiło tam, bez postawienia jakichkolwiek oficjalnych zarzutów, ok. 1,5 tys. oficerów i urzędników. Głównym kryterium osadzenia były anonimowe donosy, Sikorski zaś nie tylko donosicielstwa nie tępił, ale wręcz traktował jako istotny element utrzymywania nadzoru nad polskim wojskiem i emigracyjną społecznością.

Na uchodźstwie bardzo widoczna stała się też inna słabość generała: zupełnie nie umiał pracować w zespole i pozyskiwać wybitnych jednostek. Otaczał się więc lizusami i miernotami, takimi jak płk Izydor Modelski (od maja 1940 roku już generał) czy Stanisław Kot, gotowymi służyć każdemu, kto oferował jakieś profity (o czym najlepiej świadczą ich powojenne losy).

Nieuchronność klęski

Osobowość gen. Sikorskiego, którego wady powodowały, że spore zdolności nie przełożyły się nigdy na sukcesy polityczne, przestawała mieć znaczenie w kolejnych latach wojny. Strategiczne położenie Polski stało się tak fatalne, że trudno wyobrazić sobie jakiegokolwiek przywódcę potrafiącego wówczas ocalić suwerenność Rzeczypospolitej. Jednak kolejne działania generała nie prezentowały się jak strategia polityczna, lecz przywodziły na myśl bezradne miotanie się.

W układzie Sikorski–Majski zabrakło punktu o uznaniu przez Kreml nienaruszalności polskiej granicy wschodniej, wytyczonej przez traktat ryski z 1921 roku. Pomimo protestów ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego oraz gen. Kazimierza Sosnkowskiego premier nie próbował w ogóle walczyć o takie postanowienie, choć klęski wojsk sowieckich na froncie dawały niepowtarzalną okazję do prowadzenia twardych negocjacji. Utworzenie armii polskiej na terenie ZSRR nie zmieniło położenia Rzeczypospolitej i głównym sukcesem układu stało się uratowanie życia dziesiątkom tysięcy zesłańców.

Klęskę polityki wschodniej Sikorskiego przypieczętowało najpierw opuszczenie przez gen. Władysława Andresa ze swymi żołnierzami i cywilami terenu Związku Sowieckiego (Sikorski chciał, by Armia Andersa przemieszczała się na zachód najkrótszą drogą), a potem odkrycie zbiorowych mogił polskich oficerów zamordowanych przez NKWD. Zbrodnia Katyńska oznaczała polityczny krach, polski rząd nie okazał się bowiem zdolny nawet do tego, aby zerwać stosunki dyplomatyczne z Moskwą. Uczynił to 25 kwietnia 1943 roku Kreml, uznając, że najlepszą obroną na oskarżenia o ludobójstwo jest atak. Nawet na to Sikorski nie potrafił odpowiedzieć, poza pokornym proszeniem Churchilla o pomoc. Zwięzłe oświadczenie brytyjskiego premiera, udzielone podczas spotkania, najlepiej świadczyło o tym, jak oceniał polityczne znaczenie polskiego przywódcy. „Oni nie żyją. I cokolwiek by przedsięwziąć, nie przywróci ich to do życia" – stwierdził Churchill, a Sikorski nie zaprotestował. Nie powinno to dziwić, ponieważ wcześniej również nie był zdolny do przeciwstawiania się swoim politycznym protektorom.

Dobre imię generała uratowała katastrofa w Gibraltarze. Wypadek lub niewykryci do dziś zamachowcy ocalili premiera rządu na uchodźstwie przed ostateczną klęską i upokorzeniami. Tragiczna śmierć zamieniła kontrowersyjnego polityka w bohatera i symbol walki o niepodległość, ofiarowując mu to, o czym przez wiele lat tak bardzo marzył.

dr Andrzej Krajewski – historyk, publicysta, doradca prezesa IPN, członek Rady Redakcyjnej „Pamięci.pl"

Premier Sikorski wśród sojuszników podczas jednej z wizytacji oddziałów polskich w Wielkiej Brytaniii; od lewej: NN, gen. Władysław Sikorski, Winston Churchill, gen. Charles de Gaulle, NN; 1940–1943

Fot. NAC

Artykuł zdobył I miejsce w konkursie „Czytelnicy do piór!”

Aba Poland – tych lubiliśmy!

Radosław Malinowski

Losy polskich uchodźców w Afryce są mało znanym epizodem historii II wojny światowej. W samym sercu tego kontynentu, pod równikiem, schronienie znalazło 18 tys. Polaków – ofiar stalinowskiego terroru. Zostało po nich niewiele śladów – wioski rozebrano, cmentarze zarosły tropikalną roślinnością. Dopiero teraz pamięć po naszych rodakach na Czarnym Lądzie powoli powraca...

Fot. R. Malinowski

Maria Sapieha

„Pamiętam twoich rodaków. To było dawno, jak byłem małym chłopcem. Pamiętam ich dobrze, jak żyli i umierali między nami w czasie wielkiej wojny. Nie, nie Brytyjczycy, tylko Aba Poland, Polacy. Przywieziono ich tutaj, do Afryki, a po wojnie odesłano do domu. Ale nadal można znaleźć groby tych, co tu umarli. Groby polskich uchodźców w Afryce Wschodniej. To byli inni biali niż Brytyjczycy, my lubiliśmy ich, a oni nie sprawiali nam kłopotów. Również ich język był inny – dźwięczny, ale niesłychanie trudny. No, i najważniejsze: oni byli prawie tak samo biedni, jak my” – opowiadał Amerykance polskiego pochodzenia Edward Wakiku, starszy Ugandyjczyk.

Od lodów Syberii po brzegi oceanu

Wędrówka Polaków zazwyczaj zaczynała się podobnie – na Kresach II Rzeczypospolitej, które we wrześniu 1939 roku znalazły się pod okupacją Sowietów.

– Mój dziadek był w czasie międzywojennym ministrem spraw zagranicznych, dlatego już pięć dni po wkroczeniu Sowietów do Polski został wywieziony na Łubiankę i skazany na śmierć, a po interwencji rządu polskiego przewieziony do pracy przy Kanale Białomorskim – wspomina Maria Sapieha, jedna z nielicznych potomkiń polskich uchodźców, którzy pozostali w Afryce.

„Wszystko odbyło się wg schematu: w nocy łomot do drzwi, sprawdzenie tożsamości [...] i rozkaz: *sobirajsia s wieszczami* [ros. zabieraj się z rzeczami]. Później załadunek do bydlęcych wagonów i podróż w nieznane” – wspominała dwa lata temu w kwartalniku „Zesłaniec” Danuta Sedlak, w czasie zsyłek – trzylatka.

To „nieznane” oznaczało mroźne lasy Syberii lub pustkowia Kazachstanu. Wielu nie przeżyło kilkutygodniowej podróży, a ci, co dotarli na miejsce zsyłki, umierali z głodu, padali ofiarami niegościnnego klimatu, chorób lub katorżniczej pracy. Ich los się zmienił, gdy Związek Radziecki został zaatakowany przez swojego dotychczasowego sojusznika – hitlerowskie Niemcy. Na mocy układu Sikorski–Majski zawartego w 1941 roku, Polakom w Związku Radzieckim pozwolono na sformowanie sił zbrojnych. Za wojskowymi przemieszczały się ich rodziny, gotowe na każde wyrzeczenie, byle tylko wydostać się z sowieckiego piekła.

Z Kazachstanu za Armią Andersa zostali przetransportowani przez Morze Kaspijskie do brytyjskiego Iranu. Tam dla wielu ponownie rozpoczęła się wielka wędrówka w nieznane. Emigracyjny rząd polski, w porozumieniu z rządem brytyjskim i przy wsparciu organizacji charytatywnych (*Middle East Relief and Refugee Administration* – MERRA), rozpoczął rozsyłanie polskich tułaczy po różnych zakątkach Imperium Brytyjskiego oraz innych państw, które zgodziły się przyjąć wygnańców. Największą grupę wysłano do Afryki.

Początkowo Polacy protestowali przeciwko takiemu akurat przesiedleniu. Prawdopodobnie nikt wtedy jeszcze nie przypuszczał, że kiedy za kilka lat brytyjskie władze kolonialne zarządzą, by polscy uchodźcy opuścili Czarny Ląd, Polacy też będą się sprzeciwiać...

Sybiracy nie byli pierwszymi Polakami, którzy trafili do Afryki w czasie II wojny światowej. Już w 1941 roku na tereny Rodezji – dzisiejszego Zimbabwe – dotarła grupa Polaków, związanych głównie z sanacją, którym udało się przez Rumunię i Węgry dostać się na Cypr, a których rząd Sikorskiego nie chciał wpuścić do Francji. To o nich wspomina Melchior Wańkowicz w książce *Zupa na gwoździu. Doprawiona*: „Teraz, kiedy wszyscy mieli się zarzucić na te tysiące kilometrów pod równik, w nieznany Czarny Ląd, wszelka nadzieja z tym wzrostem pracy znikła. Dwunastoletni chłopak, mocno piegowaty i nieznośny sowizdrzał, mówił z przejęciem: »Bo my jedziemy popodrównik, proszę pana... «. Owo »po-pod-równik« brzmiało, jakby mówił o jakiejś fizycznej zaporze, klapie, która nieodwołanie się zamknie na jakieś bardzo mocne rygle”.

Chociaż w czasie transportu przez Ocean Indyjski cały czas istniało zagrożenie atakiem niemieckich lub japońskich łodzi podwodnych, polskim wygnańcom udzielił się dobry nastrój. Danuta Sedlak w „Zesłańcu” z 2009 roku wspominała: „Halinka (siostra) ani ja nie miałyśmy poczucia zagrożenia,

Fot. zbiory Edwarda Wakiku

Rozliczenie rachunków zmarłego Polaka w Afryce, 23 grudnia 1949 roku

mama była z nami, nie byłyśmy głodne i mogłyśmy zachwycać się ławicami latających ryb".

Kiedy okręty transportowe dotarły do portów Afryki Wschodniej, polscy uchodźcy byli rozsyłani do przygotowanych (lub przygotowywanych) dla nich osiedli. Pierwsze widoki Czarnego Lądu wywołały piorunujące wrażenie na osobach, które dopiero co opuściły syberyjskie piekło.

Krystyna Pryjomko-Serafin wspominała: „Afryka to mi się wydaje, że to jest niebo na ziemi, że tak wygląda niebo. Bo jak przyjechaliśmy do Tangi, to wsiedliśmy na pociąg do Tengeru. W Tengeru było takie przyjęcie dla nas wszystkich, był stół zastawiony owocami, kwiaty, pięknie, kolorowo było, ciepło, to był raj na ziemi" (cyt. za: H. Chudzio, *Z Syberii na Czarny Ląd. Polskie osiedla w Afryce Wschodniej i Południowej w latach 1942–1952*). Podobnie zafascynowana kontynentem była Józefa Bielinowicz: „No, Boże, wszystko kwitnie, bo w Afryce prawie każde drzewo kwitnie. Naprawdę to było oszałamiające"(cyt.: jw.).

W Ugandzie zamieszkało 6446 osób. Rozlokowano ich w trzech osiedlach: Koja, Masindi i Kampala. W siedmiu osiedlach Tanganiki (dzisiejsza Tanzania) umieszczono 6631 osób, przy czym w największym z nich, Tengeru, przebywało 4018 Polaków. Najmniej, bo 290, zamieszkało w Kenii. Wraz z uchodźcami wysłanymi na południe kontynentu liczba Polaków w Afryce przekroczyła 18 tys. Trzeba jednak zauważyć, że liczba ta ciągle się zmieniała – część Polaków umierała na skutek chorób tropikalnych, część została wcielona do wojska czy formacji paramilitarnych. Jednocześnie stale przybywali nowi uchodźcy. Paradoksalnie, po zakończeniu działań wojennych liczba Polaków w Afryce Wschodniej wzrosła.

Ryzykowne zabawy

Często Polacy nie byli przygotowani do życia w innym klimacie i popełniali błędy, które mogły kosztować ich życie. Danuta Kość, mieszkająca w osiedlu Masindi, wspominała w „Zesłańcu" z 2011 roku: „Pamiętam też szkolną wycieczkę nad jezioro Alberta. Ponieważ umiałam dobrze pływać, niewiele myśląc, wskoczyłam do wody. To była chyba największa głupota, jaką zrobiłam. Później, już po kąpieli, zobaczyliśmy w jeziorze hipopotamy i krokodyle. Dowiedzieliśmy się też, że w niektórych jeziorach Afryki żyją bakterie bardzo groźne dla ludzkiego organizmu. Na szczęście – nikt z nas wtedy nie zachorował".

Wielu Polaków podzielało pływacką pasję pani Danuty – niektórzy zapłacili za to życiem, zaatakowani przez krokodyle. Ale udało się też złapać i unieszkodliwić kilka z tych gadów.

Najczęstszą jednak przyczyną śmiertelności wśród wygnańców nie były dzikie zwierzęta, lecz tropikalne choroby, takie jak żółta gorączka, malaria, i inne powodowane przez pasożyty. Aby im zapobiec, wiele osób zostało przeniesionych w rejony, w których klimat był łagodniejszy, a choroby – zwłaszcza malaria – nie zbierały takiego żniwa. Takim specjalnym miejscem dla rekonwalescentów było utworzone w 1945 roku osiedle Rongai – położone w Kenii, na samym równiku, niedaleko Nairobi.

Dzieci znalazły się w wymarzonym miejscu do zabawy: Janina Lewszuk,

Fot. zbiory Edwarda Wakiku

Z upolowanym krokodylem; za dzieckiem Andrzej Paczyński

mieszkanka Tengeru, opowiadała: „No, my się bawiłyśmy jako małe dzieci w dżungli. Biegałyśmy, takie były zarośla wysokie, i takie jakby tunele. I my tymi tunelami. I ja nie wiem, jak to było, przecież tam węże były. I my biegałyśmy i tam się bawiliśmy i ja nie pamiętam, nie baliśmy się" (cyt. za: H. Chudzio, *Z Syberii na Czarny Ląd...*).

Danuta Sedlak z kolei wspominała w „Zesłańcu": „Tyle rzeczy w tej Afryce nas dziwiło i zachwycało. Nocne dźwięki tam-tamów z początku nas przerażały, podobnie jak Masajowie z nieodłączonymi dzidami i maczetami. Kiedyś była inwazja żarłocznych mrówek, które maszerowały wprost na nasz dom. [...] Pamiętam nalot szarańczy, które grubą warstwą pokryły wszystko dookoła, a Murzyni z wielką wprawą odrywali insektom skrzydełka i zajadali się odwłokami".

Często dochodziło do zabawnych sytuacji z udziałem Polaków i Afrykańczyków. Pewnego dnia para polskich dzieci podróżująca rowerem po okolicy straciła panowanie nad jednośladem i z wielkim hukiem wjechała w sam środek murzyńskiej wioski, powodując kraksę i... salwy śmiechu.

Życie w osiedlach było wolne od monotonii. Wydawano polskie czasopisma, działały drużyny harcerskie i inne organizacje młodzieżowe, szkoły, stowarzyszenia. Jednocześnie pamiętano, że trwa wojna, i mieszkańcy byli zdyscyplinowani. Każde osiedle miało swojego komendanta. Wyjazd do innej miejscowości wymagał specjalnej przepustki. Mimo to starano się prowadzić normalne życie – w miarę upływu czasu osiedla były coraz piękniejsze – mieszkańcy sadzili kwiaty, zakładali ogródki warzywne, w których hodowali między innymi ananasy, papaję, ale także kapustę. Ta ostatnia zresztą stała się przyczyną regularnych najść hipopotamów, które okazały się wielkimi amatorami tego warzywa.

Raj utracony

Likwidacja polskich osiedli rozpoczęła się po wojnie. Komunistyczne władze Polski zaczęły zachęcać uchodźców do powrotu. Oczywiście, mając w pamięci gehennę w „komunistycznym raju" ZSRR, niewielu było chętnych na powrót do kraju. Rodziny wojskowych mogły wyjechać do Wielkiej Brytanii. Wielu wybrało Kanadę, Australię i inne państwa wolnego świata. Była też spora grupa Polaków, która chciała osiedlić się w Afryce Wschodniej na stałe, ale na to Brytyjczycy nie wyrazili zgody.

– Anglicy bali się dużej grupy białych; biednych, a do tego dość dobrze zintegrowanych z lokalną ludnością. Pozwolono zostać tym, którzy mieli przydatne umiejętności, jak pan Piórkowski – z zawodu masarz, pan Nowicki – znany rajdowiec czy Jan Gębiś – zegarmistrz. Resztę, niekiedy siłą, załadowano na statki – opowiada Maria Sapieha. Ostatnie polskie osiedle zostało zlikwidowane w 1952 roku.

Po polskich uchodźcach zachowało się niewiele śladów – w Polsce rządzonej przez komunistów afrykański wątek w naszej historii był tematem tabu. Historie kresowych wygnańców były wszak żywym dowodem sowieckiej agresji i komunistycznych zbrodni popełnionych na obywatelach II Rzeczypospolitej. Jak wspominają sami zainteresowani, w powojennej Polsce jedynym akceptowalnym wyjaśnieniem historii z ich dzieciństwa było oświadczenie: „Znalazłam się w Związku Radzieckim w związku z niemieckimi działaniami wojennymi". Władze Polski Ludowej nie wykazały również żadnego zainteresowania pozostałościami po polskich osiedlach, licząc, że czas i klimat zatrą ślady po Polakach.

W Afryce władze kolonialne zezwoliły na pobyt jedynie wybranym osobom. Polskie wioski zostały rozebrane zaraz po wyjeździe Polaków, cmentarze zarosły tropikalną roślinnością. Smutny los spotkał cmentarz w ugandyjskiej miejscowości Koja, gdzie lokalny potentat w latach osiemdziesiątych postanowił zamienić nekropolię i okoliczną ziemię w pole uprawne. Przedsięwzięcie, z powodu braku zainteresowania władz PRL i niezrozumienia historii przez władze niepodległej Ugandy, zakończyło się pełnym sukcesem.

Fot. prywatne zbiory Domu Sapiehów

Książę Eustachy Kajetan Sapieha (z fajką) podczas wojny – jako przedstawiciel Czerwonego Krzyża

Informacja o zgonie jednego z mieszkańców polskiego osiedla

Fot. zbiory Edwarda Wakiku

Dopiero polscy misjonarze, przy współpracy z lokalnymi pasjonatami, a po 1989 roku przy pomocy polskich dyplomatów, zaczęli opiekować się pamiątkami po Polakach. Wśród Ugandyjczyków szczególnie należy wyróżnić Edwarda Wakiku, który opiekuje się polskim cmentarzem w Koji i nierzadko za własne pieniądze odzyskuje pamiątki po polskich uchodźcach, które następnie trafiają do lokalnego muzeum im. Adama Chłopickiego. Ciekawą inicjatywą była też misja Uniwersytetu Pedagogicznego z Krakowa pod przewodnictwem dr. Huberta Chudzi. Pracownicy naukowi i studenci zajęli się dokumentacją i renowacją trzech największych polskich cmentarzy w Tengeru (Tanzania) oraz w Koji i Masindi (Uganda). Dwa z nich zachowane były w dobrym stanie, ale nekropolia w Koji była bardzo zdewastowana. Z uczestnikami wyprawy z Krakowa współpracował ks. Ryszard Jóźwiak, polski salezjanin przebywający na misji w Ugandzie. Po częściowej rekonstrukcji cmentarz w Koji został uroczyście otwarty 4 listopada 2012 roku.

Do Afryki z radością wracają też sami Sybiracy. Z nostalgią odwiedzają pozostałości po czasach ich dzieciństwa. Odnajdują miejsca zabaw, drzewa, które zasadzono kilkadziesiąt lat temu – dziś prawdziwe afrykańskie olbrzymy.

Uwadze byłych uchodźców nie umknęła też trudna sytuacja materialna miejscowej ludności. Podjęli różne inicjatywy charytatywne. Na przykład Krystyna Pryjomko-Serafin zaczęła organizować pomoc dla dzieci więźniarek w Tanzanii. Sami Sybiracy nie traktują tego jako czegoś niezwykłego – raczej jako spłatę długu za gościnność, którą Afryka okazała przed laty polskim przybyszom.

Do nielicznych Polaków – potomków uchodźców w Afryce – należą przedstawiciele arystokratycznego rodu Sapiehów: Maria (Maryjka) Sapieha-Beckmann i Katarzyna Sapieha. Ich dziadek, książę Eustachy Kajetan Sapieha, był w grupie uchodźców przybyłych z Syberii do Afryki Wschodniej. Jako przedwojenny minister spraw zagranicznych nie miał możliwości powrotu do Polski opanowanej przez komunistów. Jednocześnie, z racji piastowania funkcji reprezentanta Czerwonego Krzyża, sprawował nadzór nad polskimi osiedlami w Afryce Wschodniej, a po ich rozwiązaniu jako jeden z nielicznych otrzymał zgodę na osiedlenie się Afryce.

– O pozostaniu w Kenii zdecydował cudowny klimat, przyjazne nastawienie miejscowej ludności i fakt, że w Kanadzie, Australii czy gdziekolwiek indziej trzeba by też układać swoje życie od zera – mówi Maria Sapieha.

Do Eustachego Kajetana Sapiehy dołączył po wojnie jego syn, Eustachy Seweryn Sapieha – kawalerzysta, uczestnik kampanii wrześniowej i więzień niemieckiego obozu jenieckiego. Pierwsze lata Sapiehów w Kenii były trudne – pozbawieni swojego majątku na Kresach, zrujnowani finansowo przez wojnę, byli zdani tylko na swoją pomysłowość. Jak wspomina Maria Sapieha, to, co pomogło im przeżyć trudne lata powojenne, to dobre wykształcenie, upór i wytrwałość, wiara w lepszą przyszłość, która pozwalała przemóc nostalgię za utraconym życiem kresowym. – A najważniejsze było przekonanie, że żaden rodzaj uczciwej pracy nie jest powodem do wstydu – podkreśla pani Maria. Jeszcze dosadniej ujął to Eustachy Sapieha w swoich wspomnieniach *Tak było*: „Tylko chamstwo wstydzi się biedy".

Sapiehowie w Kenii imali się różnych zajęć – prowadzili tartak, handlowali złomem, wydobywali rubiny, organizowali polowania czy safari. Maria Sapieha mówi: – Wrośliśmy w Kenię, która nas przyjęła i ugościła. Czuliśmy się tu jak u siebie na wsi. Nigdy nie mieliśmy poczucia bycia kimś obcym. Raczej staliśmy się tak Polakami, jak i Kenijczykami zarazem.

Losy polskich uchodźców w Afryce są odzwierciedleniem losów narodu polskiego okresu II wojny światowej – od aresztowań i prześladowań po tułaczy los, wywózkę, Syberię i zesłanie z dala od ojczyzny. Jedynym pozytywnym momentem, czasem radosnej przerwy od prześladowań, mitręgi i łez, były właśnie lata spędzone na Czarnym Lądzie. „Afryka kojarzy mi się ze szczęściem, poczuciem bezpieczeństwa, sytością. Głęboko utkwiła w moim sercu. Tyle lat tęskniłam za nią, za zapachem i kolorem ziemi, przypływami oceanu, bujną roślinnością i za tym ogromnym baobabem, za którym figlowały koczkodany" – wspominała w „Zesłańcu" Danuta Sedlak.

Fot. zbiory Edwarda Wakiku

Cmentarz w Koji po odbudowie, uroczyste otwarcie w listopadzie 2012 roku

Radosław Malinowski – laureat I miejsca w konkursie „Czytelnicy do Piór", mieszkaniec Nairobi

Nie takie straszne życie

Waldemar Kowalski

Fot. Kadry z filmu *Niedokończony film*

Głód, biedę, ale także rzekome luksusy i dostatek mieszkańców stołecznego getta pokazuje propagandowy materiał filmowy nakręcony przez Niemców wiosną 1942 roku. Manipulacyjny charakter tej produkcji, uznawanej przez lata za wiarygodne źródło informacji o życiu w getcie, demaskuje dokument *Niedokończony film* izraelskiej reżyserki Yael Hersonski.

Tytułowy niedokończony film to trwający 62 minuty propagandowy, czarno-biały materiał nakręcony przez Niemców w warszawskim getcie w maju 1942 roku. Z niewiadomych powodów, po wykonaniu zdjęć, dalsze prace nad filmem w Berlinie nie zostały ukończone.

Film ujrzał światło dzienne dopiero w roku 1954, kiedy to jego cztery rolki (umieszczone w puszkach na taśmy filmowe, opatrzone roboczym tytułem *Das Ghetto*) odnaleziono w archiwach filmowych w NRD. Materiał, którego produkcję przerwano na etapie montażu, nie miał ani ścieżki dźwiękowej, ani napisów początkowych i końcowych.

Odnalezienie niemieckiej produkcji propagandowej z getta było sensacją. Film – przechowywany w niemieckim Archiwum Federalnym – przez lata uznawano za rzetelne źródło wiedzy o zamkniętej dzielnicy żydowskiej w Warszawie, przykład zatrważającej, ale wiarygodnej relacji oprawców na temat swych ofiar.

Prawdziwe intencje twórców filmu odkryła po latach dopiero izraelska reżyserka Yael Hersonski. W *Niedokończonym filmie* z 2010 roku, dokumentalnym obrazie poświęconym kulisom powstania niemieckiej produkcji z getta, dowodzi ona, że zamiarem Niemców było kreowanie niezgodnego z prawdą obrazu rzeczywistości, powstającego na potrzeby zbrodniczej ideologii. Dokumentalistka dotarła m.in. do odnalezionej w 1998 roku piątej rolki filmu – trzydziestominutowego materiału, na który składały się sceny wycięte przez Niemców w trakcie prac nad filmem. Dowodzą one wielokrotnego aranżowania nagrywanych ujęć, aż do uzyskania zamierzonego efektu.

Reżyseria serdeczności

Niemiecka ekipa filmowa przybyła z Berlina do Warszawy 1 maja 1942 roku. Już następnego dnia „do Gminy zjawiła się [tak w oryginale] propaganda niemiecka, która udała się do aresztu i na Tłomackie do uchodźców i filmowała" – zanotował w swoim dzienniku prezes warszawskiego Judenratu, Adam Czerniaków. Zdjęcia w siedzibie Judenratu przy ul. Grzybowskiej kręcono jeszcze kilkakrotnie. 3 maja Niemcy zainscenizowali wejście interesantów i rabinów do gabinetu Czerniakowa, a następnie ich rozmowę, zakończoną serdeczną wymianą uścisków.

Pojawienie się filmowców na ulicach getta było nowością dla jego mieszkańców. Zamiary Niemców nie zawsze były jednak dobrze odczytywane przez Żydów. „W czasie kręcenia materiału doszło do zamieszek w żydowskim więzieniu. Gdy ekipa filmowa wraz z przedstawicielami Judenratu pojawiła się w więzieniu, wśród więźniów doszło do wybuchu paniki" – pisał w raporcie z 5 maja niemiecki komisarz ds. getta Heinz Auerswald. Spontaniczne reakcje więźniów uwiecznione na taśmie filmowej – tłumaczył nazista – wynikały z początkowej obawy o własne życie.

Nawet jeśli uczestnictwo w zdjęciach mogło być odbierane przez Żydów jako szansa na poprawę bytu, przedmiotowe traktowanie statystów przez niemieckich filmowców szybko te nadzieje rozwiewało. „W czasie filmowania w domu złapano na ulicy starego Żyda z bródką ➤

w szpic. Siedział u mnie w mieszkaniu kilka godzin, ale nie wykorzystano jego fotogeniczności. Wyobrażam sobie, co się działo, kiedy wrócił do domu i usiłował wytłumaczyć żonie, że nic nie zarobił, bo przez 3 godziny odstawiał »gwiazdora«" – pisał w dzienniku pod datą 15 maja Czerniaków.

Bogaci samolubni

Cel „ról aktorskich" odgrywanych przez Żydów był jeden: stworzenie mylnego wizerunku getta w filmie przygotowywanym na zlecenie ministerstwa propagandy III Rzeszy. Niemcy starali się ukazać żydowską dzielnicę jako zamknięty świat kontrastów, w którym jedni umierali z nędzy, ale inni żyli w zbytku. Wykazywano jednocześnie, że bogatych mieszkańców getta zupełnie nie obchodził los ubogich rodaków.

Zamożnym Żydom – jak próbowali dowieść Niemcy – nie przeszkadzały zwłoki leżące na ulicach. W rzeczywistości to Niemcy zabronili zbliżać się do ciał. Przechodniom nakazano, aby przeszli obok trupów bez oglądania się na nie.

W filmie znalazły się sceny, z których wynika, że widok słaniających się na nogach Żydów nie budził współczucia bogatszych mieszkańców getta, niezdających sobie sprawy z tego, czym jest głód. Żydowski historyk i pedagog Abraham Lewin napisał pod datą 16 maja w swoim dzienniku z getta: „Na rogu Żelaznej i Chłodnej mieści się żydowska restauracja. Wczoraj o 9-tej rano Niemcy wyprowadzili stamtąd wszystkie kelnerki, młode dziewczyny, ustawili na ulicy i kazali im zrobić wesołe miny i wyzywający wyraz twarzy. Jednocześnie zebrali oni gromadę żebrzących dzieci, kazali im przemaszerować przed wyelegantowanymi kelnerkami z wyciągniętymi rączkami, które jednak niczego nie otrzymały. Sfilmowali to, gdyż winno to pokazać, że Żydzi żyją w luksusie i nie dzielą się z głodującymi".

Trzy dni później Niemcy spędzili do restauracji Szulca na rogu Karmelickiej i Nowolipek grupę dobrze ubranych Żydów, a następnie – na koszt Gminy Żydowskiej – wyprawili im obfity obiad. „Żydzi jedli, a Niemcy filmowali. W jakim celu to robią – łatwo się domyślić. Niechaj świat zobaczy, w jakim raju Żydzi żyją. Żrą ryby i gęsinę, popijają likierem i winem" – relacjonował Lewin.

O podobnej scenie, pod datą 8 maja 1942 roku, wspominała w *Dzienniku z getta warszawskiego* niespełna osiemnastoletnia wówczas Mary Berg (właśc. Miriam Wattenberg). Pisała, że w jednym z bogatszych mieszkań przy ul. Chłodnej Niemcy urządzili przyjęcie. „Z najbliższej restauracji zarekwirowali najokazalsze półmiski z mięsem, ciastami i owocami – najprawdopodobniej jedynymi owocami, jakie można dostać w getcie. Łapali najlepiej ubranych przechodniów – mężczyzn i kobiety — i kazali im usiąść przy stole, jeść, pić i rozmawiać, po czym zaczęli kręcić swój niezwykły film. Czy będą go pokazywać w Berlinie, żeby dowieść, że ludność w getcie ma wszystkiego pod dostatkiem, a nawet produkty żywnościowe, których w Niemczech dostać nie można?" – pytała żydowska dziewczyna.

Codzienna rzeczywistość w getcie odbiegała od wizji sielanki, którą uwiecznili na filmie niemieccy propagandziści. Według nich, podczas gdy żebracy umierali na chodnikach i ulicach, w bogatych mieszkaniach żydowskich znajdowały się drogie meble, na stołach stały kwiaty w wazonach i czajniki z herbatą. Oprócz luksusu w getcie – w ujęciu okupantów – było miejsce także na radość – filmowani na ulicach Żydzi prezentowali na rozkaz Niemców swoje umiejętności taneczne, a dzieci beztrosko bawiły się przed kamerą na podwórkach kamienic.

Niemcy starali się dowieść, że Żydzi z getta nie tylko mogą godnie żyć, lecz także godnie umierać. W jednym z fragmentów filmu widać zaaranżowany przez okupantów kondukt żałobny towarzyszący ostatniej drodze jednego z Żydów. Wyprawiono mu uroczysty pogrzeb, choć gdyby nie kamera, zapewne wrzucono by niedbale jego zwłoki do zbiorowej mogiły, zazwyczaj zasypywanej wapnem.

Szydercza pornografia

Celem Niemców było nie tylko skontrastowanie ze sobą biednych i bogatych Żydów, ale także ich ośmieszenie oraz upokorzenie. Lewin zanotował pod datą 13 maja, że dzień wcześniej na ul. Dzielnej Niemcy schwytali grupę religijnych Żydów oraz grupę młodych i starszych kobiet z wyższych sfer. Skierowano ich siłą do pobliskiego zakładu kąpielowego (Czerniaków pisał o mykwie – rytualnej łaźni), gdzie rozebrano do naga i fotografowano. To, co wydarzyło się później, Lewin nazwał „diabelską igraszką" i „makabrycznym barbarzyństwem". „Oficerowie niemieccy zestawili parki spośród żydowskich przedstawicieli obu płci. Przydzielali przy tym młodej

Fot. Kadry z filmu *Niedokończony film*

Fot. Kadry z filmu *Niedokończony film*

dziewczynie – starego Żyda i odwrotnie: młodzieńcowi – starą kobietę. Zmuszali ich następnie do odbycia stosunku. Niniejsza scena, tj. akt seksualny (należy przyjąć, że był tylko pozorowany), został sfilmowany specjalnymi aparatami, które w tym celu przywieziono i zmontowano" – pisał Lewin, podkreślając, że w procederze uczestniczyło aż dwustu Niemców.

Jak getto widzieli natomiast niemieccy filmowcy? Na to pytanie Yael Hersonski odpowiada słowami Willy'ego Wista (w filmie izraelskiej dokumentalistki gra go niemiecki aktor Rüdiger Vogler), kamerzysty, który w maju 1942 roku – wraz z trzema innymi członkami ekipy filmowej – przybył do getta (w archiwach zachowała się wystawiona na jego nazwisko przepustka uprawniająca do wejścia do dzielnicy żydowskiej). Zeznając po wojnie jako świadek w śledztwie przeciw Auerswaldowi, Wist przyznał, że był zdziwiony decyzją o przenosinach z Berlina do Warszawy. „My, kamerzyści, jadąc do Warszawy, nie mieliśmy pojęcia, co tam zastaniemy. Jak wiele razy wcześniej, zostaliśmy jedynie zwięźle poinformowali, że mamy tam kręcić" – oświadczył Wist, którego powojenne relacje zacytowano w filmie Hersonski.

Ekipie filmowej w getcie – podkreślił niemiecki operator kamery – towarzyszyli żołnierze SS, których obecność przerażała Żydów. Według Wista, to esesmani dostarczali siłą żydowskich „aktorów" przed kamerę, a o tym, jakie sceny filmowano, decydował wysoki rangą nazista, którego nazywano „Złotym Bażantem". Miał się on jednak zupełnie nie znać na sztuce filmowej. Kamerzysta z getta zaprzeczył, jakoby znał Auerswalda; tłumaczył również, że nie wiedział, w jakim celu nakazano mu kręcić film w getcie, choć przeczuwał, że będzie to produkcja o charakterze manipulacyjnym. Jak podkreślił, do końca nie wiedział jednak, że Żydów z getta czeka planowa eksterminacja.

Wywożenie Żydów do Treblinki w ramach wielkiej akcji likwidacyjnej getta rozpoczęło się 22 lipca 1942 roku, niecałe trzy miesiące po przyjeździe do Warszawy niemieckiej ekipy filmowej. Wist, świadek końcowego okresu życia wielu z uwiecznionych na filmie ludzi, zaznaczył, że widoki z getta na długo pozostały mu w pamięci. „To, co zobaczyłem w Warszawie, miało na mnie silny wpływ [...]. Obrazy te przez dłuższy czas nie dawały mi spokoju" – przyznał po latach.

Waldemar Kowalski – historyk, dziennikarz

Fot. Kadry z filmu *Niedokończony film*

Atak spod ziemi

Szymon Nowak

W jasną, ciepłą sierpniową noc z włazu przy pl. Bankowym w Warszawie bezszelestnie wyłaniały się postaci umundurowane w zdobyczne niemieckie panterki. Schyleni powstańcy bezgłośnie pokonywali odkryty teren i szukali kryjówki w gruzach, w krzakach, a nawet w wyschniętej fontannie pośrodku placu. Było po pierwszej w nocy, już 31 sierpnia 1944 roku. Rozpoczynała się chyba jedyna taka akcja na świecie, w której polscy żołnierze powstańczej armii do wyjścia i ataku na tyły wroga wykorzystali sieć podziemnych kanałów ściekowych.

Przedwojenna sieć miejskiej kanalizacji ściekowej powstała jeszcze w czasie rozbiorów, dzięki rosyjskiemu inżynierowi i generałowi – Sokratesowi Starynkiewiczowi, który w latach 1875––1892 pełnił obowiązki prezydenta Warszawy. To za jego rządów zapoczątkowano budowę kanałów.

Warszawskie kanały

Prezydent zlecił zaprojektowanie oraz budowę sieci wodociągów i kanalizacji angielskiemu inżynierowi Williamowi Lindleyowi, który zbudował podobny system we Frankfurcie nad Menem. Lindley opracował projekt w latach 1876––1878, a realizował go od roku 1881 jego syn William Heerlein Lindley. System kanałów uwzględniał naturalny spadek terenu, z południa na północ oraz do Wisły. Sieć odprowadzała do rzeki wszystkie rodzaje ścieków (nieczystości miejskie, domowe i deszczówkę). Oprócz wejść do kanałów – betonowych studni o średnicy 120 cm, z klamrami ułatwiającymi zejście, przykrytych metalowymi, okrągłymi włazami, sieć uzupełniały studzienki wentylacyjne.

Wykorzystanie podziemnych kanałów ściekowych podczas Powstania Warszawskiego było ewenementem na skalę światową. Co prawda, już podczas powstania w warszawskim getcie kanały służyły do ewakuacji żydowskich powstańców, ale dopiero w sierpniu i wrześniu 1944 roku wykorzystano je w tak dużym stopniu – jako sieć łączności oraz do ewakuacji wojska i ludności cywilnej. Pod ziemią przenoszono meldunki, rozkazy, pocztę, uzbrojenie, amunicję. Znany jest także jedyny przypadek, kiedy sieć podziemnych kanałów posłużyła powstańcom jako podziemna droga do zbrojnego desantu na tyły Niemców – było to właśnie na pl. Bankowym.

Plan przebicia

Pod koniec sierpnia 1944 roku wojska powstańcze na Starym Mieście zostały otoczone przez przeważające siły niemieckie i stłoczone na niewielkim obszarze. W tej sytuacji płk Antoni Chruściel „Monter", faktyczny dowódca powstania, wyraził zgodę na proponowaną przez płk. Karola Ziemskiego „Wachnowskiego" – dowodzącego na Starówce – próbę przebicia korytarza do Śródmieścia

Powstańcy ze Starówki na ulicy Wareckiej po wyjściu z kanału

Fot. NAC

i przejścia tam całego wojska z rannymi i cywilami.

Zadanie planowano wykonać w nocy z 30 na 31 sierpnia o 23.00, przy jednoczesnym natarciu oddziałów ze Starego Miasta i Śródmieścia, jako wsparcie dla desantu kanałowego na pl. Bankowy. Odległość między stanowiskami przednimi wynosiła ok. 800 m (w linii prostej od ul. Bielańskiej do ul. Grzybowskiej), szerokość przebijanego korytarza przez pozycje niemieckie miała mieć ok. 400 m. Plan akcji podziemnej zakładał wyjście powstańców z kanałów o 23.00 i opanowanie pl. Bankowego przez oddział liczący ok. 110–150 powstańców. W skład grupy szturmowej wchodziły: oddział wydzielony z batalionu „Czata 49", pluton „Torpedy" z batalionu „Miotła" i pluton Oddziału Specjalnego „Juliusz". Desant miał przejść kanałami pod pozycjami zajętymi przez Niemców, wyjść włazami na pl. Bankowym i opanować teren przez zaskoczenie. Po zamknięciu ostrzałem wylotów ulic Elektoralnej, Przechodniej i Żabiej miał współdziałać z kolumną główną przez uderzenie w kierunku Szpitala Maltańskiego (Pałac Mniszchów, dziś siedziba ambasady belgijskiej). Po opanowaniu pl. Bankowego oddział miał dać sygnał do natarcia ze Starówki i Śródmieścia przez wystrzelenie w powietrze zielonej rakiety. Do dowodzenia oddziałem wyznaczono: por. Zbigniewa Ściborа-Rylskiego „Motyla" i por. Zdzisława Zołocińskiego „Piotra" (obaj z batalionu „Czata 49"). Wydaje się, że akcją oddziału szturmowego miał dowodzić por. „Piotr", a por. „Motyl" miał nadzorować akcję z ramienia dowódcy batalionu, gdyż był jego zastępcą. Z ustaleń na odprawie u dowódcy Grupy „Północ" (29 sierpnia) wynikało, że na pl. Bankowym dostępne są trzy włazy do wyjścia z kanałów. Plac miał też być wolny od nieprzyjaciela, a najbliższe jego stanowiska miały znajdować się w Szpitalu Maltańskim i Ogrodzie Saskim.

Porucznik „Piotr" opisał inną odprawę – u dowódcy zgrupowania, ppłk. Jana Mazurkiewicza „Radosława", który powiedział: „Waszym przeznaczeniem jest zginąć, aby Starówka mogła przejść. Macie robić jak najwięcej hałasu i obciążać jak najdłużej siły nieprzyjaciela, potem możecie się połączyć z nacierającymi oddziałami lub przebijać się samemu do Śródmieścia".

Marsz pod ziemią

Około 20.00, 31 sierpnia, większa część grupy przeznaczonej do ataku spod ziemi na zaskoczonych Niemców zaczęła schodzić do kanału włazem znajdującym się przy pl. Krasińskich. Liczebność tych żołnierzy z batalionów „Czata 49" i „Miotła" wynosiła ok. 100–120 powstańców.

Przebieg podziemnej trasy wyglądał prawdopodobnie tak: pl. Krasińkich – ul. Miodowa (489 m, kanał o wymiarach 1,2 x 1,7 m) – Krakowskie Przedmieście (267 m) – ul. Trębacka (145 m, 0,6 x 0,9 m) – ul. Wierzbowa (298 m, 0,6 x 1,1m) – ul. Senatorska i właz przy pl. Bankowym (229 m, 0,6 x 1,1m). Łączna długość tej trasy to 1428 m.

Dużym utrudnieniem, jeszcze przed oddaniem pierwszych strzałów, było to, że wydzielony pluton z OS „Juliusz" (ok. 30–50 ludzi ze zgrupowania „Kuba-Sosna" pod dowództwem por. Zygfryda Marii Urbanyia „Juliusza") spóźnił się na pl. Krasińskich i wszedł do kanałów już po zejściu grupy głównej. Następnie, błądząc w kanałach, nie zdołał się połączyć z oddziałem por. „Motyla" i por. „Piotra". Jeszcze większą szkodą dla akcji było spóźnienie grupy łączności z telefonem polowym, która miała pójść z desantem i rozwinąć w kanale kabel, by zapewnić kontakt z dowództwem Grupy „Północ". Wobec spóźnienia się łącznościowców, żandarmi pilnujący włazu nie wpuścili tej grupki do kanału, nie dając wiary w zapewnienia, że są oni integralną częścią oddziału desantowego na pl. Bankowy, a nie uciekinierami. Już na wstępie zatem grupa główna została pozbawiona prawie trzeciej części zaplanowanych do walki sił (OS „Juliusz") oraz łączności z dowództwem. Jeszcze zanim grupa z „Czaty" i „Miotły" zdołała wejść do kanałów, dowództwo akcji przesunęło godzinę ataku z 23.00 na 00.30, a następnie na 1.00. I ta godzina obowiązywała oddział desantu kanałowego, gdy powstańcy zniknęli w otworze włazu. W ciągu około trzech godzin przebyli trasę liczącą 2–3 km, przemierzając korytarze kanałów wysokie na 2 m, ale także niższe, mierzące niewiele ponad metr, przy których pokonywaniu konieczne było wyczerpujące zgięcie ciała wpół czy nawet chodzenie na czworakach. Po dojściu na teren akcji okazało się, że czynny jest tylko właz przy fontannie na pl. Bankowym, nieopodal figury św. Jana Nepomucena. Pozostałych dwóch włazów (jeden znajdował się nieopodal ul. Tłomackie) nie

Powstaniec wychodzi z kanału, pomagają mu żołnierze ze Śródmieścia

Fot. NAC

zdołano już otworzyć. Najprawdopodobniej zostały zablokowane przez Niemców pojazdami.

W tym czasie wśród zgromadzonych w kanale pod pl. Bankowym powstańców poczęły rodzić się wątpliwości – wychodzić jedynym czynnym włazem czy też odwołać akcję? Niestety, wstępne rozpoznanie włazu przy fontannie przyniosło niepomyślne wiadomości – z zewnątrz dochodziły głosy w języku niemieckim, słychać było kroki w wojskowych podkutych butach. Dla pewności por. „Piotr" ostrożnie odchylił pokrywę włazu i wyjrzał na powierzchnię. Na zewnątrz widać było całe mnóstwo rozbitych jasnych wojskowych namiotów, a niemieccy żołnierze kręcili się wokół w grupkach, rozmawiając i paląc fajki oraz papierosy. Rozpoznanie przyniosło kolejne obiekcje co do wyniku przyszłego boju, jednak cicha narada dowództwa zakończyła się decyzją o przeprowadzeniu akcji. Głównym zwolennikiem walki w tych warunkach był ppor. Jan Byczkowski „Cedro", który zobowiązał się jako pierwszy ze swym plutonem wydostać na zewnątrz. Następnie, ubezpieczywszy wyjście, postanowiono wywołać zamieszanie wśród Niemców, by umożliwić wydostanie się z kanału pozostałym żołnierzom. Po takich ustaleniach powstańcy zdecydowali się działać.

Walka

Już po rozpoczęciu walki przez oddziały Śródmieścia, kilka minut po godz. 1.00 w nocy 31 sierpnia pierwsza grupa, prowadzona przez ppor. Byczkowskiego, zaczęła po cichu wychodzić na powierzchnię. Najpierw na górę wydostał się ppor. „Cedro", następnie powstańcy z drużyny „Winnickiego". Żołnierze, nie atakując na razie wroga, zaczęli zajmować stanowiska – część przy wylocie ul. Senatorskiej, część pod figurą św. Jana Nepomucena oraz w okolicy fontanny pośrodku pl. Bankowego, a niektórzy w ruinach zburzonego Pałacu Błękitnego. Co się działo dalej – nie udało się dotychczas dokładnie ustalić. Według pierwszej wersji, jeden z powstańców nieostrożnie nadepnął na blachę, alarmując Niemców, którzy otworzyli ogień. Według innej relacji, leżących powstańców zauważył Niemiec idący „za potrzebą". Niewykluczone, że obie wersje są prawdziwe. Być może obudzony hałasem blachy Niemiec wyszedł z namiotu, by sprawdzić, co się dzieje, i wtedy natknął się na leżących powstańców. W każdym razie, gdy udało się wyjść z kanałów około dziesięciu powstańcom, nieprzyjaciel zorientował się w sytuacji i rozpoczęła się strzelanina.

Początkowo zdezorientowany nieprzyjaciel, nie znając przyczyn niepokoju, prowadził dość chaotyczny ogień. Z pewnością Niemcy nie spodziewali się, że powstańcy przeniknęli na ich tyły, korzystając z podziemnego przejścia kanałami ściekowymi. Jan Romańczyk „Łata" z „Miotły" wspominał w relacji dla Stowarzyszenia Pamięci Powstania Warszawskiego 1944: „Naraz słychać strzały nad kanałem. Ci, co są przy wyjściu, cofają się. We włazie pokazuje się głowa jednego z tych, co wyszli, i krzyczy: »Wychodźcie!«. Z całą siłą przepycham się do wyjścia, przede mną był »Marek«, za mną »Sowa«, »Gabryś« i »Kamiński«. Po wyjściu »Kamiński« pobiegł na skwer w krzaki, a my pobiegliśmy do fontanny. Na placu zapanowała bezładna strzelanina. Daje się odczuć, że Niemcy są zdezorientowani, coraz intensywniej jednak ostrzeliwują wyjście z kanału".

Kiedy Niemcy już odkryli drogę, którą Polacy wydostali się na plac, rozpoczęli bardzo silne ostrzeliwanie włazu z broni maszynowej i granatników. Wystrzelili rakiety, które oświetliły pole walki. Osaczeni i ostrzeliwani ze wszystkich stron powstańcy rozpaczliwie bronili zajmowanych pozycji. Wyszło ich na zewnątrz ok. 25–30. Kilku z nich usadowiło się w fontannie, a obsługi lekkich karabinów maszynowych zajmowały pozycje najprawdopodobniej usytuowane w ruinach Pałacu Błękitnego oraz pod figurą św. Jana Nepomucena.

Tymczasem celny ostrzał z granatników zniszczył właz. Okazało się, że nie ma już możliwości wydostania się na górę. Wtedy dowodzący w kanale postanowili wycofać ludzi z placu do włazu. Decyzję taką przypieczętowała informacja o tym, że dowódca grupy, której udało się wydostać z kanałów, ppor. „Cedro", zginął na samym początku walki – gdy on i Niemiec oddali do siebie nawzajem śmiertelne strzały.

Ostatnimi, którym udało się wydostać na górę, byli prawdopodobnie Zenon Jackowski „Horski" oraz Jerzy Drzewiecki „Jurek". Ten drugi przekazał rozkaz wycofania się całej grupy do kanału, a następnie osłaniał odwrót powstańców, rzucając granaty. Jako jeden z pierwszych wycofał się Marek Gadomski „Kurier Marek". Ranny w rękę dotarł

Powstaniec wychodzący z włazu kanałowego

Fot. NAC

do włazu, jednak trzymając w zdrowej ręce pistolet maszynowy Błyskawica, nie był w stanie zejść po klamrach. Zeskoczył na stojących poniżej w kanale kolegów, a peem Błyskawica wypalił w kanale na dole – na szczęście nikogo nie raniąc. Następnie do kanału poczęli wskakiwać pozostali powstańcy, wcześniej wystrzeliwszy ostatnie pociski. Do włazu dopadło i zdołało wycofać się z pola walki około dwudziestu żołnierzy. Po zamknięciu klapy, od góry zaczęli dobijać jeszcze pozostawieni na powierzchni powstańcy – „Łata", „Marek" i „Sowa", którym ostatecznie umożliwiono wskoczenie do kanałów. „Łata" wspominał: „Zorientowaliśmy się, że tylko nas czterech pozostało w fontannie. Robiąc zasłonę dymną z granatów, wycofujemy się. Ja ostatni wpadam do włazu. Klapa pod wpływem wybuchu granatu zamyka się, opadając mi na głowę. Spadam na »Marka«. Klapa przycina »Błyskawicę« i mój kciuk u lewej ręki". Na powierzchni odcięty pozostał jeszcze jeden człowiek. Był to amunicyjny „Horskiego" – Jan Pęczkowski „Kamiński", obsługujący na placu granatnik zdobyty chwilę wcześniej na Niemcach (zastrzelił dwuosobową obsługę). Gdy pozostali uczestnicy akcji schronili się w kanałach, osamotniony „Kamiński" począł biec w kierunku Ogrodu Saskiego, udając niemieckiego gońca. Powstaniec ubrany był w niemiecki mundur, co ułatwiło mu podstęp. Niemcy, biorąc go za swego, ostrzegali go nawet przed powstańczym ostrzałem. Ostatecznie „Kamiński" znalazł schronienie w piwnicach zalanej Galerii Luksemburg. Następnie ukrywał się w podziemiach kościoła św. Antoniego Padewskiego aż do końca października, kiedy to opuścił Warszawę.

Porażka

Walka na pl. Bankowym trwała ok. 40–50 minut. Wobec niepowodzenia akcji, dowodzący por. „Motyl" i por. Piotr" wysłali kuriera na Starówkę z zapytaniem, co dalej czynić. Po około dwóch godzinach oczekiwania zjawił się łącznik z wiadomością, że oddział ma wrócić na Starówkę. W kanale, wobec ogromnego zmęczenia ludzi, zapadła dość kontrowersyjna decyzja. Mianowicie powstańcy postanowili nie wypełniać rozkazu pułkownika, tylko odejść do Śródmieścia. Oczywiście decyzja grupy była jak najbardziej słuszna i racjonalna. Żołnierze byli przemęczeni, niektórzy ranni, głodni, spragnieni, niewyspani. Wielu z pewnością miało gorączkę. W takiej sytuacji nie nadawali się do powrotu i podjęcia działań bojowych na Starówce.

Kanałowa trasa oddziału na Śródmieście prowadziła pod Ogrodem Saskim, skrzyżowaniem ul. Marszałkowskiej z ul. Królewską, dalej Królewską w stronę Krakowskiego Przedmieścia – łącznie to ok. 1,2 km.

Straty powstańcze na pl. Bankowym były duże. Na powierzchni zginęli ppor. Jan Byczkowski „Cedro" i pchor. Wojciech Perzyński „Winnicki". Od ran już w Śródmieściu zmarł kpr. pchor. Ryszard Woliński „Dąb". Ranni zostali: ppor. „Marek", pchor. „Kurier Marek", plut. „Leon", kpr. „Sylwek", pchor. „Bratkiewicz", pchor. „Kawecki", kpr. „Andrzej", pchor. „Bogdan", pchor. „Łata", kpr. „Sowa", pchor. „Horski". Łącznie stanowili oni prawie połowę stanu oddziału walczącego na górze. Efektownie zaplanowana akcja kanałowa na pl. Bankowym nie zdołała wpłynąć na naziemne działania powstańców ze Starówki i Śródmieścia, a próba przebicia górą także zakończyła się niepowodzeniem.

Szymon Nowak – historyk, znawca Powstania Warszawskiego, autor książek *Przyczółek Czerniakowski 1944* (2011) *i Puszcza Kampinoska – Jaktorów 1944* (2011), *Ostatni szturm. Ze Starówki do Śródmieścia 1944* (2012)

Fot. NAC

Fot. Muzeum Powstania Warszawskiego

Sztandar kompanii „Zemsta" Batalionu „Pięść" uszyty w pierwszych dniach powstania przez zakonnice z Domu Starców z Karolkowej

Likwidatorzy w Powstaniu

Katarzyna Utracka

Po przeszło siedemdziesięciu latach od utworzenia oddziału 993/W, Służba Kontrwywiadu Wojskowego dziedziczy chlubne tradycje tej jednostki, nawiązując jednocześnie do dziejów i etosu Kontrwywiadu KG ZWZ-AK. Żołnierze oddziału z narażaniem życia wykonywali na ulicach okupowanej Warszawy wyroki śmierci na zdrajcach i konfidentach, a w sierpniu i wrześniu 1944 roku jako kompania „Zemsta" Batalionu „Pięść" walczyli na barykadach Woli, Starówki i Śródmieścia oraz toczyli walki w Puszczy Kampinoskiej.

Pierwsze wyroki śmierci na zdrajcach i konfidentach gestapo były wykonywane już w końcu 1939 roku przez terenowe jednostki Służby Zwycięstwu Polski, później Związku Walki Zbrojnej na podstawie wniosków zatwierdzanych przez komendantów okręgów. Wiosną 1940 roku rozpoczęło działalność podziemne sądownictwo. Początkowo Sądy Kapturowe, a następnie Wojskowe i Cywilne Sądy Specjalne wydawały wyroki śmierci za zdradę, szpiegostwo, denuncjację, prowokację i nieludzkie prześladowanie ludności. Tylko warszawskie WSS orzekły blisko 350 wyroków śmierci. Egzekucją ich zajmowały się specjalne oddziały powstające w ramach Związku Odwetu, a później Kierownictwa Dywersji (Kedywu). O powołaniu własnej jednostki tego typu pomyślano również w kontrwywiadzie Komendy Głównej Armii Krajowej.

Początkowo w Oddziale II (Informacyjno-Wywiadowczym) KG ZWZ nie planowano tworzenia własnego aparatu bezpieczeństwa i kontrwywiadu, lecz wykorzystywanie działającego na szczeblu Okręgu Warszawa-miasto. W związku jednak ze stałą rozbudową KG dalsze korzystanie z kontrwywiadu okręgu stawało się uciążliwe. Wiosną 1941 roku KG ZWZ powołała więc własny pion kontrwywiadowczy, na którego czele stanął por. Bernard Zakrzewski „Oskar", przedwojenny podprokurator Sądu Okręgowego w Pińsku. Kontrwywiad stał się dziewiątym wydziałem Oddziału II, stąd jego poszczególne referaty nosiły kryptonimy liczbowe od 991 do 999.

Oddział wykonawczy

Najbardziej rozbudowanym referatem w Wydziale Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu był referat 993. Skupione w nim

Fot. Muzeum Powstania Warszawskiego

komórki zajmowały się przygotowywaniem egzekucji osób skazanych wyrokami Podziemia, a następnie ich wykonaniem. W tym celu powołano oddział likwidacyjny, który początkowo nosił kryptonim „Wapiennik", a następnie 993/W (Wykonawczy).

Pomysł utworzenia własnej jednostki likwidacyjnej pojawił się w kontrwywiadzie KG ZWZ w połowie roku 1941. Chodziło nie tylko o usprawnienie wykonywania wyroków, ale również o to, żeby nie powierzać ludziom spoza kontrwywiadu informacji z zakresu bezpieczeństwa KG. Ostatecznie w listopadzie 1941 roku oddział taki został powołany, a dowództwo nad nim objął ppor. Leszek Kowalewski „Twardy" (w listopadzie 1942 roku awansowany na porucznika). Miał on za sobą już spore doświadczenie konspiracyjne. Początkowo, jako żołnierz organizacji „Orzeł Biały", brał udział w działaniach partyzanckich na Lubelszczyźnie. Po wydostaniu się z niemieckiej zasadzki i powrocie do Warszawy, wstąpił w szeregi ZWZ i został zastępcą dowódcy baterii artylerii 7. pułku piechoty „Madagaskar"/„Garłuch". Następnie był zastępcą dowódcy grupy wykonawczej Okręgu Warszawa-Miasto ZWZ. Wówczas też uczestniczył w głośnej akcji likwidacyjnej znanego przed wojną aktora, Igo Syma, zdrajcy i prowokatora. 21 lipca 1943 roku „Twardy" został aresztowany przez patrol niemieckiej żandarmerii i osadzony na Pawiaku, sześć dni później rozstrzelany.

Mimo ciosu, którym była utrata dowódcy, oddział 993/W funkcjonował nadal. Wkrótce na nowego dowódcę powołano ppor. Stefana Matuszczyka „Porawę" (w 1943 roku awansowany na porucznika, a rok później na kapitana). Od listopada 1939 roku działał w konspiracyjnej Organizacji Wojskowej „Wilki", następnie w „Unii", a po jej scaleniu z AK dowodził 214. plutonem i jednocześnie wykładał na kursach podchorążych rezerwy w Obwodzie Żoliborz. Zastępcą dowódcy oddziału był bliski znajomy „Twardego", kpr. pchor. Tadeusz Towarnicki „Naprawa" (w maju 1944 roku awansowany na podporucznika).

Juliusz Kulesza, współautor książki *Przeciw konfidentom i czołgom*, uważa „Naprawę" „za jednego z najwaleczniejszych i najbardziej ofiarnych żołnierzy Polski Podziemnej". Razem z „Twardym" Towarnicki zdołał wydostać się z zasadzki na Lubelszczyźnie. Następnie na czele kilkunastoosobowej grupy wykonywał akcje dywersyjno-odwetowe na własną rękę. Jego sprawa trafiła do WSS, gdzie jednak wzięto pod uwagę uczciwe intencje oskarżonego i ją umorzono. Po zakończeniu „prywatnej wojny" z Niemcami „Naprawa" został żołnierzem „Madagaskaru", gdzie na czele patrolu bojowego przeprowadzał akcje likwidacyjne.

Rozbudowa

Początkowo grupę bojową kontrwywiadu tworzyło jedynie dwóch ludzi: ppor. „Twardy" i jego zastępca – kpr. pchor. „Naprawa". Od jesieni 1942 roku oddział jednak stale się rozrastał. Wiosną 1943 roku był już silną jednostką bojową, złożoną z czterech patroli o łącznej liczbie trzydziestu osób. Niespełna rok później liczył już blisko 120 żołnierzy, sformowanych w trzech plutonach. Dwa miesiące przed wybuchem Powstania Warszawskiego 993/W został przeorganizowany w kompanię strzelecką,

› Pierwsze dni powstania; zbiórka kompanii „Zemsta" Batalionu „Pięść" na terenie ogrodów Domu Starców przy ul. Karolkowej

Fot. S. Baluk „Kubuś", MPW

która pod koniec lipca 1944 roku weszła w skład tworzącego się Batalionu Specjalnego.

Większość członków oddziału rekrutowała się ze środowiska rzemieślniczo-robotniczego, a wiek ich wahał się od 20 do 25 lat. 993/W dysponował własnym zespołem wywiadowczyń, które prowadziły czynności inwigilacyjne, poprzedzające wykonanie wyroku. „Przy takich dziewczynach nie można się było bać" – wspominał po latach jeden z członków oddziału Ryszard Bielański „Rom". Jednostka miała również dwóch własnych lekarzy.

Oddział otrzymywał rozkazy bezpośrednio od zastępcy szefa kontrwywiadu, zazwyczaj już ze wszystkimi potrzebnymi danymi. Jeśli jednak nimi nie dysponowano, trzeba było samodzielnie zorganizować obserwację skazanego i ustalić plan działania, który musiał zostać zatwierdzony przez dowództwo kontrwywiadu. Wówczas dopiero dowódca 993/W wybierał patrol, któremu przekazywał rozkaz wykonania wyroku. Dowódca patrolu opracowywał plan działania, przede wszystkim wybierał pierwszego wykonawcę, ustalał rozstawienie ubezpieczających oraz trasę odwrotu i punkt zborny po akcji. Wykonawcy akcji nie otrzymywali uzasadnienia wyroku. Zespół 993/W jako oddział AK podlegał dyscyplinie wojskowej. Żołnierze jego musieli więc uznawać orzeczenia sądowe za w pełni wiarygodne, co umożliwiało sprawne funkcjonowanie oddziału.

Fot. S. Bałuk „Kubuś", MPW

Cmentarz ewangelicki; ewakuacja rannego kpr. pchor. Adama Grymaszewskiego „Jastrzębia" z kompanii „Zemsta" Batalionu „Pięść"

Kara dla zdrajców

Jednym z pierwszych większych sukcesów grupy była likwidacja w 1942 roku szefów niemieckiej organizacji prowokatorskiej, która skutecznie zaczęła przenikać w struktury polskiego podziemia. Jej organizatorem i pierwszym dowódcą był Józef Hammer (występuje również jako Józef Hammer-Baczewski), który – korzystając z poparcia Abwehry – zorganizował w Warszawie silną siatkę konspiracyjną pod nazwą Nadwywiad Rządu Londyńskiego. Pozyskiwał on do swojej organizacji Polaków przekonanych, że działają w supertajnej komórce powołanej na polecenie gen. Władysława Sikorskiego. W ten sposób prowokatorom udało się zwerbować część członków polskiego personelu Pawiaka, którzy, będąc zaprzysiężonymi w więziennej komórce konspiracyjnej, zajmowali się przekazywaniem informacji, tzw. grypsów, od osób uwięzionych do ich zwierzchników. Kiedy rozpoczęły się aresztowania wśród personelu Pawiaka, kontrwywiad AK zainteresował się sprawą i wpadł na trop Hammera. Jego likwidację powierzono grupie „Twardego", co było dowodem na to, że zespół już zdążył zdobyć dostateczne zaufanie przełożonych. Zastrzelenie dowódcy zakłóciło działanie siatki, ale go nie przerwało. Wyznaczony został nowy szef – Edward Zajączkowski, który jako Bogdan Bogdanowicz był jednocześnie członkiem konspiracyjnej organizacji Komenda Obrońców Polski. Wyeliminowanie Zajączkowskiego przez 993/W spowodowało ostateczny rozpad siatki. Tomasz Strzembosz w książce *Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1939––1944* likwidację kierownictwa Nadwywiadu nazwał „najważniejszą akcją wyrokową roku 1942".

30 marca 1943 roku 993/W przeprowadził kolejną dużą akcję, która na trwałe zapisała się w historii okupowanej Warszawy. W cukierni „Europejska" przy ul. Marszałkowskiej zlikwidowano dwóch funkcjonariuszy krakowskiego gestapo. Akcję tę wykonano przy udziale aż dwunastu ludzi. Trzy miesiące później 993/W przeprowadził kolejną głośną akcję, która okazała się jedną z największych i najbardziej dramatycznych w historii oddziału. Tym razem celem był Ernst Dürrfeld, który jako nadzorca przedsiębiorstw komunalnych okupowanej stolicy przyczynił się do aresztowania wielu Polaków. Akcja zakończyła się zranieniem

Żołnierze kompanii „Zemsta" Batalionu „Pięść" składający do grobu trumnę ppor. Tadeusza Towarnickiego „Naprawy"; 2 sierpnia 1944 roku

Fot. S. Bałuk „Kubuś", MPW

Dürrfelda oraz zabiciem niebezpiecznego konfidenta i szmalcownika – niejakiego Śliwińskiego.

Swoją najgłośniejszą akcję likwidacyjną oddział przeprowadził w październiku 1943 roku. Chodziło o wyeliminowanie Józefa Staszauera vel Daldera „Astona", groźnego konfidenta gestapo, a zarazem oficera V Oddziału KG AK. Akcję przeprowadzono w barze „Za kotarą" przy ul. Mazowieckiej. Oprócz Staszauera zlikwidowano jeszcze dziesięciu innych konfidentów. Niestety, wśród zastrzelonych było kilka osób, które przypadkowo znalazły się w lokalu. Wywiadowczyni Danuta Hibner „Nina", ciężko ranna w akcji, wspominała: „Wszystko rozgrywa się w tak zawrotnym tempie, jak na przyspieszonej taśmie filmowej. Zamiast podniesionych w górę rąk widzę stojącego Staszauera, chwytającego za słuchawkę telefoniczną, charakterystyczny ruch ręki, sięgającej do kieszeni, czarny błysk rewolweru… Gruchnęły strzały. […] Jestem zupełnie ogłuszona, huk wystrzałów jest taki, że mam wrażenie, iż cała »kotara« wyleci za chwilę w powietrze. Istne piekło. Efenka [pistolet] zacina się. Psiakrew! – akurat w porę. Chcę repetować i w tej chwili czuję, że palce lewej ręki mam zupełnie drętwe. […] Idąc staram się nie patrzeć na leżące ciała. Trochę tego za dużo…".

Największym jednak sukcesem 993/W było zlikwidowanie 20 czerwca 1944 roku jednego z najbardziej szkodliwych konfidentów gestapo – Eugeniusza Świerczewskiego „Gensa", który współpracując z dwojgiem innych agentów – Ludwikiem Kalksteinem i Blanką Kaczorowską – przyczynił się do aresztowania wielu osób z kierownictwa Oddziału II KG AK. Miał on również związek z aresztowaniem gen. Stefana Roweckiego „Grota".

Ogółem oddział 993/W przeprowadził ponad siedemdziesiąt akcji bojowych. W kilku przypadkach jednak nie udało się osiągnąć zamierzonego celu. Oprócz wykonywania egzekucji, które stanowiły zdecydowaną większość zadań, oddział przeprowadzał również akcje odbicia więźniów i ewakuacji magazynów. W sumie żołnierze 993/W zlikwidowali przynajmniej siedemdziesięciu funkcjonariuszy niemieckiego aparatu terroru i konfidentów. Straty oddziału były stosunkowo niskie. W trakcie dwuipółletniej służby poległo jedynie trzech żołnierzy, a dwóch straciło życie w konsekwencji aresztowania.

Przez Wolę i Starówkę do Śródmieścia i Kampinosu

W końcu lipca 1944 roku AK przygotowywała się do podjęcia działań zbrojnych w Warszawie: trwały intensywne szkolenia wojskowe, gromadzono lekarstwa, żywność, broń i amunicję. Wówczas też zapadła decyzja o sformowaniu Batalionu Specjalnego z żołnierzy II Oddziału KG AK. Podkomendni por. „Porawy" mieli utworzyć 1. kompanię tego oddziału. Nie wiadomo dokładnie, które komórki miały wydzielić ludzi do pozostałych kompanii. Na czele batalionu stanął oficer wywiadu AK mjr Alfons Kotowski „Okoń".

Powstanie na Woli miało szczególnie dramatyczny przebieg. Nieprzyjaciel niemal natychmiast przejął inicjatywę, spychając jednostki powstańcze na pozycje obronne. Po niespełna tygodniu krwawych walk oddziały III Obwodu ➤

1 sierpnia 1944 roku, cmentarz ewangelicki; dowódca Batalionu Specjalnego mjr Alfons Kotowski „Okoń" demonstruje flagę hitlerowską zdobytą w pierwszych godzinach powstania przez Tadeusza Towarnickiego „Naprawę"

Fot. S. Bałuk „Kubuś", MPW

AK Wola zostały zmuszone do przejścia na Stare Miasto i do Śródmieścia. Nieco inaczej sytuacja przedstawiała się w rejonie cmentarzy wolskich, gdzie koncentrowały się doborowe oddziały Kedywu KG AK (późniejsze Zgrupowanie „Radosław"). Zadaniem ich była ochrona miejsca postoju KG AK w fabryce Kamlera przy ul. Dzielnej. Na Woli zbierał się również batalion mjr. „Okonia", który otrzymał zadanie zajęcia cmentarza ewangelicko-augsburskiego. W Godzinie „W" oprócz oddziału 993/W stawił się pluton granatowych policjantów z komórki wywiadowczej 993/P oraz niepełny pluton z cichociemnym Stanisławem Jankowskim „Agatonem" z komórki legalizacyjnej. Przed żołnierzami dawnego oddziału 993/W stanęły nowe wyzwania. Większość z nich miała doświadczenie bojowe, widziała niejednego ginącego człowieka, ale walki w mieście miały zupełnie inny charakter niż dotychczasowe działania. Podkomendni por. „Porawy" musieli się ich dopiero nauczyć.

W pobliżu cmentarza ewangelickiego nie było żadnych większych placówek niemieckich, dlatego pierwsze godziny powstania upłynęły podkomendnym „Okonia" we względnym spokoju. Chwile te wykorzystał por. Stefan Bałuk „Kubuś" z plutonu „Agatona", utrwalając na zdjęciach zgromadzonych powstańców. Wśród nich znalazł się „Naprawa", który przybył na cmentarz wiśniowym oplem ze zdobyczną flagą niemiecką. Niespełna dwie godziny później został ciężko postrzelony na ul. Okopowej i zmarł podczas operacji. Następnego dnia postanowiono, że kompania „Porawy" będzie nazywać się „Zemsta", na cześć „Naprawy" i innych, którzy polegli w godzinie „W", a Batalion Specjalny przyjmie nazwę „Pięść".

Pierwsze dni powstania upłynęły żołnierzom „Pięści" na reorganizacji. Od 5 sierpnia główny ciężar obrony Woli spoczął na Zgrupowaniu „Radosław". Wówczas też Batalion „Pięść" podporządkowano „Radosławowi". W ciągu kolejnych dni nasilał się niemiecki napór na cmentarze, wspierany dodatkowo działaniem lotnictwa. „Pięść" została włączona w obronę rejonu ulic Żytniej i Okopowej, a następnie toczyła zacięte walki o utrzymanie Stawek. W tym czasie dowództwo nad batalionem objął „Porawa", ponieważ „Okoń" został oddelegowany do Kampinosu w celu zorganizowania odsieczy dla walczącej Warszawy.

Kiedy 13 sierpnia padła obrona Stawek, podkomendni „Porawy" zajęli pozycje w rejonie ulic Muranowskiej, Pokornej i Bonifraterskiej. Kilka dni później wzięli udział w jednym z najkrwawszych bojów powstania. W nocy z 21 na 22 sierpnia oddziały powstańcze z Żoliborza i Kampinosu uderzyły na Dworzec Gdański, aby zdobyć połączenie ze Starówką. Natarcie miały wspierać oddziały staromiejskie. Żołnierze „Pięści", przechodząc przez boisko „Polonii", znaleźli się pod ogniem niemieckiej broni maszynowej. Straty oddziału były ogromne. Najbardziej wykrwawiony II pluton rozwiązano, a pozostali przy życiu żołnierze weszli w skład I i III plutonu.

Z dnia na dzień sytuacja na Starówce stawała się coraz bardziej dramatyczna. Dookoła unosiły się słupy ognia i dymu, płonęły kamienice i zabytkowe kościoły. Wreszcie zapadła decyzja o ewakuacji obrońców dzielnicy. 2 września nad ranem resztki Batalionu „Pięść" ewakuowały się kanałami na Żoliborz i do Śródmieścia. Wówczas też jednostka przestała istnieć jako oddzielna formacja. Ogółem do Śródmieścia dotarło około sześćdziesięciu żołnierzy „Pięści". Część z nich przydzielono do zadań specjalnych w KG AK. Z pozostałych utworzono pluton dyspozycyjny dowódcy odcinka w Śródmieściu Południe. Ci, którzy dotarli na Żoliborz, przeszli następnie do Kampinosu, gdzie pod dowództwem por. „Porawy" odtworzono kompanię „Zemsta".

27 września nieprzyjaciel rozpoczął operację „Spadająca Gwiazda", mającą na celu likwidację oddziałów powstańczych w Kampinosie. Dwa dni później w bitwie pod Jaktorowem Grupa „Kampinos" została rozbita. Poległo wówczas od 150 do 300 osób. Zginął m.in. mjr „Okoń", a okoliczności jego śmierci do dziś nie zostały wyjaśnione. Pozostali powstańcy dostali się do niewoli niemieckiej. Niewielu udało się przedostać przez tory kolejowe i wyruszyć w stronę Puszczy Mariańskiej.

Żyją jeszcze nieliczni żołnierze 993/W i kompanii „Zemsta". Wśród nich jest Danuta Hibner „Nina" (rocznik 1923), jedna z najdzielniejszych w oddziale, uczestniczka Powstania Warszawskiego, uhonorowana najwyższym polskim odznaczeniem wojskowym – Krzyżem Orderu Virtuti Militari. Kolejną osobą jest Ryszard Bielański „Rom" (rocznik 1922), żołnierz 214. plutonu na Żoliborzu, od jesieni 1943 roku w oddziale 993/W, uczestnik Powstania Warszawskiego. Po bitwie pod Jaktorowem przedarł się z żołnierzami por. Adolfa Pilcha „Doliny" i dotrwał w konspiracji do stycznia 1945 roku. Żyje też Lucjan Wiśniewski „Sęp" (rocznik 1925), uczestnik działań partyzanckich „Naprawy", od października 1942 żołnierz oddziału 993/W, uczestnik Powstania Warszawskiego, odznaczony Krzyżem Orderu Virtuti Militari. Obecnie pełni funkcję przewodniczącego Środowiska „Pięści".

Powstańczy sztandar

Zawieruchę powstańczą i trudne lata powojenne przetrwał sztandar kompanii „Zemsta". Historia jego jest niezwykła. Uszyły go w pierwszych dniach powstania zakonnice z domu starców przy ul. Karolkowej. Schowany w plecaku Józefa Bogdańskiego „Forda" przetrwał ciężkie walki na Woli, bój o Stare Miasto, ewakuację żołnierzy „Zemsty" na Żoliborz i przejście do Puszczy Kampinoskiej. Widnieją na nim ślady krwi sanitariuszki Hanny Gołaszewskiej „Hanki", która podczas walk w Kampinosie przechowywała go w swojej torbie. Pod koniec powstania sztandarem zaopiekowały się zakonnice z zakładu dla ociemniałych w Laskach, by po kilku latach oddać go kpt. Józefowi Krzyczkowskiemu „Szymonowi", pierwszemu dowódcy Grupy „Kampinos". W następnych latach sztandarem opiekowali się byli żołnierze „Zemsty", którzy w 2004 roku przekazali go do Muzeum Powstania Warszawskiego.

Katarzyna Utracka – pracownik Muzeum Powstania Warszawskiego

Na tropie Małego Katynia

Karolina Wichowska

Obławę Augustowską, największą powojenną zbrodnię komunistyczną w Polsce, udało się nagłośnić dzięki determinacji mieszkańców Suwalszczyzny oraz dziennikarki zwolnionej z pracy w stanie wojennym i niezależnego filmowca. Rezultatem ich starań był m.in. film dokumentalny wyprodukowany pod koniec lat osiemdziesiątych dla BBC, w III RP natomiast – śledztwo prokuratury powszechnej, a następnie IPN.

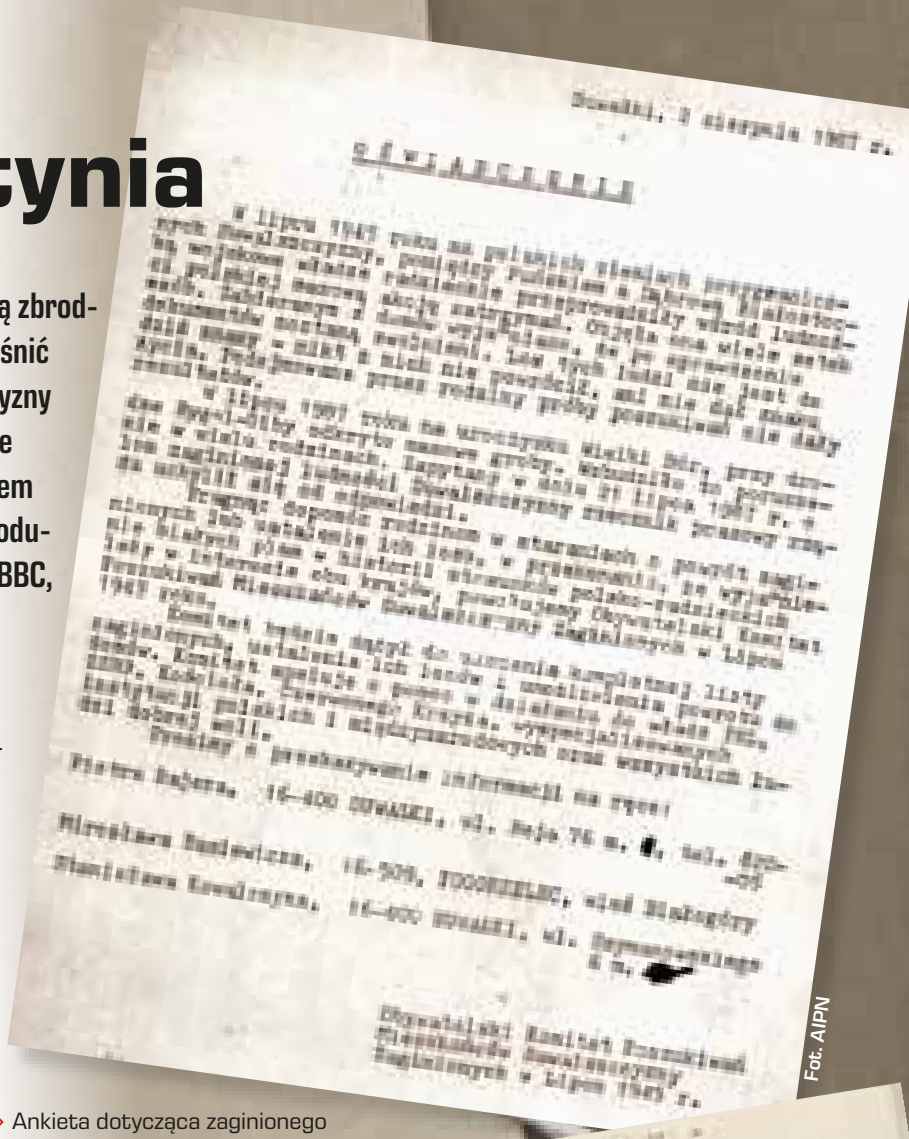

Fot. AIPN

Ankieta dotycząca zaginionego w Obławie Augustowskiej Ludwika Suchwałki (fot. u dołu)

Fot. AIPN

W czerwcu 1987 roku Stefan Myszczyński, mieszkaniec wsi Dworczysko, wykopał ludzki szkielet na pobliskim uroczysku Wielki Bór w okolicach Gib na Suwalszczyźnie. Znalezisko nie było przypadkowe – Myszczyński od lat poszukiwał bowiem miejsca pochówku swoich trzech braci i ojczyma. Zginęli oni w lipcu 1945 roku razem z co najmniej 592 innymi żołnierzami podziemia antykomunistycznego i mieszkańcami tych okolic – z rąk NKWD, przy pomocy funkcjonariuszy polskiej komunistycznej bezpieki oraz ludowego Wojska Polskiego, którzy przeprowadzili wspólnie obławę na rzeczywistych i domniemanych członków i współpracowników polskiego podziemia niepodległościowego. Wydarzenie to po 1989 roku nazwano Małym Katyniem.

Urban: Macie psychozę!

Odkrycie poruszyło mieszkańców Suwalszczyzny. Wiedza o obławie z 1945 roku była wśród nich powszechna, ale nie nagłaśniali jej w obawie przed represjami. Informację o znalezionych szczątkach przekazano zagranicznym korespondentom w Polsce. Reżimowe media w kraju przemilczały tę wiadomość, ale władze PRL zadecydowały o przeprowadzeniu ekshumacji. W czasie eksploracji odkryto tam masowy grób, lecz ekspertyza wykazała, że są w nim pochowani

Fot. AIPN

Pismo PCK dotyczące poszukiwań Heleny Wnukowskiej

Niemcy, co ogłosił rzecznik rządu Jerzy Urban na konferencji prasowej 21 lipca 1987 roku. Nikt z rodzin pomordowanych w taką informację nie wierzył, tym bardziej że Urban zaprzeczył też, jakoby w ogóle doszło do zaginięcia grupy obywateli polskich: „Starałem się ustalić, czy rzeczywiście były tam jakieś zdarzenia, które mogły stworzyć wśród ludności domniemania czy psychozy, pozwalające im w taki sposób komentować rzecz zachodnim dziennikarzom. [...] Dzisiejsze władze polskie niczego w tej chwili nie wiedzą o tym, aby w przeszłości ktokolwiek w tajemniczy sposób zaginął, nie wiedzą też o tym, aby władze polskie poszukiwały, miały kogo poszukiwać, po prostu niczego nie wiemy".

Dwa lata po ekshumacji przeprowadzonej przez władze PRL doszło do kolejnej, tym razem niezależnej – zorganizowanej przez Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 roku z udziałem władz lokalnych. Jej wynik był jednak taki sam, jak tej z 1987 roku: w uroczysku Wielki Bór spoczywały szczątki żołnierzy Wehrmachtu. Groby ofiar Obławy Augustowskiej pozostają nieznane do dziś, choć przypuszcza się, że mogą się znajdować w kilku miejscach: w okolicach Grodna, w Puszczy Romnickiej lub w Puszczy Augustowskiej.

W 1992 roku suwalska prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie wydarzeń z 1945 roku, które następnie umorzyła. W 2001 roku podjęła je Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Białymstoku. Śledztwo trwa do dziś. Ostatnio do prokuratury IPN zwróciła się o pomoc prawną prokuratura litewska w związku ze śledztwem w sprawie zaginięcia w tym samym czasie ok. 500 Litwinów.

Wyjaśnianiem okoliczności obławy zajmują się także historycy – prowadzą badania, przygotowują sesje naukowe i wystawy.

Przed powstaniem Obywatelskiego Komitetu sprawę zaginięcia dużej grupy mieszkańców Suwalszczyzny próbowano wyjaśnić parokrotnie. W 1945 roku Michał Olechnowicz, listonosz z Augustowa, sporządził listę pięciuset zaginionych osób; mieszkanka Jaziewa Krystyna Świerzbińska pisała do władz w sprawie siedemnastu zaginionych mieszkańców swojej miejscowości; Stefan Chełmiński, gdy po 1956 roku został kierownikiem oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża w Augustowie, ogłosił, żeby ludzie zgłaszali się do PCK z informacją o zaginionych. W tej samej sprawie do władz polskich, radzieckich, Czerwonego Krzyża oraz ONZ pisał przez wiele lat Zygmunt Szyszkiewicz, brat jednej z ofiar. Bezskutecznie. Pod koniec lat pięćdziesiątych w sprawie zaginionych interweniowali też posłowie Jan Kłoczko i Adam Palczak – również bez efektu. Do czasu powołania komitetu w 1987 roku, poza poszukiwaniami grobów prowadzonymi na własną rękę przez niektórych członków rodzin ofiar, nie działo się w tej sprawie nic.

Zbadać, opisać, nagłośnić

Mirosław Basiewicz, w 1987 roku były już milicjant internowany w stanie wojennym, o obławie wiedział od dzieciństwa, ponieważ często przyjeżdżał na Suwalszczyznę na wakacje do dziadka. Poinformował o sprawie kolegę „spod celi" z czasów internowania, Pawła Mikłasza, szefa podziemnego wydawnictwa „Myśl". Postanowili wspólnie wyjaśnić całą historię najdokładniej, jak to możliwe, i ją nagłośnić. Basiewicz zebrał od sąsiadów 39 nazwisk osób wywiezionych w lipcu 1945 roku.

2 sierpnia 1987 roku Basiewicz oraz dwaj działacze suwalskiej Solidarności: Piotr Bajer i Stanisław Kowalczyk, założyli Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 roku. Napisali oświadczenie, w którym pokrótce przedstawili całą sprawę (uprowadzenie przez Sowietów setek osób w 1945 roku, niedawna ekshumacja, arogancka odpowiedź rzecznika rządu). Zaapelowali też do okolicznej ludności, aby zgłaszała się do komitetu z informacjami o zaginionych ze swoich rodzin lub z sąsiedztwa – nazwiska i adresy trzech członków założycieli zostały podane do publicznej wiadomości. Mikłasz powiadomił o sprawie Alicję Maciejowską, reportażystkę Polskiego Radia, zwolnioną w pracy w stanie wojennym. – Przyłączyłam się do komitetu, ale pozostałam członkiem niejawnym, żeby ochronić dokumenty i informacje, które mieliśmy zdobywać – opowiada dziennikarka. Zaznacza, że spodziewała się zebrania materiału, który będzie mogła opublikować w prasie podziemnej w jednym, dwóch artykułach. Nie przypuszczała jednak, że uda się udokumentować historie aż 490 osób.

Kartki z treścią oświadczenia rozdano w jednym z suwalskich kościołów. Ponieważ zaczynał się sierpień (miesiąc trzeźwości), w trakcie mszy i po niej dużo mówiono o potrzebie walki z alkoholizmem. – Ale nauczyciel z miejscowej szkoły i działacz Solidarności, pan Seredyński, zręcznie przeskoczył z tematu walki z alkoholizmem na sprawy pamięci narodowej i historii. Po mszy przed koś-

ciołem głos zabrał Zbigniew Bujak, który specjalnie wtedy przyjechał – wspomina dziennikarka. „Podjęliście się dzieła trudnego i niebezpiecznego, a mianowicie odszukania ludzi zaginionych na tej ziemi, porwanych, wywiezionych w nieznane. Pozostaje nam wszystkim wierzyć, że być może jeszcze wielu z tych ludzi będzie mogło do kraju powrócić. To zadanie bardzo trudne i ciężkie, wymagające wielkiej odwagi. I dlatego w momencie, kiedy je podejmujecie, chcę być z wami" – powiedział Bujak do zgromadzonych przed świątynią.

Poruszony całą sprawą opozycjonista Jan Józef Lipski napisał do Rady Państwa list, pod którym podpisało się 56 intelektualistów, dziennikarzy i artystów. Sygnatariusze domagali się, by państwo udzieliło pomocy Obywatelskiemu Komitetowi. Rezultat był naturalnie odwrotny do zamierzonego: Piotr Bajer, Mirosław Basiewicz i Stanisław Kowalczyk zostali wezwani na rozmowę do Urzędu Wojewódzkiego w Suwałkach, a następnie otrzymali pisma z informacją, że działalność komitetu jest nielegalna. Oczywiście, nie spowodowało to zaniechania jego prac.

Fot. P. Życieński

Członkowie komitetu odbierają nagrodę IPN – Kustosza Pamięci Narodowej; od lewej: Jan Krzywosz, Piotr Bajer, Alicja Maciejowska, Mirosław Basiewicz, Stanisław Kowalczyk oraz prezes IPN Janusz Kurtyka; Warszawa, 2007 rok

Po nitce do kłębka

Do zespołu dołączyła przyjaciółka Maciejowskiej, aktorka Maria Chwalibóg, a od czasu do czasu w teren wyjeżdżali Szczęsna Milli (również radiowiec) oraz socjolog z Olsztyna Bronisław Sałuda. Wkrótce przyłączyli się Danuta i Jan Krzywoszowie. Ojca, stryja i wuja Krzywosza Sowieci wywieźli w nieznane w lipcu 1945 roku (Jan miał wtedy sześć lat). Matka Jana nigdy nie pogodziła się z tym, że mąż nie żyje. Jan Krzywosz uznał, że udział w poszukiwaniach jest jego obowiązkiem.

Tereny Puszczy Augustowskiej ekipa przemierzała trabantem należącym do Krzywoszów i trzema maluchami: jeden był prywatnym samochodem Maciejowskiej, drugi ufundowała Komisja Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność", prowadzona przez Zofię i Zbigniewa Romaszewskich, sponsorem trzeciego było wydawnictwo „Myśl". – Początkowo zakładaliśmy, że będziemy opisywać historie, z którymi ludzie sami się do nas zgłoszą. Ostatecznie jednak było tak, że jak trafiliśmy na kogoś, kto cokolwiek pamiętał, dostawaliśmy kolejne namiary – wspomina Alicja Maciejowska.

Socjolog Józef Śreniowski opracował specjalną ankietę dotyczącą zaginionych. Po latach Maciejowska ocenia sposób prowadzenia rozmowy według schematu kwestionariusza jako zbyt suchy, niepozwalający na przełamanie lodów. A nieufność była spora – wiadomo, temat niebezpieczny, a tu pytają o niego obcy ludzie, nagrywają, notują... Wiele pomogły listy polecające od ks. Stanisława Kossakowskiego. Na podstawie zebranych relacji, gdy Maciejowska mogła powrócić do Polskiego Radia, powstało kilkanaście reportaży radiowych. W 2010 roku białostocki oddział IPN wydał książkę Maciejowskiej pt. *Przerwane życiorysy*. Trzy lata wcześniej komitet został uhonorowany nagrodą IPN – Kustoszem Pamięci Narodowej.

W 1988 roku Maria Chwalibóg poinformowała o całej sprawie Jacka Petryckiego, niezależnego filmowca. Szlakiem przetartym przez członków komitetu podążył z kamerą i dla BBC nakręcił film pt. *A very Polish secret / A może tego nie wolno mówić*. Polska wersja tytułu to słowa jednej z rozmówczyń, świadków historii, która w pewnym momencie zawahała się, czy na pewno może przekazać filmowcowi to, o czym jej bliscy mówili od wielu lat.

Film Jacka Petryckiego prezentowany był na tegorocznym przeglądzie Echa Katynia. Kto nie miał możliwości wtedy go obejrzeć, ma taką szansę teraz – płytę z dokumentem dołączamy do tego numeru „Pamięci.pl".

Zagadkowa postać w komitecie

Jeden z inicjatorów prowadzenia prywatnych poszukiwań ofiar obławy, Paweł Mikłasz, współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa co najmniej od 1977 roku prawdopodobnie aż do końca istnienia SB (pseudonimy – m.in. „Jan Lewandowski", „Stanisław Wysocki", „Rybak"). Jego teczka współpracy się nie zachowała, ale w teczkach inwigilacji wielu osób ze środowiska opozycyjnego są liczne meldunki sygnowane ww. pseudonimami. Sam Mikłasz, gdy media ujawniły tę sprawę w 2008 roku, zaprzeczał jakoby był zarejestrowany jako tajny współpracownik SB. Nie wiadomo, czy i w jaki sposób zaszkodził Komitetowi Poszukiwań. Alicja Maciejowska wyklucza taką możliwość. Jest przekonana o dobrych intencjach Mikłasza i podkreśla, że nikt z członków komitetu nie został aresztowany, a materiałów nigdy nie skonfiskowano.

Tajemnice generała Gano

Daniel Koreś

26 września 1946 roku zdominowany przez komunistów Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej pozbawił obywatelstwa polskiego 76 oficerów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Jednym z nich był gen. Stanisław Gano, dowódca polskiego wywiadu w czasie wojny. 5 lipca tego roku minęło 45 lat od jego śmierci.

Fot. AIPN

Generał Stanisław Gano – fotografia z kwestionariusza osobowego SB

Generał brygady Stanisław Gano, w latach 1941–1946 szef Oddziału II Informacyjno-Wywiadowczego Sztabu Naczelnego Wodza, przez badaczy dziejów wywiadu wymieniany jest w pierwszym rzędzie autorów sukcesów „dwójki" na tajnym froncie walki z III Rzeszą. Będąc nieprzejednanym przeciwnikiem jakiejkolwiek współpracy z komunistami, od 1944 roku kładł nacisk na organizowanie siatek agenturalno-informacyjnych w „wyzwalanym" przez Sowietów kraju i na pracę Referatu Wschodniego centrali wywiadu w Londynie oraz podlegających jej placówek terenowych.

Major Jan Krysa, były oficer PSZ, który przeszedł na służbę rządu warszawskiego, 16 września 1945 roku napisał w meldunku dla płk. Gustawa Alef-Bolkowiaka, szefa Wydziału Wojskowego Spraw Zagranicznych Sztabu Generalnego ludowego Wojska Polskiego, że Gano planował wrócić do Polski. Krysa podkreślał, że nie zmuszała go do tego ani sytuacja materialna, ani rodzinna. Zasugerował jednak przy tym, że generał jest naciskany w tej sprawie przez gen. mjr. sir Stewarta Menziesa, szefa Secret Intelligence Service (Tajnej Służby Wywiadowczej, MI6) – miał bowiem zostać rezydentem wywiadu brytyjskiego w Polsce. Naiwnością byłoby sądzić, że informacje Krysy były czymś więcej niż plotką, ale nowi włodarze Polski w zamian „uhonorowali" Stanisława Gano umieszczeniem na liście 76 wysokich oficerów Polskich Sił Zbrojnych, którym TRJN odebrał obywatelstwo polskie. Po jego śmierci płk Leon Bortnowski pisał z goryczą do płk. Jana Leśniaka: „Najwyższym polskim **ludowym** [podkreślenie L.B.] odznaczeniem było pozbawienie go dekretem obywatelstwa polskiego".

Z działalnością generała w czasie II wojny światowej wiąże się sporo kontrowersji, których wyjaśnienie jest ciągle trudne lub wręcz niemożliwe. Można jedynie formułować przypuszczenia i hipotezy.

We wspomnianym meldunku mjr Krysa stawiał szefowi wywiadu PSZ trzy zarzuty: współpracę z wywiadem niemieckim, działalność agenturalną na rzecz MI6 i udział w aferze szmuglerskiej. Do tej listy można byłoby dodać późniejsze oskarżenie z drugiej strony – części środowisk emigracyjnych – które sformułował (zdecydowanie zbyt emocjonalnie) Jan Nowak-Jeziorański. Dotyczyło ono przekazania Brytyjczykom archiwum polskiego wywiadu wojskowego.

Z pomocą Abwehry

W opublikowanych dotychczas szkicach biograficznych poświęconych Stanisławowi Gano informacje o jego małżonce są skąpe, sprowadzają się do ustalenia jej imienia (Bronisława) i stwierdzenia, że po rozwodzie była *secundo voto* Ike-Dunikowska. Mimo to żona szefa polskiego wywiadu wojskowego w czasie II wojny światowej stała się postacią znaną. Na początku 1941 roku, dzięki pomocy Haliny Szymańskiej, żony byłego attaché wojskowego w Berlinie ppłk. Antoniego Szymańskiego, a zarazem cennej agentki polskiego wywiadu o pseudonimie „Knopf", udało się przewieźć Bronisławę Gano z Generalnego Gubernatorstwa *via* Szwajcaria na Wyspy Brytyjskie. Nie byłoby w tym niczego dziwnego, gdyby nie to, że do zorganizowania przerzutu Szymańska wykorzystała swoje kontakty z niemieckim wywiadem wojskowym. Wykonawcą najtrudniejszej części zadania – wywiezienia Bronisławy Gano z GG – miał być Samson Mikiciński, konsul chilijski, a jednocześnie przemytnik i co najmniej podwójny agent, który oprócz współpracy z polskimi tajnymi służbami, był szpiegiem niemieckiej Abwehry. Mikiciński wywiózł wcześniej z GG także Zofię Leśniowską, córkę gen. Władysława Sikorskiego, i Jadwigę Sosnkowską, żonę gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

Według informacji zbieranych wśród emigracji przez komunistycznych agentów, Bronisławę Gano przejęli od Mikicińskiego oficerowie Abwehry, którzy zawieźli ją na granicę szwajcarską. Tam nastąpiło jej przekazanie w ręce polskiego wywiadu. Po Londynie krążyły wówczas plotki, że przez terytorium III Rzeszy osobiście przewiózł ją admirał Wilhelm Canaris. Ze Szwajcarii przerzucono ją przez nieokupowaną część Francji i Hiszpanię do Portugalii. Inspiratorem całej operacji (choć ofi-

cjalnie „o niczym nie wiedział") musiał być ppłk Gano, zastępca szefa Oddziału II. Już wiosną 1940 roku podjął on pierwszą, nieudaną, próbę wywiezienia małżonki z Warszawy przy pomocy kpt. Szczęsnego Chojnackiego, szefa placówki Oddziału II w Szwajcarii, i attaché wojskowego w Rzymie ppłk. Mariana Romeyki.

Szeroko o sprawie Bronisławy Gano zeznawał po latach oficerom Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego mjr Tadeusz Nowiński. Jego zeznania należy jednak przyjmować bardzo ostrożnie, gdyż miał on do byłego szefa Oddziału II osobiste urazy. Według Nowińskiego Gano wdał się w konszachty z Mikicińskim, choć wiedział już o jego agenturalnych kontaktach z Abwehrą i miał go „osobiście rozpracować" (sic!). Dalej informował, że Mikiciński nie załatwił sprawy osobiście, lecz przekazał jej realizację Abwehrze, a sam – na rozkaz Canarisa – przeszedł do gestapo, ażeby dalej rozpracowywać polskie podziemie (sic!).

W przeciwieństwie do innych akcji wywiezienia członków rodzin prominentnych osób, sprawa pani Gano rykoszetem uderzyła w niego przy okazji głośnego procesu Jerzego Niezbrzyckiego i Tadeusza Nowińskiego przeciwko mjr. Janowi Żychoniowi, szefowi Wydziału Wywiadowczego Oddziału II, przed Wojskowym Sądem Morskim w 1943 roku. Nowiński oskarżył wówczas Stanisława Gano o współpracę z wywiadem niemieckim (za pośrednictwem Mikicińskiego) przy okazji akcji przerzutu żony do Wielkiej Brytanii. Według Romeyki, który był w bliskich kontaktach z Gano, mógł on się łatwo oczyścić z oskarżeń Nowińskiego, lecz nie chciał zdekonspirować Haliny Szymańskiej, cennej dla wywiadu polskiego i brytyjskiego ze względu na kontakty z Canarisem. Gano „musiał wypić czarę goryczy do dna, będąc zupełnie niewinnym" – stwierdził.

Ponieważ o akcji wywiezienia Bronisławy Gano z GG wiedział wywiad brytyjski, zeznania oczyszczające jej męża z zarzutu współpracy z Abwehrą złożył osobiście Stewart Menzies. Bynajmniej

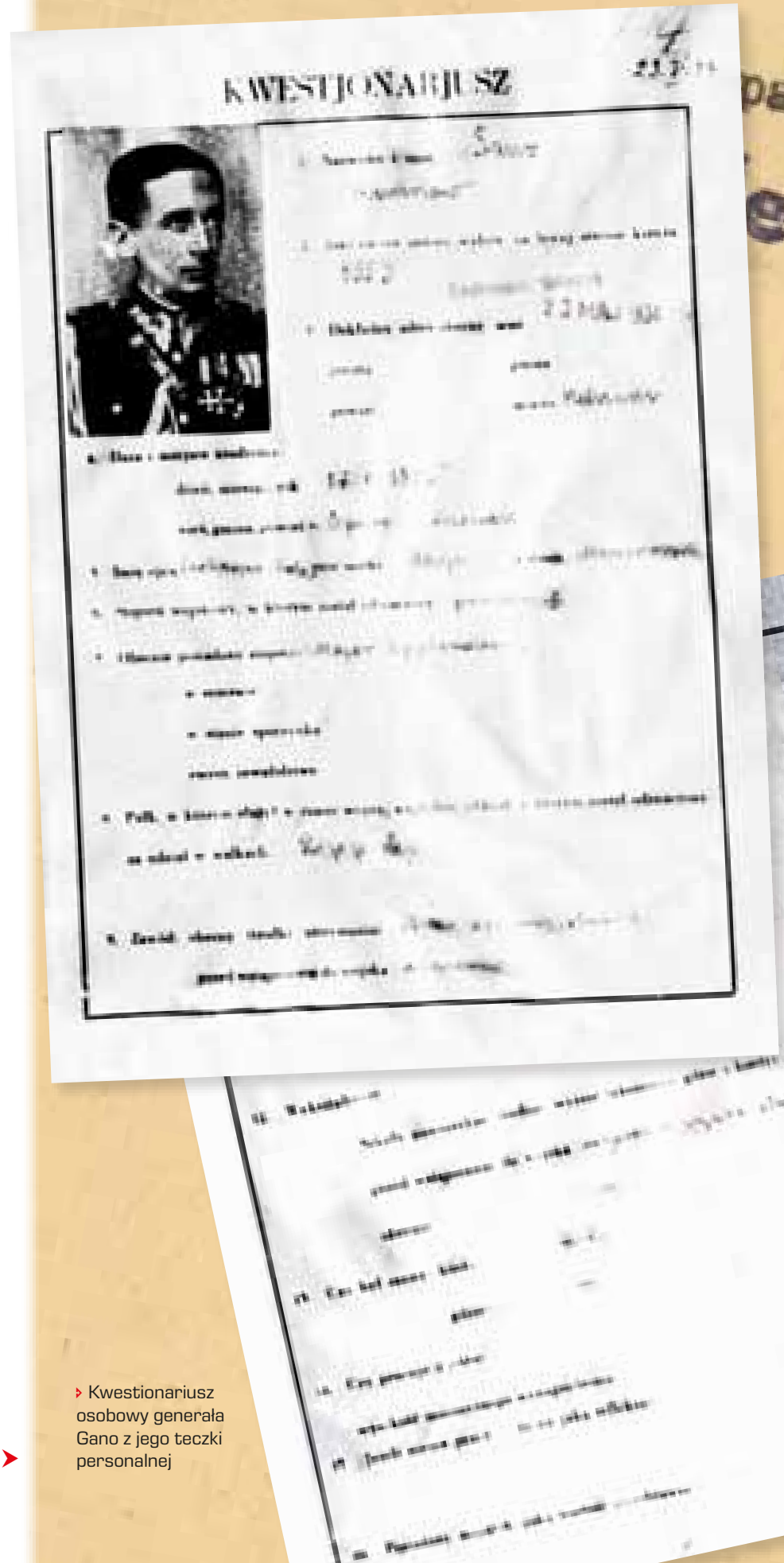

Kwestionariusz osobowy generała Gano z jego teczki personalnej

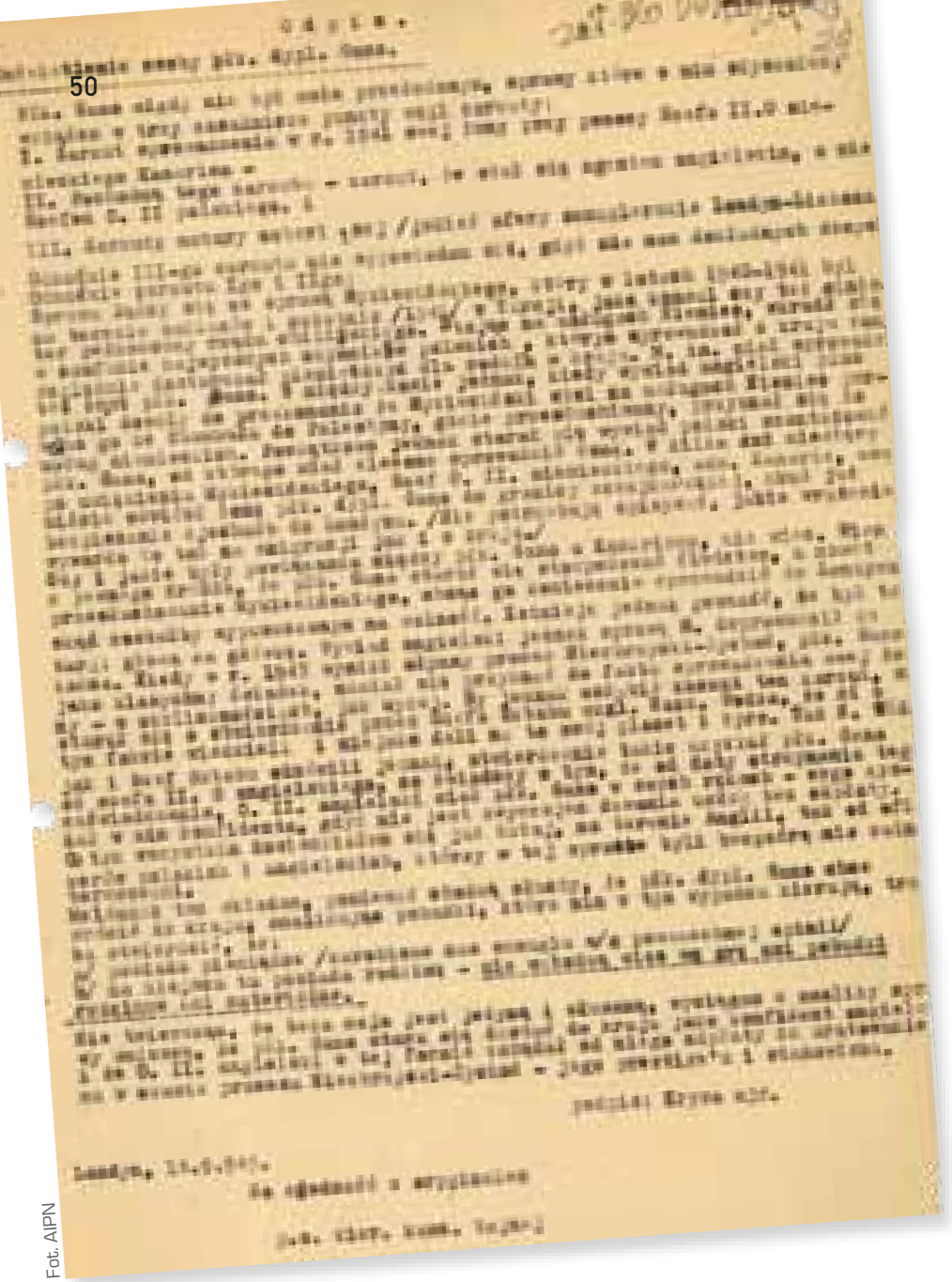

Fot. AIPN

Jeden z raportów mjr. Krysy dotyczący gen. Gano

nie zakończyło to sprawy, przeciwnie – dało asumpt wrogom szefa „dwójki" do dalszych oskarżeń, tym razem o działalność agenturalną na korzyść Brytyjczyków. Gano nigdy nie ukrywał swoich znakomitych relacji z Anglikami – brygadier Colin McVean Gubbins ze Special Operations Executive (Kierownictwo Operacji Specjalnych) tak go charakteryzował: „mój bliski przyjaciel, o którego całkowitej uczciwości i bezstronności jestem w pełni przekonany, jest przede wszystkim żołnierzem, ale jest bardzo inteligentny – to w istocie najrozsądniejszy człowiek w polskim Sztabie".

Najprawdopodobniej Nowiński lub ktoś z jego otoczenia zaczął rozpuszczać plotki, że Gano chciał uratować Mikicińskiego po jego uprowadzeniu przez polski kontrwywiad w 1942 roku, ale zabronił mu tego wywiad brytyjski, na którego prośbę zresztą aresztowano obrotnego konsula. Tego typu oszczerstwa z jednej strony miały na celu zdezawuowanie Stanisława Gano jako rzekomego współpracownika Abwehry, a z drugiej – obnażenie jego rzekomej służalczości wobec sojuszniczego wywiadu. Oczywiście oskarżenia te znalazły posłuch w Polsce Ludowej i utwierdziły kierownictwa Polskiej Partii Robotniczej i bezpieki w przekonaniu, że Stanisław Gano kwalifikuje się do pozbawienia obywatelstwa polskiego.

Co ciekawe, Gano po wojnie rozszedł się z małżonką, której sprowadzenie do Londynu ściągnęło na jego głowę tyle kłopotów. Do końca jednak wspierał ją finansowo, choć mieszkała już wówczas w Kanadzie (a następnie w USA) i wyszła ponownie za mąż.

Blask złota i kurz manganu

O „aferze" szmuglerskiej w Lizbonie z udziałem polskich oficerów wspomina w pamiętnikach ppłk Jan Jaźwiński. Chodziło o zakup czarnorynkowego złota, podobno na potrzeby Związku Walki Zbrojnej, później Armii Krajowej, w którym brał udział m.in. szef Oddziału VI Sztabu NW ppłk Tadeusz Rudnicki. Prawdopodobnie sprawa ta ściśle wiąże się ze słabo dotąd rozpoznaną operacją, w której uczestniczył polski wywiad wojskowy (za wiedzą i zgodą Stanisława Gano). Polegała ona na stopniowym „uszczuplaniu" transportów zrabowanego przez Niemców w okupowanej Europie złota, które w tajemnicy przewożono w latach 1940–1944 ze Szwajcarii przez Hiszpanię do Portugalii. Polski wywiad mógł wejść w posiadanie ok. 10–15 proc. łupu, czyli ok. 5–6 ton złota. Miało ono zostać zabezpieczone przez wywiad w Ameryce Południowej, ale raczej *pro publico bono*, a nie – jak chciał Krysa – dla prywatnej korzyści.

Powiązanie Stanisława Gano z rzekomą aferą – a raczej stwierdzenie wprost przez Krysę, że dzięki niej zapewnił sobie doskonałe warunki życia – można włożyć między bajki. Zresztą to, że Gano nie miał poważniejszego majątku, potwierdza doniesienie agenturalne (źródłem był polski konsul w Paryżu) z 2 czerwca 1959 roku, w którym czytamy, że po przyjeździe do Francji w 1949 roku były szef wywiadu żył w bardzo trudnych warunkach materialnych, a pracę w kopalni manganu w Maroku (którą kierował ppłk Leon Śliwiński, polski konsul honorowy w Agadirze, były kierownik Ekspozytury Oddziału II „F II" o pseudonimach „Bolesław"

i „Jean-Bol”) otrzymał dzięki protekcji francuskiego przedsiębiorcy, Laskara. Zamożny oficer nie pracowałby przecież jako zwykły administrator w kopalniach manganu w Maroku. Doktor Andrzej Suchcitz, kierownik archiwum Instytutu Sikorskiego w Londynie, napisał, że decyzję o awansie na generała brygady w 1964 roku Gano odebrał w czasie „ładowania statku w Agadirze, zasmarowany kurzem manganowym”.

Archiwa polskiego wywiadu

W 1978 roku Jan Nowak-Jeziorański w liście do Jerzego Giedroycia napisał: „Skandalem jest, że płk Gano wydał Anglikom bez upoważnienia swych władz całe nasze archiwum Oddziału II”. Można zrozumieć wzburzenie wieloletniego dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, lecz oskarżanie szefa „dwójki” o działanie wbrew przełożonym było zbyt daleko idące. Gano był zobowiązany oddać Brytyjczykom najważniejszą część dokumentów dotyczących współpracy wywiadowczej z Secret Intelligence Service na podstawie polsko-brytyjskiej umowy z 1940 roku. Oprócz tego, że w lipcu 1945 roku przekazano – za wiedzą zwierzchników – w ręce brytyjskie jako depozyt Sztabu Głównego dokumenty dotyczące współpracy z MI6, wiele dokumentów spalono – właśnie na rozkaz Stanisława Gano – żeby nie dostały się w ręce władz komunistycznych z Warszawy. Spodziewano się już wówczas, że Wielka Brytania pozwoli „zjednoczyć” PSZ z ludowym Wojskiem Polskim. Leon Bortnowski, który jako zastępca szefa Oddziału II nadzorował niszczenie akt, wspominał w liście do płk. Wincentego Bąkiewicza z 20 lipca 1945 roku, że „popioły latały po całym Kensington”. O tym, że Gano przywiązywał dużą wagę do depozytu, świadczy jego list do brygadiera C. E. R. Hirscha z 2 marca 1946 roku, w którym zastrzega, że przekazane sojusznikom na przechowanie dokumenty „mające znaczenie dla historii Wojska Polskiego lub służby wywiadowczej” powinny zostać w przyszłości przekazane Komisji Historycznej Sztabu Głównego, jako dowody „naszego wkładu do

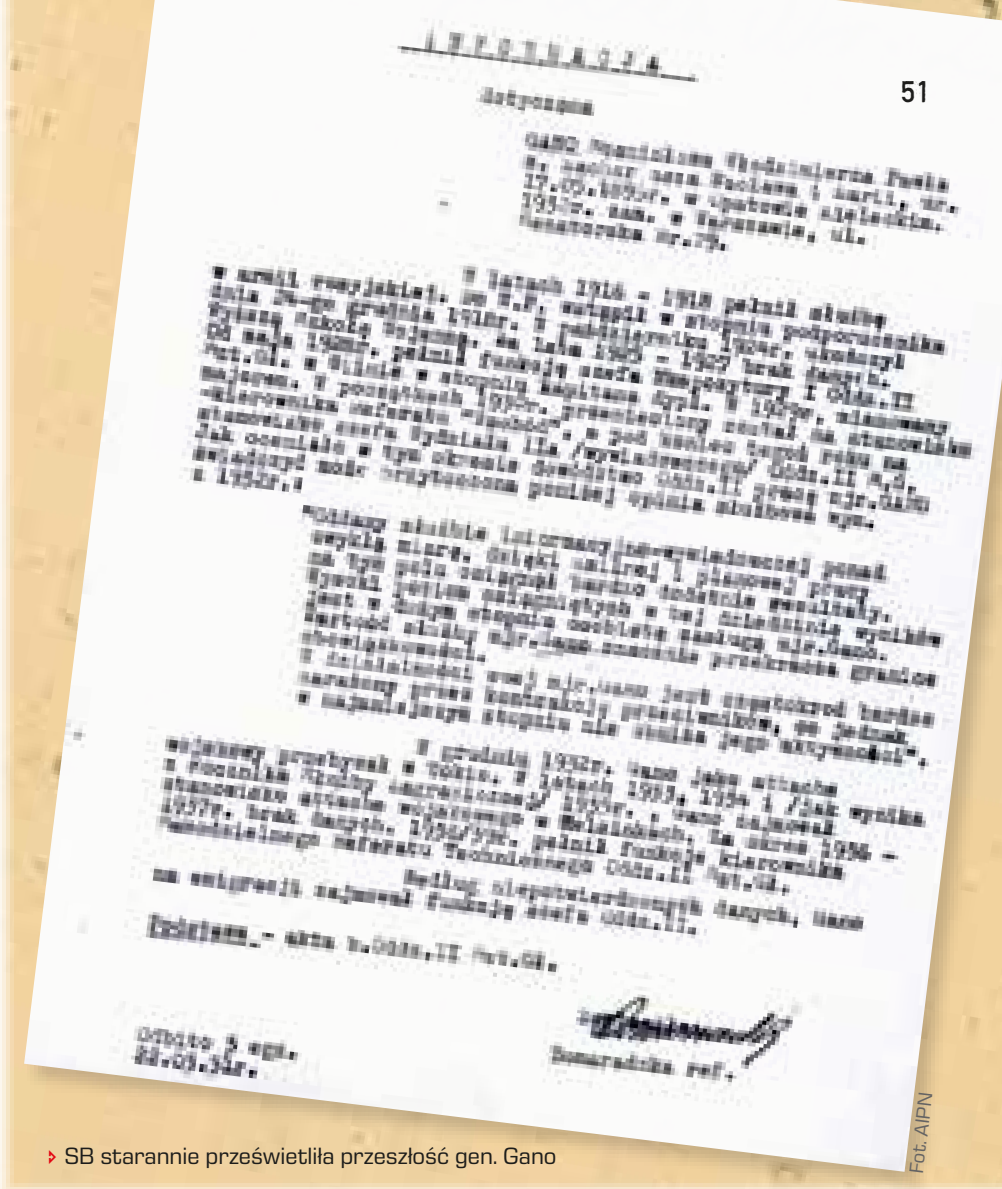

SB starannie prześwietliła przeszłość gen. Gano

Fot. AIPN

osiągnięć wojennych i rzetelności naszej pracy”. W tym kontekście powierzenie części dokumentów MI6 można postrzegać jako zabezpieczenie ich przed wpadnięciem w ręce komunistycznej bezpieki. Niestety, do zwrotu dokumentów nie doszło. Wiele wskazuje na to, że zostały zniszczone przez depozytariuszy – ale nie z winy Stanisława Gano.

Z raportu komandora por. Wilfreda A. Dunderdale’a „Biffy’ego”, oficera łącznikowego MI6 do spraw kontaktów z polskim wywiadem, wiadomo, że „dwójka” dostarczyła w czasie II wojny światowej informacji do 22.047 z 45.770 raportów przygotowanych przez wywiad brytyjski. „Biffy” napisał: „Polski wywiad włożył bezcenny wkład w planowanie i wykonanie inwazji kontynentu oraz w ostateczne zwycięstwo wojsk sojuszniczych w Europie”. W tym okresie Gano odpowiadał za organizację wywiadu, koordynację działań i współpracę ze służbami sojuszniczymi (paradoksalnie bliski był otrzymania Orderu Czerwonego Sztandaru za kooperację w latach 1941–1943 z „sojuszniczym” wówczas wywiadem sowieckim). Na pewno jego największym osobistym sukcesem było odwrócenie agenta Abwehry kpt. pil. Romana Czerniawskiego ps. „Brutus” (agenta polskiego wywiadu aresztowanego przez Niemców we Francji, który podjął współpracę z Abwehrą), poprzez którego dezinformowano wywiad III Rzeszy o przygotowaniach do inwazji we Francji. Można jednak śmiało stwierdzić, że Gano miał udział we wszystkich sukcesach „dwójki”, w tym zorganizowaniu niezwykle wydajnych siatek wywiadowczych we Francji („F” i „F II”), siatki „Rygora” (Mieczysława Słowikowskiego) w Afryce Północnej oraz *last but not least* koordynacji działalności wywiadowczej Haliny Szymańskiej.

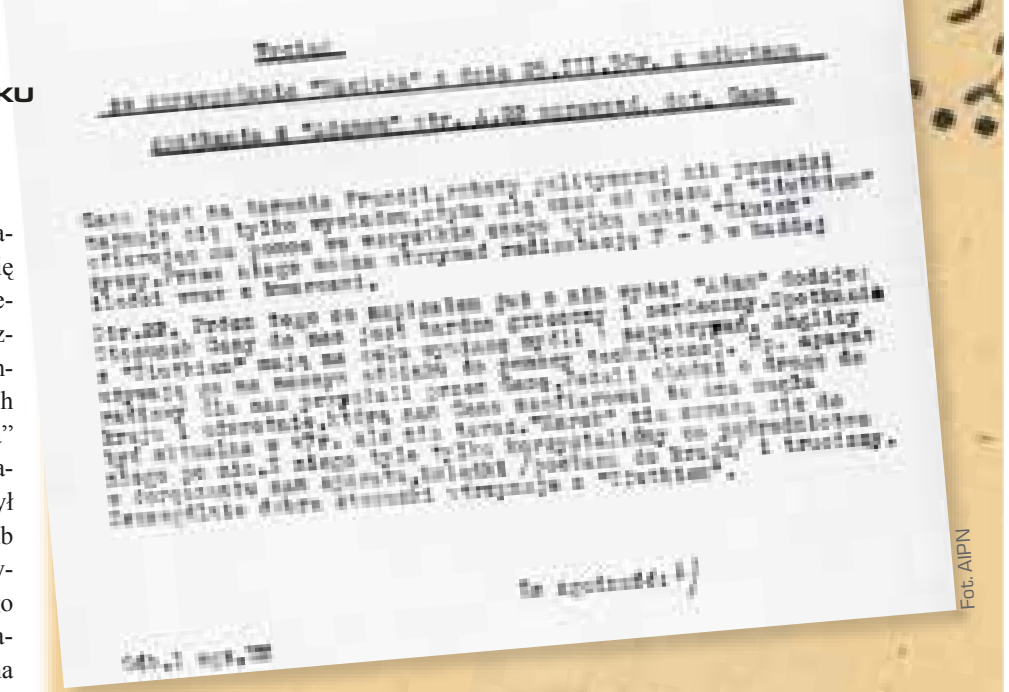

Fot. AIPN

Fragment materiałów zgromadzonych na temat generała przez agentów umieszczonych w środowisku emigracyjnym

Czas Zimnej Wojny

Nasza wiedza na temat powojennej działalności gen. Stanisława Gano opiera się – jak dotąd – na nielicznych doniesieniach agentów wywiadu PRL, który rozpracowywał go w ramach spraw ewidencyjno-obserwacyjnych o kryptonimach „Paryż" (w latach 1951–1962) i „Ika" (od 1962 roku). Skąpość tych informacji świadczyć może o tym, że Gano był specjalistą w swoim fachu. Do 1948 (lub 1949) roku przebywał na Wyspach Brytyjskich. Według donosu pochodzącego ze źródła „Kawa", Gano przeszedł jakoby do MI6 w stopniu brygadiera na stanowisko kierownika wywiadu na Europę Wschodnią. Zdaniem Tadeusza Dubickiego i Andrzeja Suchcitza był on nieformalnym szefem zalążka polskiego wywiadu, utrzymywanym przez MI6 do działań na kierunku sowieckim. Potwierdza to m.in. korespondencja między Janem Leśniakiem i Leonem Bortnowskim, bliskimi współpracownikami Stanisława Gano w „dwójce" w czasie II wojny światowej (a znającymi się od czasów przedwojennych). W jednej z notatek wywiadu PRL powoływano się na słowa Jerzego Niezbrzyckiego o przejściu Gano do służby w wywiadzie brytyjskim. Nie powinno nas to dziwić, gdyż w początkach Zimnej Wojny wywiad brytyjski nie potrafił skutecznie przestawić się na tor antysowiecki – płk Harold Perkins z SOE napisał w 1944 roku, że „znał niewielu Anglików, którzy mogliby dorównać polskiemu wywiadowi pod względem wiedzy z pierwszej ręki o Rosji, rosyjskiej mentalności i rosyjskich metodach".

Jednym z elementów działań MI6 na wschodzie było zbieranie informacji wywiadowczych za pośrednictwem polskich antykomunistycznych organizacji podziemnych. Agent „Maciej" donosił w 1948 roku, że Gano posługiwał się wówczas pseudonimem „Kazimierz" i że kierowana przez niego organizacja utrzymywała kontakty z V Zarządem Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość", wówczas już całkowicie kontrolowanym przez Urząd Bezpieczeństwa. Z notatki wynikało, że zdawał on sobie sprawę z zakresu inwigilowania tej organizacji przez bezpiekę, choć – zapewne na polecenie Brytyjczyków – kontynuował współpracę z WiN.

Jego wyjazd do Paryża wiązał się z kontynuacją współpracy z MI6 i intensyfikacją działalności wywiadowczej w kraju (przynajmniej do 1950 roku). W Warszawie uważano też, że po 1947 roku Gano nawiązał ścisłą współpracę z gen. Władysławem Andersem i związanym z nim ośrodkiem wywiadowczym kierowanym przez płk. Wincentego Bąkiewicza. Obserwując działalność byłego szefa Oddziału II we Francji, wywiad PRL ustalił, że mieszka on w XV dzielnicy Paryża przy Rue du Laos i często kontaktuje się z byłymi „dwójkarzami", a z niektórymi żyje „na stopie towarzyskiej". Bezpieka wystawiła Stanisławowi Gano następującą charakterystykę: „Płk jest wykształconym i doświadczonym oficerem wywiadu. Kieruje się zawsze zimnym wyrachowaniem i rozsądkiem. Ceniony jest przez anglo-amerykanów jako fachowiec w dziedzinie działalności wywiadowczej. W czasie wojny po-

Kariera Stanisława Gano w II Rzeczypospolitej

Urodził się 17 maja 1895 roku w Opatowie. W czasie wojny z Rosją bolszewicką walczył w 2. Pułku Piechoty Legionów, za co otrzymał Krzyż Orderu Wojennego Virtuti Militari (kl. 5) i czterokrotnie Krzyż Walecznych. Od 1924 roku służył w Oddziale III Sztabu Generalnego. Z wywiadem wojskowym związany był od maja 1928 roku, gdy został skierowany do pracy w ekspozyturze Oddziału II w Wilnie. W czerwcu 1929 roku został kierownikiem Referatu „Wschód" Wydziału IIa (Wywiadowczego) w centrali wywiadu i kontrwywiadu wojskowego w Warszawie, a w listopadzie 1930 roku awansował na szefa Wydziału IIa. W niespełna trzy lata po przejściu do służby w Oddziale II został kierownikiem polskiego wywiadu strategicznego (tzw. głębokiego). W 1933 roku przeniesiono go do służby dyplomatycznej, jako attaché wojskowego RP w Finlandii. W 1935 roku powrócił do kraju i odbył staż liniowy jako dowódca batalionu w 51. Pułku Piechoty Strzelców Kresowych, a następnie (po awansie na podpułkownika w marcu 1937 roku) jako zastępca dowódcy 11. Pułku Piechoty w Tarnowskich Górach. W lutym 1939 roku Gano ponownie znalazł się w centrali wywiadu, tym razem na stanowisku szefa Samodzielnego Referatu Technicznego, rozbudowanego wkrótce do Instytutu Technicznego. We wrześniu 1939 roku był szefem Ewakuacji i Transportu Specjalnego Sprzętu. Internowany w Rumunii, zbiegł w październiku 1939 roku i przedostał się do Francji, gdzie początkowo pracował w Referacie Personalnym Ministerstwa Spraw Wojskowych, a następnie przejął od mjr. Tadeusza Nowińskiego kierownictwo Wydziału Wywiadowczego odtworzonego Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza. Na tym stanowisku pozostał do momentu przybycia do Wielkiej Brytanii na przełomie czerwca i lipca 1940 roku.

ważnie liczono się z jego opinią i zdaniem, nawet w decyzjach politycznych. Wzrost – wysoki, około 180 [cm], twarz pociągła, włosy – szatyn, oczy niebieskie, bez znaków szczególnych”.

W zasadzie nic nie wiemy o współpracy Gano z CIA, a o tym, że miała ona miejsce, świadczy jego list do szefa CIA Alana Dullesa z 7 grudnia 1954 roku: „kończę 60 lat, moje zdrowie pogorszyło się, a przede wszystkim nie jestem w stanie osiągnąć ostatnio rezultatów porównywalnych z moimi dawnymi osiągnięciami […] W połowie tego roku poinformowałem o mojej decyzji te instytucje, z którymi współpracowałem, i stopniowo ograniczałem swoją aktywność. W tym momencie jest to bliskie zakończenia. Przechodzę na nowe pole działalności: przemysł wydobywczy w Maroku”.

Być może za jakiś czas ujrzą światło dzienne dokumenty CIA z tego okresu, które pozwolą nam docenić rolę Stanisława Gano i jego współpracowników w walce z wywiadem sowieckim i satelickim wobec niego wywiadem PRL. Ten dopiero od 1960 roku notował „brak informacji o działalności płk. Gano wymierzonej przeciwko PRL”, co świadczy albo o indolencji tej służby, albo o tym, że wygaszanie działalności Gano przeciągnęło się na prośbę „współpracujących” z nim instytucji.

Na parę miesięcy przed śmiercią, 19 grudnia 1967 roku, Gano w liście do Leśniaka napisał m.in.: „Ja siedzę »na uboczu«, zupełnie sam i praca nie pozwala mi na myśl o starzeniu się, bo wszyscy współpracownicy są w wieku synów, gdybym ich miał, muszę więc zmuszać się do nadążania. Pomimo wysiłków czuję się właściwie dobrze i stać mnie jeszcze na »młode wysiłki« – w ciągu jednego dnia 360 km przy kierownicy i praca do 24ej”. W następnym roku miał przejść na emeryturę.

W końcu czerwca 1968 roku Gano pojechał w głąb Maroka, „aby zlikwidować sprawy po zmarłym miesiąc przed tym dobrym znajomym”; w drodze powrotnej przebił oponę i zmiana koła w ogromnym upale zakończyła się najprawdopodobniej atakiem serca. Zdołał jednak dojechać do Casablanki i dopiero po paru dniach udał się do szpitala. Przebywał w nim pięć dni i 5 lipca 1968 roku poczuł się lepiej, miał nawet wyjść do domu. W trakcie zmiany opatrunku generał – jak pisał Śliwiński do Leśniaka – „dowcipkował [z pielęgniarką] […] w pewnym momencie zatrząsł rękami i za chwilę nie żył”. Miał 73 lata.

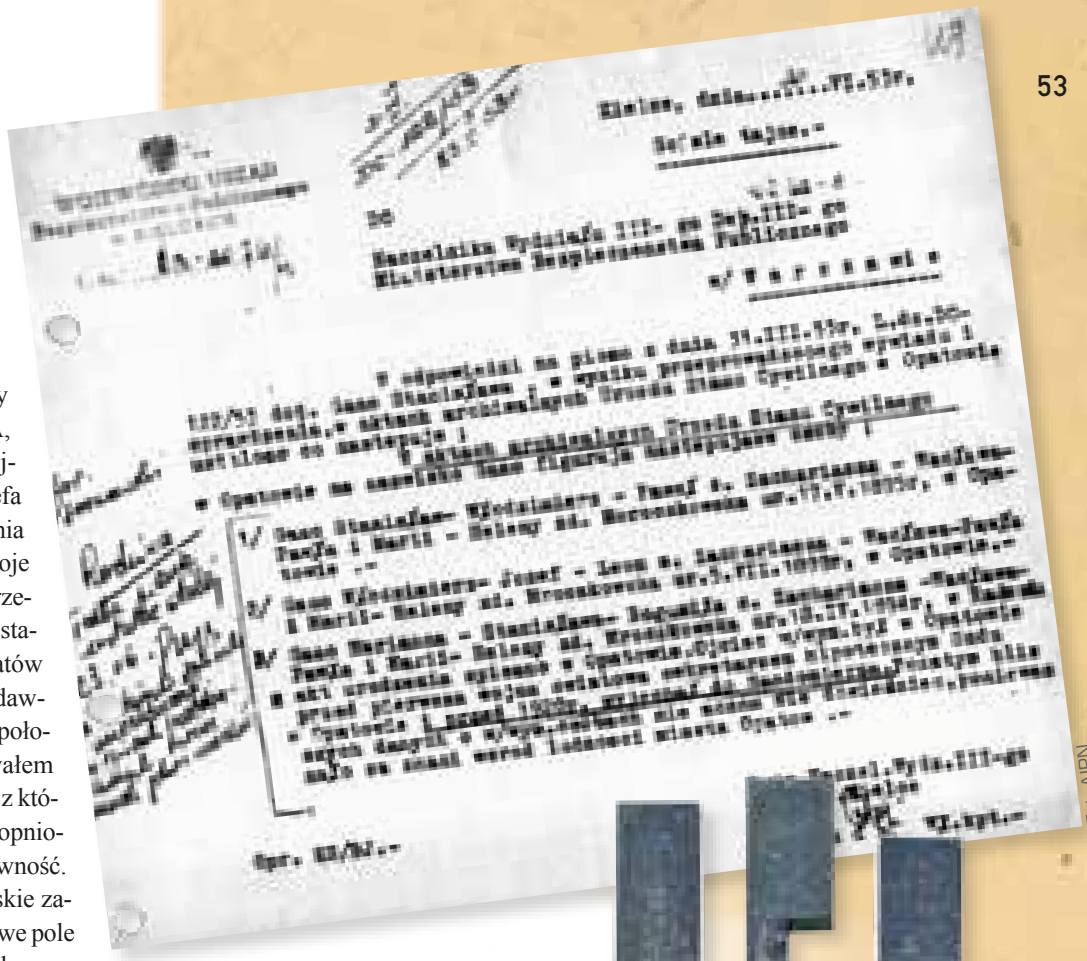

Fot. AIPN

Na celowniku SB znalazła się także rodzina Stanisława Gano, która pozostała w Polsce

Fot. Ambasada RP w Rabacie

Grób gen. Stanisława Gano na cmentarzu w Casablance, ufundowany przez Ambasadę RP w Maroku

dr Daniel Koreś – historyk, pracownik OBEP IPN we Wrocławiu

Więzień stanu

Tomasz Kozłowski

Przy okazji dyskusji o internowaniu Lecha Wałęsy największe emocje budzi sprawa dobrych warunków, w których był przetrzymywany. Zupełnie niesłusznie zapomina się o tym, że od jego postawy zależał los Solidarności.

Lech Wałęsa podczas internowania w Arłamowie; choć dziennikarz niemieckiego „Sterna" uwiecznił przewodniczącego Solidarności w dość sielankowej atmosferze, to zupełnie nie oddaje to realiów pobytu w ośrodku odosobnienia

Fot. AIPN

Kiedy w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku internowano kilka tysięcy osób, wśród nich nie było Lecha Wałęsy. Nie został on zatrzymany, tylko „zaproszony na rozmowy" przez I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Tadeusza Fiszbacha w asyście kilkunastu funkcjonariuszy. Atmosfera, w której miały przebiegać te negocjacje, zależała od samego Wałęsy. Gdyby tylko przewodniczący Solidarności zgodził się poprzeć politykę władz i ogłosił to w telewizji, miałby otwartą drogę do spotkań z Wojciechem Jaruzelskim, posady przewodniczącego związku i innych wysokich stanowisk.

Przewodniczący Solidarności jako „gość rządu" był izolowany i przetrzymywany w kolejnych ośrodkach rządowych: w Chylicach, Otwocku i Arłamowie. Przez cały ten czas miał zapewnione dużo lepsze warunki niż inni internowani. Pilnowali go funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu, a nie więzienni strażnicy. W podobnych warunkach przetrzymywano Jana Kułaja – przewodniczącego NSZZ „Solidarność" Rolników Indywidualnych.

Władze mogły dużo zyskać na zdobyciu przychylności Wałęsy. W badaniach przeprowadzonych w marcu 1982 roku przez Ośrodek Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych respondenci, pytani o to, kto powinien stać na czele Solidarności, w 71 proc. odpowiadali, że musi to być Lech Wałęsa.

Polityczny scenariusz władz po 13 grudnia 1981 roku nie zakładał całkowitego zlikwidowania NSZZ „Solidarność". Ministerstwo Spraw Wewnętrznych opracowało listy ludzi, którzy mieli zastąpić internowanych i ukrywających się liderów związku. Część ze „zmienników" była tajnymi współpracownikami, inni karierowiczami, niektórzy wierzyli w potrzebę kompromisu z władzą. Problem był jeden: aby w kraju i za granicą ktoś uwierzył w nową Solidarność (neo-Solidarność), na jej czele musiał stanąć dotychczasowy przywódca – Lech Wałęsa.

Władzom zależało na dobrym nastroju przewodniczącego Solidarności w czasie negocjacji. Dbano więc o to, żeby niczego mu nie brakowało: zapewniono papierosy, alkohol, w miarę możliwości pozwalano się relaksować grą w ping-ponga czy łowieniem ryb. Raczej nie utrudniano przyjazdów żony z dziećmi. W zamian oczekiwano tylko jednego – że Wałęsa będzie z przedstawicielami władz rozmawiał i zdecyduje się poprzeć politykę komunistów.

„Socjalizm – tak, wasze metody – nie"

Minister ds. związków zawodowych Stanisław Ciosek, który spotkał się z przewodniczącym Solidarności w dniu ogłoszenia stanu wojennego, opowiadał towarzyszom z Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR, że Wałęsa był uległy i skłonny do współpracy oraz że rozważał wydanie publicznego oświadczenia, aby uspokoić sytuację w kraju. Miał też deklarować, że jeżeli tylko władza zapewni społeczeństwu żywność, to on da „pełne poparcie dla tych rozwiązań", czyli dla stanu wojennego. Według ministra Cioska, Wałęsa opowiadał też, że „Solidarność poszła za daleko", że „wystąpienie gen. Jaruzelskiego zrobiło na nim duże wrażenie, powiedział, że je poprze. Stwierdził, że jeśli nie pójdziemy drogą odnowy, to za pięć lat poleje się krew, że jest żołnierzem i wykonuje rozkazy". To były słowa, na które kierownictwo partyjne czekało.

Tyle że Wałęsa stawiał też warunki: „wypuścić internowanych po złożeniu przez nich deklaracji lojalności" oraz zwołać posiedzenie władz krajowych Solidarności. Takie deklaracje nie były niczym zaskakującym, świadczyły raczej o realistycznym spojrzeniu na sytuację. Przebywający na wolności działacze także deklarowali, że mogą usiąść do rozmów z władzami, ale pod warunkiem zwolnienia internowanych i odwołania stanu wojennego.

W zachowanych w dokumentach sporządzonych przez funkcjonariuszy BOR można znaleźć informacje na temat wielu wypowiedzi Wałęsy, które były przychylne władzom, a niepochlebne wobec działaczy związkowych i uczestników opozycji demokratycznej. Jeden z funkcjonariuszy notował, że Wałęsa mówił o tym, iż „popiera w 90 proc. decyzje gen. Jaruzelskiego" czy „uważa, że 13 grudnia to było jedyne możliwe i bardzo dobre pociągnięcie". Potrafił być wulgarny – w czasie rozmowy z prokuratorem wojskowym miał twierdzić, że „posunięcie Jaruzelskiego o wprowadzeniu stanu wojennego było

Plan ośrodka w Arłamowie

Fot. AIPN

Fot. AIPN

Plan ośrodka internowania Warta-2

potrzebne do »rozpierdolenia« KPN i KOR". O ile po latach te wypowiedzi mogą się wydawać szokujące, o tyle nie można na nie potrzeć bez uwzględnienia ówczesnych realiów. Wałęsa starał się przed władzami uwiarygodnić jako partner do rozmów. Zapewne sytuacja ciągłego napięcia sprawiała, że nie przebierał w słowach w czasie tych na poły prywatnych rozmów. Jednak w deklaracjach politycznych stawiał cały czas te same warunki minimum: podstawą do dialogu było zwolnienie z internowania co najmniej kierownictwa Solidarności i kluczowych doradców związku. Poza – w rozumieniu Wałęsy – prywatnymi komentarzami nie wyrażał on poparcia dla Jaruzelskiego publicznie. „Na pytanie, dlaczego nie poprze oficjalnie działalności gen. Jaruzelskiego, powiedział, że nie może się do tego przyznać" – notował funkcjonariusz BOR.

Fiasko neo-Solidarności

W podchodach Wałęsy władze zorientowały się dość szybko. Wiceppremier

Notatka służbowa funkcjonariusza BOR eskortującego Lecha Wałęsę do miejsca internowania tuż po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku

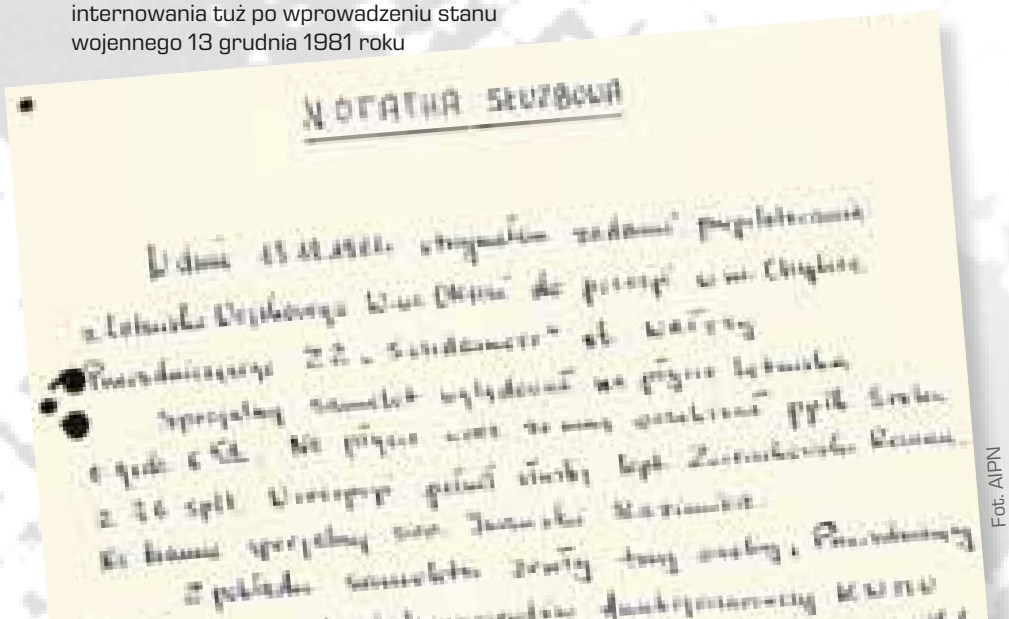
NOTATKA SŁUŻBOWA

Fot. AIPN

Mieczysław Rakowski zapisał, że „nie ma pewności, kiedy to, co mówi Wałęsa, jest chytrą taktyką, a kiedy są to rzeczywiste poglądy". Członek Biura Politycznego KC PZPR Kazimierz Barcikowski zauważył: „Straciliśmy sporo czasu na oczekiwanie na zmianę w postawie Wałęsy".

Z różnych powodów, wśród których jednym z najistotniejszych było niepodejmowanie współpracy przez Wałęsę, władze zaczęły wycofywać się z pomysłu organizowania neo-Solidarności. Tym samym przewodniczący związku przestał być potrzebny. Pod koniec stycznia przekazano Wałęsie decyzję o internowaniu. Odmówił jej podpisania, twierdząc, że został, jak tłumaczył BOR-owcom, oszukany, „ponieważ wysocy funkcjonariusze partyjni i państwowi przybyli [13 XII 1981 roku] do jego mieszkania, zapraszając go na rozmowy do Premiera […] W tej chwili minęło ponad 40 dni jego przebywania w odosobnieniu i teraz dopiero dowiaduje się, że jest internowany". Do przetrzymywanych w Białołęce liderów Solidarności przesłał za pośrednictwem któregoś ze swoich gości wiadomość: „w tej sytuacji, jaka powstała, żadne paktowanie nie ma sensu. Ani kroku wstecz, żadnych ustępstw".

Aby przełamać upór Wałęsy, sięgano po wszelkie dostępne środki. Z jednej strony za poparcie pożądanych przez władze zmian proponowano mu objęcie wysokiego stanowiska w administracji. Z drugiej – w miarę jak plan ten stawał się coraz bardziej nieprawdopodobny – zaczęto stosować naciski. Lech Wałęsa w swoich wspomnieniach notował, że nakłaniano go do emigracji. Innym razem przewodniczącego związku odwiedził oficer SB, który znał go z początku lat siedemdziesiątych, kiedy Wałęsa był zarejestrowany jako tajny współpracownik. Fakt ten pokrywa się z informacją z tzw. Archiwum Mitrochina (dokumenty KGB wywiezione w 1992 roku na Zachód przez archiwistę Wasilija Mitrochina), o tym, że władze starały się zastraszyć internowanego Wałęsę, „przypomina-

jąc mu, że [kiedyś] pobierał pieniądze i dostarczał informacji [SB]".

Zaostrzony kurs

Mimo prób politycznego przekupstwa i szantażu Wałęsa nie zmienił zasadniczo swojej postawy. To przesądziło o jego późniejszej silnej pozycji w relacjach z podziemnym kierownictwem związku – Tymczasową Komisją Koordynacyjną. Jej członek, Władysław Frasyniuk, wspominał, że kiedy władze zaczęły z Wałęsą rozmowy, wśród ukrywających się działaczy związku zrodziły się obawy: „Nie było cienia wątpliwości, że presja, jakiej zostanie poddany Wałęsa, jest sześć razy większa niż ta, której my się możemy spodziewać. […] Załamanie się Wałęsy byłoby także naszą porażką. Powiedzmy sobie uczciwie: gdyby Wałęsa pękł, wykonał jakiś, jakikolwiek pozytywny gest w stronę władzy, my stracilibyśmy mandat. A już nie mówiąc o tym, że znacząca część ludzi po prostu zrezygnowałaby z tego ryzyka, które wiązało się z konspiracją".

Od kiedy porzucono pomysł o reaktywowaniu Solidarności, władze zaczęły obchodzić się z Wałęsą ostrzej. W październiku funkcjonariusze brutalnie zrewidowali jego żonę, podejrzaną o przemycanie grypsu. Danuta Wałęsa wspominała: „[funkcjonariusz] Bobiński wykręcił mi ręce i siłą zaprowadził, a w zasadzie pchał mnie do środka [budynku komendy]. Tam doszło do awantury. Bobiński pokazał swoje prawdziwe oblicze. Wykrzykiwał, że ludzie z Solidarności pisali im na drzwiach »Zdrajcy«, że mieli go powiesić, a jego dziecko zamordować. Tak głośno krzyczał, że nawet inni esbecy musieli go uspokajać". W wysłanej do Prokuratury Generalnej skardze Danuta Wałęsa pisała, że kiedy zwróciła Bobińskiemu uwagę na swoje płaczące dziecko, ten odpowiedział: „Moje dziecko miało sześć lat i było przeznaczone do zlikwidowania". Nie ograniczał się do obrażania („zamknij mordę ty babo, dość, żeście dwa lata rządzili"), ale miał się posuwać do gróźb – Danuta Wałęsa wspomina, że patrząc na nią, powiedział, że najlepiej byłoby ją zabić.

Fot. AIPN

Lech Wałęsa w Arłamowie, zdjęcie z czasopisma „Paris Match" SB skrzętnie gromadziła wszelkie materiały - nawet wycinki prasowe z gazet zagranicznych

Na samego Wałęsę zaczęto zbierać „haki", które można było wykorzystać w kampanii propagandowej. Władze rozumiały bowiem, że Wałęsa będzie pełnił ważną funkcję dopóty, dopóki będzie miał społeczne poparcie. Szczególnym zagrożeniem była rysująca się na horyzoncie możliwość przyznania przewodniczącemu Solidarności pokojowej nagrody Nobla. W Arłamowie nagrano materiał nazywany potem „rozmową braci". Na nagraniu audio Wałęsa, pijący alkohol ze swoim bratem, opowiada o zgromadzeniu pokaźnego majątku oraz o rzekomo starożytnym pochodzeniu rodu Wałęsów. Materiały te opublikowano w ogólnopolskiej telewizji. Nie przyniosło to jednak zamierzonego rezultatu – społeczeństwo uważało raczej, że jest to materiał spreparowany. Sam Wałęsa poprawił swoje notowania, zapowiadając przekazanie pieniędzy z Nagrody Nobla na cele charytatywne. Ale to było już po jego zwolnieniu z internowania. Celowo upowszechniano także informacje o warunkach internowania kontrastujących z warunkami innych uwięzionych działaczy związkowych i opozycjonistów.

Kłopoty z Wałęsą

Odpowiedni moment na zwolnienie Wałęsy nadszedł w listopadzie 1982 roku

po tym, jak przewodniczący wystosował do Wojciecha Jaruzelskiego oficjalny list w sprawie rozmów. W czasie posiedzenia Sekretariatu KC PZPR 9 listopada 1982 roku Wojciech Jaruzelski przedstawił zebranym treść listu. Ustalono, że na rozmowy do Arłamowa uda się minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak.

W czasie posiedzenia Biura Politycznego 18 listopada 1982 roku Kiszczak przedstawił streszczenie rozmów i swoje obserwacje: „Wałęsa nie zmienił się, jest to mały człowiek, żulik, lis, chytry człowiek, chce oszukać partnera. Mówi, że jest zwolennikiem gen. Jaruzelskiego, że stan wojenny był konieczny, ale że powinien trwać 3 miesiące, że nie wszyscy powinni być internowani. […] Pytał, co z nim będzie. Oświadczyłem mu, że jest to ostatnia rozmowa przedstawiciela rządu z nim, że zwolnimy go z internowania i za wykroczenia będziemy karać zgodnie z prawem. Prosił, żebym nie robił mu krzywdy. Będziemy mieli z nim kłopoty".

Kiedy po prawie rocznym internowaniu Wałęsa powrócił do domu w Gdańsku, witał go tłum. Eskortujący przewodniczącego funkcjonariusze byli zapewne przestraszeni tą sytuacją. Jeden z nich notował: „Liczba zebranych wyniosła około 1200 osób, […] w klapach znaczki Solidarności i białe flagi z napisem »Solidarność«. Wszyscy wznosili okrzyki powitalne i podnosili dłonie, których palce symbolizowały literę V. Wśród okrzyków dało się słyszeć: »Nie ma wolności bez Solidarności«, »Nareszcie z nami«, »WRON to gestapo«, »Precz z WRONem«, itp. Zgromadzeni odśpiewali kilkakrotnie hymn państwowy". Kiszczak miał rację – kłopoty z Wałęsą właśnie zaczynały się na nowo.

Fot. AIPN

Fot. AIPN

› Przedwodniczący Solidarności pilnowany był na każdym kroku; obok i powyżej notatki służbowe sporządzone przez funkcjonariuszy BOR, z informacjami dotyczącymi przebiegu pobytu Lecha Wałęsy w ośrodkach internowania

Tomasz Kozłowski – historyk, pracownik BEP IPN, współautor (z Grzegorzem Majchrzakiem) książki *Kryptonim 333. Internowanie Lecha Wałęsy w raportach funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu* (2012)

Całość floty rzymskiej dzielono na flotylle (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotylle posiłkowe dostarczane, dobrowolnie lub przymusowo, przez nacje z nim sfederowane. Oprócz okrętów stricte bojowych Imperium rozporządzało także znaczą ilością mniejszych jednostek zwiadowczych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaopatrzenia i żywności na teren działań wojennych. Wielka ich liczba wyruszyła wraz z całą flotą rzymską (liczącą trzysta trzydzieści okrętów) w ekspedycję zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przylądka Eknomos w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelne dowództwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsulów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przed naszą erą z inicjatywy Appiusza Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsulów dobierał sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę duumvir navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawami finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterej quaestores classici. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsulom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalny stał się spadek prestiżu konsula, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uprawnienia przejmowali stopniowo inni wysocy urzędnicy, na przykład w trakcie wojen macedońskich całością floty kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydzielonymi eskadrami dowodzili podlegający temu ostatniemu legati classici. Głównym dowódcą okrętu wojennego był trierarchus. Jego rozkazom podlegał centurio classicus, a więc dowódca oddziału żołnierzy pokładowych. Obowiązki szypra, czyli dowodzącego mniejszymi jednostkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnił nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szyprów, które pełnił nauarchus princeps. W zależności od rodzaju okrętu wojennego na jego pokładzie znajdowała się mniejsza lub większa liczba załogi. W jej skład wchodzili: kadra dowódcza, żołnierze okrętowi (classiari lub marines), wiosłarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz flet nista bądź trębacz nadający odpowiednie tempo wiosłowania. Oficerowie pokładowi, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wiosłarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym umiejscowionym na rufie okrętu flagowego. Na jego maszcie wywieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Przebieg przegranej przez Kartagińczyków bitwy u przylądka Eknomos w 256 r. p.n.e. Istotne zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żeglugi. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wiosłom sterowym, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wiosłarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żeglugi chowano pod ławeczki wioślarskie), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wprawiania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni przeróżnych sposobów walki: począwszy od wylewania kotłów z gorącą cieczą na pokład przeciwnika, poprzez rzucanie koszów wypełnionych jadowitymi wężami bądź skorpionami, a skończywszy na miotaniu pocisków za pomocą procy oraz rzucaniu oszczepami, nawet z pozycji siedzącej. Każdy okręt wojenny, bez względu na wielkość, posiadał na swym pokładzie określoną liczbę legionistów, którzy podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przeważnie była to tak zwana centuria classica licząca stu zbrojnych. W okresie późnej republiki oraz pryncypatu classiari posiadali następujące uzbrojenie: tunikę kolczą (lorica hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (na wzór „pancerza atlety") i przytroczone do niego pteryges, czyli połączone ze sobą skórzane pasy, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; hełm typu beockiego ze specyficznym rondem opadającym ku dołowi i napolicznikami wiązanymi pod brodą, oszczep do dwóch metrów długości; krótki miecz (gladius). Ponadto na wyposażeniu żołnierzy pokładowych znajdowały się owalne tarcze zdobione zazwyczaj motywami morskimi (na przykład harpunami lub podobiznami boga Neptuna) i zawieszane na specjalnym pasku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wyobrażeń scen morskich w sztuce rzymskiej można odtworzyć także ubiór legionistów okrętowych. Typowy classiarus nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czerwonego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morscy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italikowie sprzymierzeni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojnie punickiej Tytus Liwiusz zanotował: Ludy Umbrii, a obok nich mieszkańcy Nursji, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabiński przyrzekły dostarczenie żołnierzy. Z Marsów, Pelignów, Marrucynów wielu zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowie, choć byli w przymierzu z Rzymem na równych prawach, przysłali uzbrojony oddział sześciuset ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z ujarzmienia wielu plemion barbarzyńskich, do załóg okrętowych włączono też przedstawicieli podbitych nacji (symmacharii), którzy nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojskowej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego dla plemienia, z którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stronami, nie w pełni zromanizowani wodzowie wywodzący się z terenów podbitych, w całości jednak podlegający dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególnych flotylli rzecznych w skład rzymskich załóg wchodzili: Iberowie, Brytowie, Germanie, Gallowie a nawet Maurowie lub szerzej – mieszkańcy Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztylet, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmocnioną metalowym umbem oraz maczugi. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej choć ochrony tułowia i torsu stosowano wielowarstwowe płócienne tuniki. Wspomniani wcześniej Maurowie w warunkach morskich uzbrajali się w kilka krótkich oszczepów do rzucania, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramię oraz wełnianą tunikę. Z barbarzyńców rekrutowały się także jednostki odpowiadającą za walkę na odległość. Zaliczyć do nich należy łuczników, których często werbowano spośród mieszkańców Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim łucznicy syryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się: hełm stożkowy, pancerz łuskowy, nakarcznik, łuk refleksyjny, którego cięciwę napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakira) nakładanego na kciuk oraz krótki miecz. Mniejsze znaczenie aniżeli łucznikom przypisywano miotaczom kamieni, których należy odróżnić od procarzy. Ci ostatni pochodzili zazwyczaj z Wysp Balearskich, chociaż znani i cenieni byli także procarze kreteńscy. Na ich uzbrojenie składały się: proca skórzana, luźny płaszcz na pociski, tunika, hełm i krótki miecz bądź puginał. Jako procarze służyli też zwykle Brytowie, których odróżniało noszenie długich spodni oraz skórzanej torby na amunicję. Używano dwóch rodzajów procy: do rzucania na znaczną odległość przeciw oddziałom skupionym w gęstym szyku na małej przestrzeni (w takiej sytuacji znaczne straty w szeregach wroga były gwarantowane) oraz do rzucania do bliższych celów indywidualnych. Nośność procy wynosiła do sześciuset stóp rzymskich (jedna stopa rzymska to dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych centymetra). Rzucano kamiennymi bądź ołowianymi kulami. Generalnie rzecz ujmując, niezależnie od tego, czy mówimy do Grekach, Rzymianach lub innych jeszcze ludach, bitwy morskie rozstrzygano na trzy sposoby. Dążono zazwyczaj do staranowania wrogich okrętów (grecki manewr – periplus), zdruzgotania ich wiosel kadłubem (diekplus) lub abordażu, czyli przeniesienia walki na pokład okrętu nieprzyjaciela. Aby skutecznie dokonać taranowania, okręty ustawiały się w szyk czołowy. Następnie podpływały do nieprzyjacielskich jednostek na bliską odległość i atakowały taranami ich burty. Później wycofywały się w celu uwolnienia taranów, po czym powtarzały wspomniane czynności. Niekiedy dążono także do okrążenia sił przeciwnika poprzez wykonywanie manewru oskrzydlającego. Będąc w niewielkiej odległości od okrętu wroga można było także zdruzgotać jego wiosła poprzez wpłynięcie na nie, gdy znajdowały się w wodzie. Należało przy tym pamiętać, aby wcześniej podnieść własne wiosła. Atak taki był możliwy po uprzednim ustawieniu okrętów w szyk liniowy, które przepływały następnie ze sporą szybkością przez ugrupowanie nieprzyjaciela. Manewr taki mogła ryzykować jedynie flota złożona z szybkich i zwrotnych jednostek. Stosowano także szyk obronny (kyklos) stosowany przez floty słabsze liczebnie od przeciwnika, bądź złożone z powolniejszych okrętów. Wówczas to jednostki tworzyły okrąg, ustawiając się taranami na zewnątrz – frontem do wroga. Rzymianie, znani z walorów swych sił lądowych, ulepszyli znacznie technikę abordażu. Aby ułatwić własnym żołnierzom przedostanie się na nieprzyjacielski okręt i nadać starciu morskiemu charakter bitwy na twardym gruncie, zaopatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruki (corvus). Miały one jedenaście metrów wysokości i jeden i dwie dziesiąte metra szerokości, z każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dodatkowo zaopatrzone były w żelazne dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do ośmiometrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu. kołowrotowi, wspomnianemu słupowi oraz linom przewleczonym przez jego wierzchołek, możliwe było podnoszenie i opuszczanie opisanej kładki, a także obrócenie jej na dowolną burtę okrętu. Aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kolca bądź haka (coitus) na końcu pomostu.

W Internecie mamy więcej miejsca.

Pierwszy polski portal historyczny
www.histmag.org

REKLAMA

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI"
Popularyzujemy historię od 55 lat!

W sierpniowym numerze przeczytacie o:

- zapomnianych bitwach 1920 roku: pod Borodzianką, Chorupaniem, Dytiatynem, Zadwórzem i w Krwawym Borze.
- wojennej kolaboracji na ziemiach polskich – dyskutują prof. Ryszard Kaczmarek i dr. hab. Rafał Wnuk
- sekretach papirusów – tajniki swego warsztatu zdradzają wybitni polscy papirolodzy: Ewa Wipszycka-Brawo, Tomasz Derda i Jakub Urbanik
- rozbiciu rosyjskiego konwoju pod Żyrzynem w 1863 roku
- wierzeniach Inków
- krakowskich kopcach: Wandy, Esterki i Piłsudskiego
- libańskim Hezbollahu, który zamieszał w syryjskiej wojnie domowej
- agentach organizujących emigrację Polaków za ocean
- zabytkach rzymskich wykopanych w londyńskim City
- zwycięstwie Horatio Nelsona nad Francuzami w bitwie morskiej pod Abukirem

Ponadto w miesięczniku: aktualności historyczne, recenzje książkowe i filmowe, anegdoty sprzed wieków

„Mówią wieki" można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u. Prenumeratę realizują Bellona SA i RUCH.

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: ***www.mowiawieki.pl*** oraz *www.**facebook**.com/**mowiawieki***

Długowłosi pątnicy

Bogusław Tracz

Szykanowani przez komunistyczne władze polscy hipisi uznali, że najbezpieczniejszym sposobem na urządzenie zlotu będzie przyłączenie się do pielgrzymki na Jasną Górę.

W latach sześćdziesiątych idee kontrkulturowej rebelii z szybkością błyskawicy ogarnęły Stany Zjednoczone i Europę Zachodnią. Odrzuceniu konserwatywnych wartości towarzyszyły przemiany obyczajów, które na zewnątrz wyrażały się m.in. przez modę, a coraz mocniejsza muzyka rockowa jak dynamit rozsadzała pozorną harmonię powojennego świata. Hipisi tworzyli jeden z wielu ruchów, które składały się na zjawisko nazywane, w dużym uproszczeniu, buntem młodzieży. Choć niejedyny, to jednak bez wątpienia najbardziej kolorowy, a przez to i zauważany. Długie włosy, kolorowe ubrania, szerokie spodnie miały na celu jednoczesne

› Hipisi na polu namiotowym koło Jasnej Góry; sierpień 1968 roku

Fot. AIPN

odcięcie się od świata dorosłych i podkreślenie własnej, odrębnej tożsamości. Moda na „hippism" bardzo szybko dotarła do Europy. Kiedy w San Francisco i Los Angeles hipisi organizowali swe uliczne happeningi, prawie równocześnie na placach Amsterdamu, Londynu i Berlina Zachodniego pojawiły się grupy długowłosej młodzieży. Globalna wioska stawała się faktem.

Charyzmatyczny teolog

Pomimo żelaznej kurtyny i częściowej blokady przepływu informacji, również w krajach „demokracji ludowej" młodzi mężczyźni coraz odważniej zapuszczali włosy i próbowali naśladować swoich zachodnich rówieśników. Pierwsi „socjalistyczni" hipisi pojawili się w dużych miastach państw leżących na granicy obszaru sowieckiej dominacji – w NRD, Czechosłowacji i na Węgrzech. Nowa moda coraz większym strumieniem wpływała również w granice PRL. Już wiosną 1967 roku grupki długowłosej młodzieży można było spotkać w centrach większych miast: na warszawskiej Starówce czy krakowskich Plantach szokowali przechodniów swym strojem i zachowaniem, wyraźnie odróżniając się od reszty przechodniów.

W Warszawie hipisi zgrupowali się wokół Józefa Pyrza – charyzmatycznego studenta teologii na Akademii Teologii Katolickiej, który przybrał pseudonim „Prorok". Pod koniec 1967 roku coraz więcej długowłosych pojawiało się w innych miastach Polski. W Krakowie liderem hipisów został student pierwszego roku historii na Uniwersytecie Jagiellońskim, Ryszard Terlecki „Pies". Jego pseudonim wziął się stąd, że milicjant, który go zatrzymał i spisywał, nie wiedział, jak napisać „hipis". Terlecki, chcąc podać pisownię angielską, przesylabizował: „hip-pies". „A, pies!" – ucieszył się milicjant.

Hipisi pojawili się prawie równocześnie w większości dużych miast. Mniejsze, czasami zaledwie kilkuosobowe grupy tworzyły się nawet w miejscowościach na prowincji.

Hipisi chcieli realizować powszechny w ówczesnej kulturze zachodniej mit przygody i wolności. Nieustanna podróż, „bycie w drodze" były jednymi z podstawowych składników hipisowskiego sposobu życia. W ciepłe miesiące, zwłaszcza latem, włóczono się po kraju, najczęściej autostopem, korzystając z uprzejmości kierowców. Wyjeżdżano w niewielkich, kilkuosobowych grupach, do których po drodze przyłączały się kolejne osoby. Wakacje były najlepszym okresem, w którym można było spotkać się z hipisami z innych miast i części Polski, nawiązać nowe kontakty i podtrzymać stare przyjaźnie.

Nieudane zloty

Na początku wakacji 1968 roku warszawscy hipisi powzięli plan zorganizowania spotkania przyjaciół i znajomych z całego kraju. Postanowiono poinformować – pocztą ➤

Fot. AIPN

pantoflową, listownie bądź telefonicznie – możliwie jak najwięcej hipisów mieszkających w różnych częściach Polski, by około 20 lipca przybyli do Mielna nad Bałtykiem. Tak doszło do pierwszego zlotu, w którym wzięło udział zaledwie ok. 120 osób. Trzy dni spędzono na plaży, na rozmowach i wspólnej zabawie. Wówczas padła propozycja, by podobne spotkania organizować częściej, w różnych miejscach.

Kolejny zlot odbył się miesiąc później w Dusznikach-Zdroju, tuż przy granicy z Czechosłowacją. Tak się złożyło, że akurat w nocy z 20 na 21 sierpnia 1968 roku, kiedy hipisi beztrosko spędzali czas na górskiej polanie, rozpoczęła się wojskowa Operacja Dunaj, w której „ludowe" Wojsko Polskie wraz z innymi armiami państw Układu Warszawskiego rozpoczęło interwencję wojskową w Czechosłowacji. Również w Dusznikach po raz pierwszy uczestników zlotu spotkały szykany ze strony milicji. Niektórych hipisów spisano i przeprowadzono z nimi tzw. rozmowy ostrzegawcze.

Mniej więcej w tym samym czasie hipisami zaczęła interesować się Służba Bezpieczeństwa, która szczegółowo informowała lokalne komendy milicji o kolejnych planowanych zlotach. Jesienią 1968 roku milicja, a częściowo poniekąd także fatalna pogoda, przeszkodziły organizacji zlotu na Świętym Krzyżu. Nie udało się również zorganizować zlotu wiosną następnego roku w Brzegu. Uczestnicy kolejnych zlotów w Opolu, Kazimierzu Dolnym czy Kruszwicy spotykali się z coraz ostrzejszym przeciwdziałaniem milicji. Długowłosych chłopaków i towarzyszące im dziewczyny zatrzymywano, zanim dotarli na miejsce. Często kilka dni wcześniej odwiedzano ich rodziców, z którymi przeprowadzono stanowcze rozmowy mające na celu skłonienie syna lub córki do pozostania w tych dniach w domu. W sierpniu 1969 roku w Brzegu milicja zaatakowało obozowisko hipisów, a wielu dotkliwie pobito. Podobnie w maju 1970 roku w Chęcinach, gdzie zorganizowano obławę milicyjną, a tym, którzy próbowali się schronić na chęcińskim zamku, urządzono tzw. ścieżkę zdrowia, czyli bicie gumowymi pałkami osób biegnących między dwoma szeregami milicjantów.

Ponieważ interwencje milicji były coraz uciążliwsze, zaczęto spotykać się w mniejszych grupach. Postanowiono również, że termin i miejsce zlotu przekazywane będzie pocztą pantoflową dosłownie w ostatniej chwili, tak by uniemożliwić akcję milicji. O tym, gdzie i kiedy miałby się odbyć zlot, wiedziała początkowo niewielka

Fot. AIPN

Fot. AIPN

grupa osób, najbliższych przyjaciół Józefa Pyrza „Proroka". Zapewne nie podejrzewano, że zarówno milicja, jak i Służba Bezpieczeństwa miały już wówczas w środowisku hipisowskim swoich informatorów i tym samym uzyskanie wiadomości o planowanym zlocie nie stanowiło większego problemu, nawet jeśli hipisi próbowali jak najdłużej utrzymać w tajemnicy czas i miejsce spotkania.

Oszukać milicję

Nie wiadomo, który z hipisów wpadł na pomysł, by kolejny duży zlot spróbować zorganizować w Częstochowie, u stóp jasnogórskiego klasztoru, w czasie sierpniowych uroczystości z okazji święta Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Klasztorne wzgórze w okresie największego natężenia ruchu pielgrzymkowego było idealnym miejscem, gdyż – jak słusznie podejrzewano – tłumy pielgrzymów jako obserwatorzy nie były na rękę milicji, skłonnej zazwyczaj do rozwiązań siłowych. Koncepcja ukrycia się w wśród pielgrzymów okazała się genialna i przesądziła o wybraniu Częstochowy na miejsce spotkań również w kolejnych latach.

W lipcu 1971 roku funkcjonariusze warszawskiej SB dowiedzieli się, że rozpoczęto przygotowania do zlotu zaplanowanego na połowę sierpnia na Jasnej Górze w Częstochowie. Rozpoczęto działania zmierzającego do udaremnienia spotkania, ale tym razem odstąpiono od rozwiązań siłowych. Pod koniec lipca, po ośmiomiesięcznej nieobecności, przyjechał

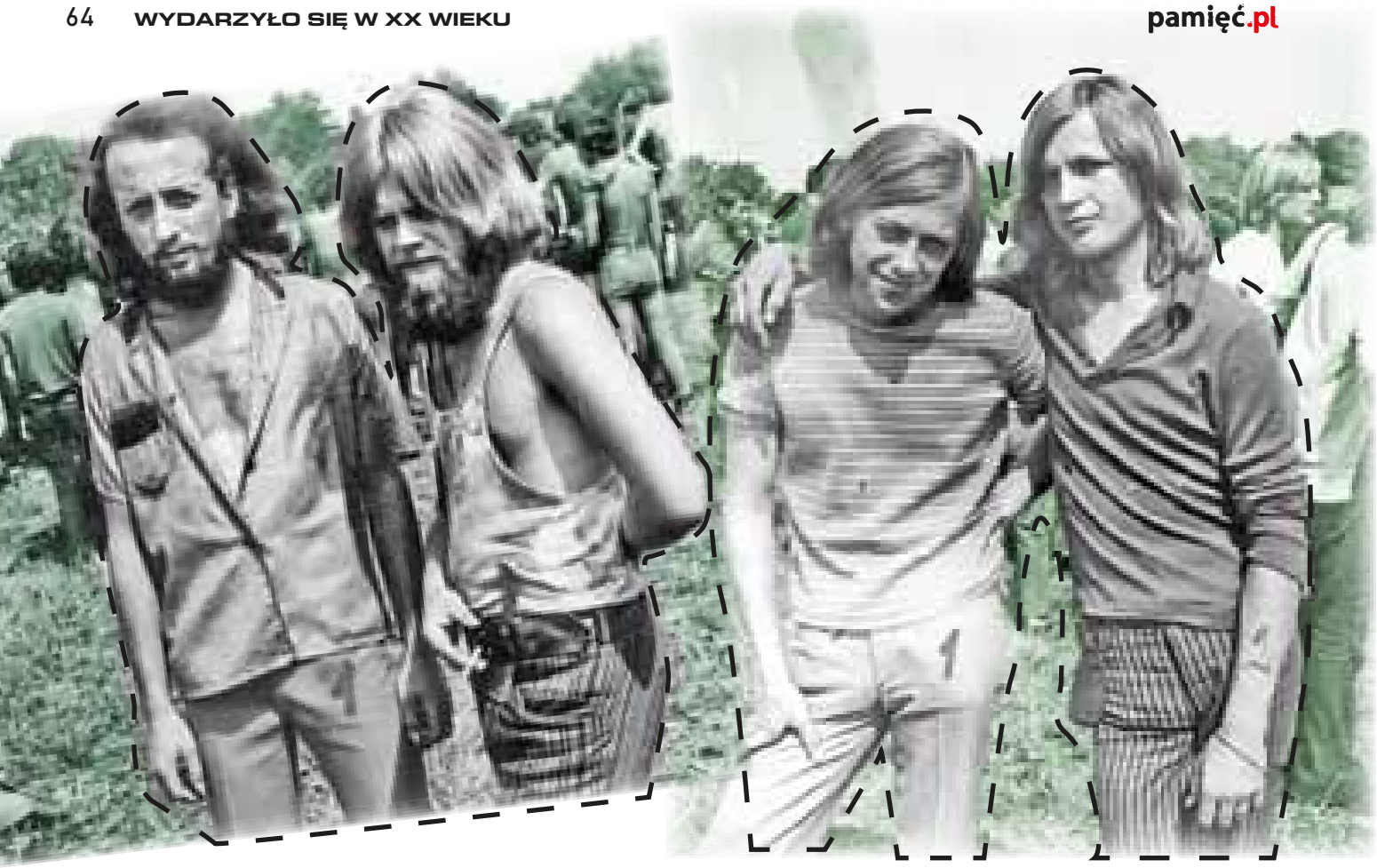

Uczestnicy zlotu zostali na zdjęciach ponumerowani przez funkcjonariuszy SB w celu lepszej identyfikacji Fot. AIPN

do Warszawy Józef Pyrz. Swój pobyt w stolicy rozpoczął od rozmów z przyjaciółmi właśnie w sprawie zbliżającego się zlotu. Ostatecznie postanowiono, że odbędzie się on między 14 a 16 sierpnia, dokładnie wtedy, kiedy w okolicach jasnogórskiego klasztoru przebywało najwięcej pątników. Nad przygotowaniami do zlotu czuwali na miejscu częstochowscy hipisi, zwłaszcza Andrzej Witkowski „Belfegor". By uniknąć problemów, zwrócono się do ojców paulinów o pozwolenie na rozbicie obozu. Według ustaleń SB, przeor klasztoru jasnogórskiego wyraził zgodę i nawet polecił jednemu z braci wyznaczyć miejsce na postawienie namiotów.

Już na początku sierpnia z miast i miasteczek wyruszyły grupki długowłosych, którzy obrali kurs na Częstochowę. Pierwsi uczestnicy zlotu dotarli pod Jasną Górę około 10 sierpnia, jednak najwięcej hipisów przybyło na miejsce wraz z pielgrzymką warszawską, tuż przed głównymi obchodami uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Według szacunków SB, 14 sierpnia w Częstochowie było już około dwustu hipisów. Najliczniejsze grupy dotarły z Przemyśla, Krakowa, Rzeszowa, Gdańska i Warszawy. Kolejne, mniejsze, przybywały jeszcze następnego dnia.

„Gitowe" ramię władzy

Część z nich wcześniej rozbiła namioty w Olsztynie k. Częstochowy, skąd – w obawie przed akcją ze strony milicji – tuż przed zlotem przenieśli się pod Jasną Górę. Jednocześnie do Częstochowy ściągały przez cały czas pojedyncze osoby z różnych stron kraju. Rankiem 15 sierpnia obozowisko hipisów u stóp klasztoru składało się z dwudziestu namiotów, w których spała zaledwie niewielka część uczestników zlotu. Niektórzy koczowali pod gołym niebem, inni na noc udawali się na okoliczne pola, gdzie nie brakowało stogów siana.

Milicjanci i funkcjonariusze SB sugerowali w raportach, że w Częstochowie mogło dojść do spotkania ponad trzech tysięcy hipisów. W rzeczywistości przybyło ich dziesięciokrotnie mniej. Tajny współpracownik „Monsinior" naliczył ich 15 sierpnia ok. 270. Następnego dnia dojechało jeszcze około dwudziestu, maksimum trzydziestu hipisów. Ogółem do Częstochowy dotarło wówczas nie więcej niż około trzystu młodych, długowłosych ludzi, którym dzięki wtopieniu się w tłumy pielgrzymów udało się ominąć milicyjne patrole i kontrole na dworcach. Hipisi korzystali z nie tylko ze spokoju, który zapewniał teren przyklasztorny, ale również z darmowych posiłków, składających się z zupy i chleba, wydawanych pątnikom przez siostry zakonne.

Następnego dnia do koczujących u stóp Jasnej Góry hipisów dołączył lider ruchu „Prorok". Część hipisów wzięła udział w uroczystościach religijnych, jednak większość pozostała

obojętna na odbywające się tuż obok ceremonie. Wieczorem dyskutowano o celach i przyszłości ruchu, zawiązywano nowe znajomości, wymieniano się adresami. Dyskusje i spotkania kontynuowano następnego dnia przed południem. Większość hipisów zresztą po dwóch, trzech dniach opuściła Częstochowę. Jak stwierdził komendant Milicji Obywatelskiej miasta i powiatu Częstochowa w końcowym sprawozdaniu, „przypadków naruszenia porządku publicznego przez hippiesów nie zanotowano".

Zlot zakończył się przykrym incydentem. Późnym wieczorem drugiego dnia obozowisko hipisów zaatakowała grupa „gitowców" – subkultury, której członkowie wywodzili się ze środowisk recydywistów i marginesu społecznego. Podejrzewano, że za całą akcją stała milicja, która rękami miejscowych chuliganów chciała pokazać hipisom, że nie są w Częstochowie mile widzianymi gośćmi. Po tym wydarzeniu część hipisów, w obawie przed kolejnymi atakami, schroniła się na terenie klasztoru. Większość opuściła Częstochowę następnego dnia. Obiecali sobie jednak powrócić za rok.

Słowa dotrzymali. W sierpniu 1972 roku ponad trzystu hipisów koczowało pod dużym drewnianym krzyżem, stanowiącym punkt orientacyjny dla nieznających topografii Jasnej Góry. Ale potem, pomimo solennych obietnic kontynuowania zlotów w Częstochowie, z roku na rok docierało tam coraz mniej długowłosych. Ruch tracił dynamikę. Wielu „starych" hipisów założyło własne rodziny i, pochłonięci licznymi obowiązkami, nie mieli już czasu na realizowanie postulatu hipisowskiej „wielkiej włóczęgi". Swoją rolę odgrywały również uciążliwe szykany ze strony milicji. Tym samym chętnych na coroczne spotkania było coraz mniej. W sierpniu 1974 roku naliczono ich zaledwie setkę. Przez dwa, trzy dni oczekiwano na przyjazd przyjaciół i znajomych z poprzednich lat, którzy jednak tym razem nie dojechali na Jasną Górę. W zasadzie ten zlot, w takim wymiarze jak dotychczas, nie odbył się, a większość przybyłych hipisów po paru dniach oczekiwania po prostu rozjechała się do domów. Od tego czasu do Częstochowy docierali każdego roku nieliczni, najwytrwalsi.

Hipisowski zakonnik

Długowłosi pielgrzymi pojawili się znów w większej grupie na Jasnej Górze pod koniec lat siedemdziesiątych, a to za sprawą salezjanina ks. Andrzeja Szpaka, który w połowie dekady związał się z hipisami: zaczął organizować spotkania, stał się ich powiernikiem, sam zaczął jeździć na zloty. Pomimo początkowych niepowodzeń w ewangelizacji swoich podopiecznych z czasem zyskał wśród nich posłuch i zdobył ich zaufanie, choć spora część nie brała udziału w nabożeństwach, nie przystępowała do sakramentów i obojętnie traktowała odprawiane przez niego msze święte.

W 1978 roku ks. Szpak wpadł na pomysł zorganizowania hipisowskiej pielgrzymki. Pierwsza – zwana „czarno-białą" – wyruszyła latem 1979 roku do Częstochowy, jako część Pielgrzymki Akademickiej. Od 1982 roku hipisi pod opieką ks. Szpaka maszerowali już samodzielnie jako Ogólnopolska Pielgrzymka Młodzieży Różnych Dróg. Każdego roku wyruszano z innego miejsca, tak by w połowie sierpnia dotrzeć do Częstochowy. Byli to jednak w większości już inni hipisi, różni do tych, którzy latem 1971 roku rozbili swoje namioty pod Jasną Górą. Z tej pierwszej grupy w ruchu pozostała zaledwie garstka.

Bogusław Tracz – historyk, pracownik Referatu Naukowego Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Katowicach

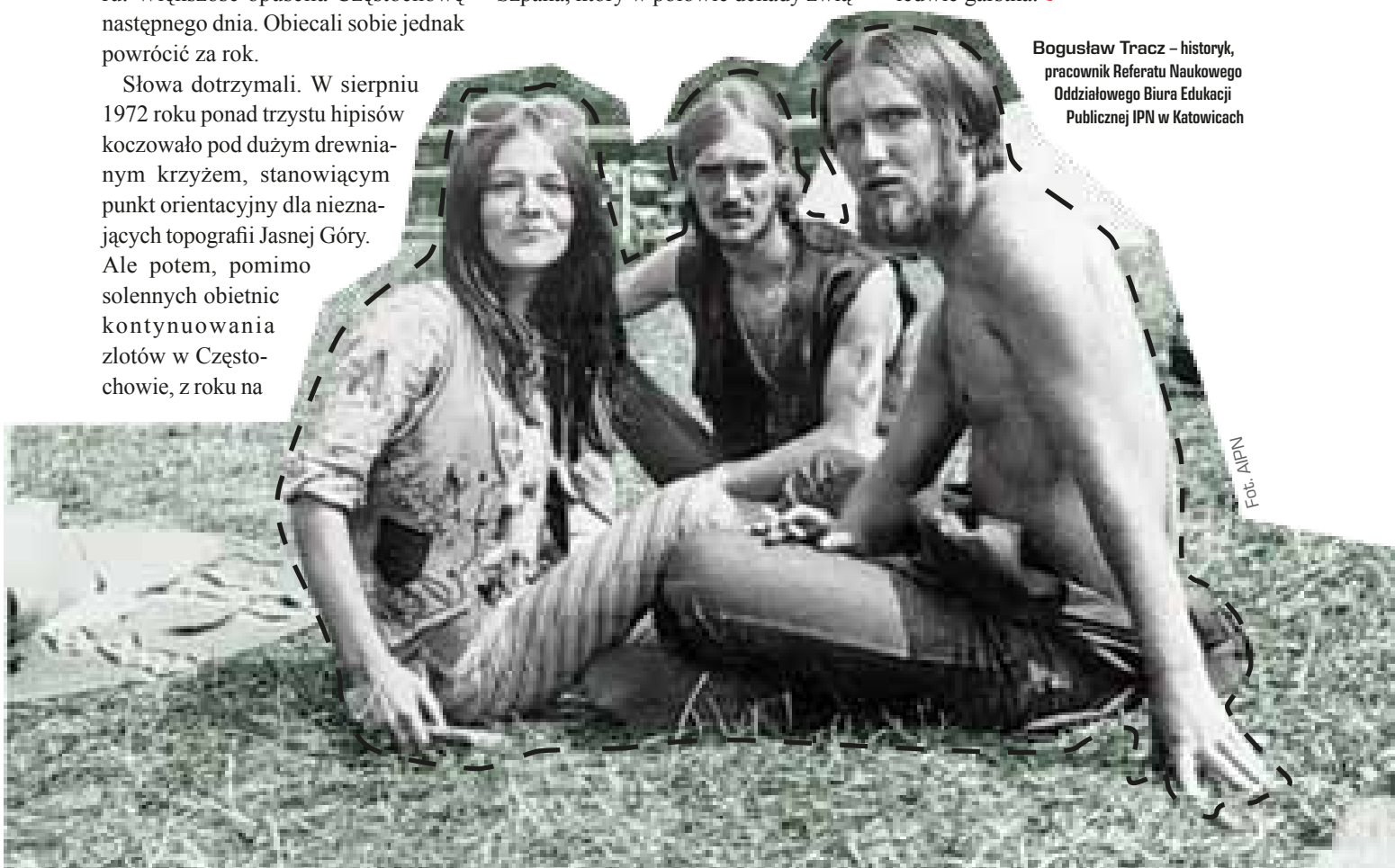

Fot. AIPN

Bilety na cukier

Jan Oleński

Kiedy wprowadzono reglamentację cukru, początkowo przydziałowe dokumenty nazywano nie „kartkami”, lecz „biletami” lub „bonami”.

Fot. ze zbiorów autora

W czerwcu 1976 roku udało mi się uzyskać paszport PRL i wyjechać do Anglii, aby odwiedzić Ciocię i Wujka, który jako żołnierz spod Monte Cassino nie mógł przyjechać do kraju. W podróż wybrałem się świeżo kupionym fiatem 126p. Z oczywistych powodów przebycie drogi zajęło trzy dni. Przed wyjazdem kupiłem gazetę, aby później, w wolnych chwilach, ją przeczytać.

Pierwszą noc spędziłem w miejscowości niedaleko granicy z ówczesną NRD, a zmęczony całodziennym prowadzeniem samochodu, do gazety nie zajrzałem. Następnego dnia, przed wyruszeniem w dalszą drogę, kupiłem następną gazetę z nadzieją, że przejrzę ją gdzieś na postoju, lecz i tym razem nie znalazłem czasu. Gdy po kolejnych dwóch dniach podróży dotarłem do Domu Polskiego w Londynie, wzbudziłem ogromne poruszenie wśród polonusów, którzy wypytywali mnie o szczegóły tego, co właśnie wydarzyło się w Polsce. Ponieważ byłem przez trzy dni w drodze, nie miałem pojęcia, o co mnie pytają, nic nie wiedziałem o wydarzeniach w Radomiu i w Ursusie. Wtedy przypomniałem sobie o tych dwóch gazetach, których nie miałem czasu przeczytać. Gdy je wyjąłem, okazało się, że w pierwszej z nich napisano o wzroście cen mięsa, który ogłosił premier Piotr Jaroszewicz, a w drugiej – o odwołaniu podwyżki! Można sobie wyobrazić, jaką sensację wzbudziły te dwie gazety i jak ucieszyli się moi rozmówcy, gdy im je podarowałem.

Fot. ze zbiorów autora

Po powrocie do kraju przekonałem się szybko, co ówczesne władze przygotowały zamiast nieudanej podwyżki cen mięsa. Od 16 sierpnia sklepy rozpoczęły sprzedaż cukru na bony, czyli tzw. „bilety towarowe”. Jak informowała prasa, wydrukowano je w trzech nominałach: na dwa, jeden i pół kilograma. Większości społeczeństwa przysługiwały bony na 2 kg cukru. Bony na 1 kg cukru dostali rolnicy sprzedający państwu „niewielką część swojej produkcji” oraz członkowie ich rodzin powyżej czternastego roku życia, utrzymujący się z rolnictwa (ich dzieci do lat czternastu dostawały pełną normę 2 kg). Normę 1 kg przyznano także dalszym członkom rodzin rolników kontraktujących swoje produkty. Bon na 0,5 kg cukru służył do realizacji normy 1,5 kg przysługującej rolnikom, którzy przekazali swoje gospodarstwo państwu za rentę. Członkom rodzin tych rolników przysługiwał 1 kg cukru, a ich dzieciom do lat czternastu – 2 kg. W uzasadnieniu publikowanego komunikatu Rady Ministrów napisano, że bony wprowadzono „na okres przejściowy”, tylko do 15 września.

Bony zostały wydrukowane na papierze ze znakiem wodnym, miały piękny gilosz, nieustępujący jakością ówczesnym banknotom. Nacięcia umożliwiały dzielenie bonów na pół. Widniejąca na „biletach towarowych" data – 25 lipca 1976 roku – mogła zmylić. Decyzję o wprowadzeniu bonów Rada Ministrów podjęła bowiem 12 sierpnia. Ich dystrybucją zajmował się Narodowy Bank Polski. Zakłady pracy odbierały bony z oddziałów NBP na podstawie specjalnych kart zapotrzebowania. Cukier „za biletami" sprzedawano po stałej cenie 10,50 zł, ale wytypowano też specjalne sklepy, w których prowadzono tzw. „sprzedaż komercyjną", po 26 zł za kilogram. Zastosowano oryginalną technikę kasowania bonów na cukier polegającą na odrywaniu jednego z rogów. Zapewne z tej przyczyny następne bony miały w rogach także wydrukowane liczby określające nominał.

Do końca sierpnia sprzedawano tylko połowę przysługującej racji, niestety nie wiadomo, czy na górną, czy dolną połówkę „biletu". Drugą połowę racji cukru można było kupić we wrześniu.

Zapowiadany „okres przejściowy" wkrótce się skończył. Od października rozpoczęto sprzedaż cukru na nowe „bilety". Były one wykonane równie starannie jak poprzednie, a każdy z nich składał się z dwóch bonów: na pierwszą i drugą połowę miesiąca o nominałach 1 lub 0,5 kg. Takie „bilety" przetrwały do końca lutego 1977 roku, a od marca weszły do obiegu bony w kształcie i wielkości znaczków pocztowych, o tych samych nominałach co pierwsze „bilety", tj. dwóch, jednego i pół kilograma. Wówczas jednak można już było realizować je w całości, bez potrzeby dzielenia na połówki. W tej formie wydawano je na kolejne miesiące aż do lutego 1981 roku. W marcu tegoż roku zostały zastąpione przez „regularne" kartki na cukier.

Wprowadzenie w 1976 roku bonów na cukier skłoniło mnie do zainteresowania się kolekcjonerstwem dokumentów reglamentacji. Moja rodzina nie była w stanie zużyć całej ilości cukru, która nam przysługiwała, i co jakiś czas, mając już pełną spiżarnię, decydowaliśmy się nie realizować przyznanych nam bonów. Pomyślałem w pewnym momencie, że większą wartość miałyby trzy różne bony z kolejnych miesięcy niż trzy jednakowe bony z jednego miesiąca. Zacząłem więc odkładać sobie po jednym bonie każdego miesiąca i tak zaczęła się moja przygoda z tym nietypowym rodzajem kolekcjonerstwa, która trwa do dziś.

Fot. ze zbiorów autora

Jan Oleński – kolekcjoner dokumentów reglamentacji, autor m.in. katalogu *Ogólnopolskie kartki zaopatrzeniowe z lat 1976–1989* (2010)

Śledztwo gibraltarskie

Ewa Koj

Pod koniec czerwca 2008 roku, w związku ze zbliżającą się 65. rocznicą śmierci gen. Władysława Sikorskiego, media przypomniały, że wielu współczesnych generałowi świadków, a potem historyków nie uznawało oficjalnej wersji przyczyn katastrofy. Przez lata rzetelne analizy dokumentów przeplatały się z bardziej lub mniej profesjonalnymi tezami osób zgłębiających zagadki przeszłości. Padało nawet pytanie, czy na Wawelu spoczywa ciało generała.

Było to konsekwencją wersji przedstawianej przez Dariusza Baliszewskiego w popularnych programach telewizyjnych „Świadkowie" i „Rewizja Nadzwyczajna". Według jego ustaleń, 4 lipca 1943 roku w pałacu gubernatora Gibraltaru polscy przeciwnicy premiera i Naczelnego Wodza zamordowali jego, a następnie Tadeusza Klimeckiego – szefa Sztabu Naczelnego Wodza, płk. Andrzeja Mareckiego – szefa III Oddziału Operacyjnego Sztabu Naczelnego Wodza i por. Józefa Ponikiewskiego – adiutanta Sikorskiego. Potem, aby zatuszować mord, Brytyjczycy zainscenizowali katastrofę. Wersja Baliszewskiego posłużyła za scenariusz telewizji TVN, która właśnie w 2008 roku kręciła film *Generał*. Tezę o sprawstwie Brytyjczyków postawił już w latach sześćdziesiątych historyk David Irving. Natomiast Tadeusz A. Kisielewski, politolog i publicysta, w swoich książkach *Zamach*, *Zabójcy*, *Gibraltar '43* wskazuje, że Sikorski zginął wskutek zamachu przygotowanego przez Sowietów.

Media i politycy: trzeba wyjaśnić

Media jednym głosem postulowały ekshumację gen. Sikorskiego, pytały o zdanie polityków i historyków. Ówczesny prezydent Lech Kaczyński w rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym" (6 lipca 2008 roku) powiedział: „Tragiczne okoliczności śmierci gen. Sikorskiego powinny być wyjaśnione. Ekshumacja może w tym pomóc. Zawsze warto dociekać prawdy". Premier Donald Tusk był podobnego zdania: „Warto wrócić do tej sprawy – katastrofa gibraltarska budzi nieprzedawnione emocje. Poza tym nadchodzi właśnie czas na nową redakcję dziejów II wojny światowej. Pozwoli ona, nie pomijając niczego, odsłonić wiele kontrowersji i tajemnic tego okresu".

Ówczesny sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Przewoźnik, czekając na decyzje władz w sprawie ekshumacji, opracował jej wstępny plan. „Źle się stało, że podczas ekshumacji w 1993 roku nikt nie zdecydował się na wykonanie ekspertyz szczątków. Dlatego teraz trzeba to zrobić bardzo porządnie" – powiedział. Warto też przytoczyć słowa historyka prof. Tomasza Nałęcza: „Pojawiła się nowa szansa na rozwikłanie jednej z największych zagadek naszej dwudziestowiecznej historii, jaką jest śmierć premiera i naczelnego wodza Polski Walczącej. Według oficjalnej wersji zginął on w katastrofie lotniczej w Gibraltarze 4 lipca 1943 roku, ale wiele osób, i to od samego początku, opowiada się za innymi wersjami. Ekshumacja i specjalistyczne badania pomogą wyjaśnić sprawę" (cyt. za: „Fakt", 3 lipca 2008 roku).

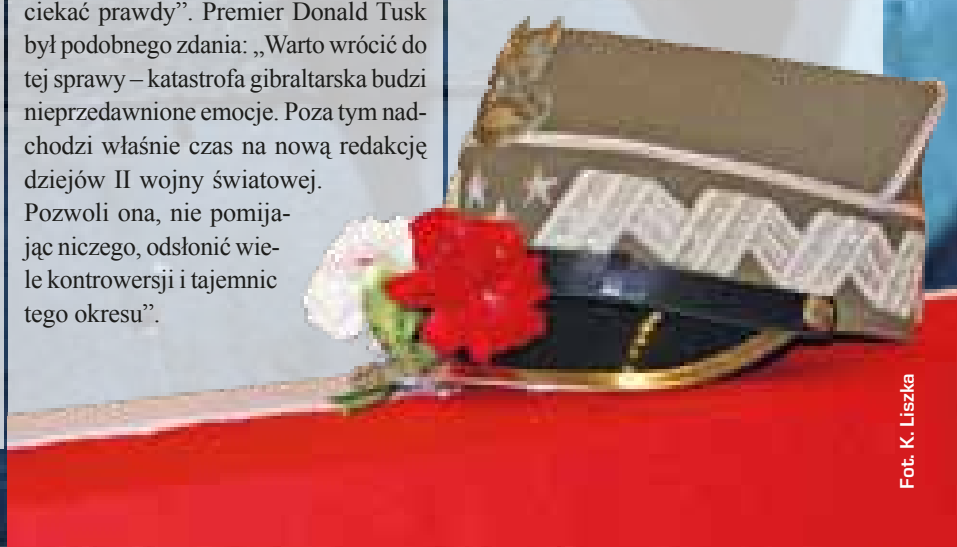

Fot. K. Liszka

Już wcześniej podobne wątpliwości mieli prokuratorzy Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach, uznając, że obowiązkiem ustawowym IPN jest je wyjaśnić. Prokurator Dariusz Psiuk dokonał analizy dostępnych publikacji i dokumentów dotyczących katastrofy lotniczej Liberatora, w której zginął gen. Władysław Sikorski, i opracował szczegółową notatkę zawierającą plan śledztwa. Wynikało z niej, że śledztwo należało przeprowadzić po latach ze względu na niewyjaśnienie okoliczności wypadku, a przede wszystkim – zaniedbanie przewidzianych w takiej sytuacji procedur, polegających na wewnętrznych i zewnętrznych oględzinach zwłok ofiar zdarzenia. Po akcji ratunkowej zaniechano przeprowadzenia dokładnych oględzin i sekcji zwłok wyłowionych z morza ofiar katastrofy. Daniel Canning, główny oficer medyczny bazy, stwierdził jedynie wielokrotne obrażenia ciała i rany na głowach uczestników wypadku, poprzestając na uznaniu, że ich śmierć nastąpiła w momencie katastrofy.

Zgoda na ekshumację

Wstępny plan śledztwa przesłano na ręce ówczesnego prezesa IPN Janusza Kurtyki, który zgodził się z wnioskami prokuratora i 4 lipca 2008 roku spowodował przekazanie do katowickiej komisji materiałów dotyczących katastrofy w Gibraltarze, wcześniej zebranych w innych komisjach. Oczywiste stało się, że pośród wielu czynności przewidzianych w tej sprawie, priorytetowa będzie ekshumacja na Wawelu.

Jakiś czas później jeden z polityków nazwał ekshumację Sikorskiego spektakularnym działaniem IPN. W istocie tak było, a decydowały o tym zarówno osoba, której szczątki miały zostać poddane badaniom, jak i miejsce pochówku. Te okoliczności powodowały, że przedsięwzięcie wymagało czynności znacznie wykraczających poza ramy ekshumacji określonej w przepisach Kodeksu postępowania karnego, na podstawie których miała zostać przeprowadzona.

Chociaż prokurator przystępujący do ekshumacji nie musi uzyskać zgody na jej przeprowadzenie, trudno było wyobrazić sobie, by w tym przypadku nie zapytać o nią gospodarza katedry wawelskiej – kard. Stanisława Dziwisza. Konieczna wydawała się też akceptacja ze strony krewnej gen. Sikorskiego, Ewy Wojtasik, wnuczki jego siostry.

17 września 2008 roku kardynał Stanisław Dziwisz przyjął prezesa Janusza Kurtkę i wyraził zgodę na przeprowadzenie ekshumacji. Jednocześnie podjął się przewodniczenia uroczystej mszy, która miała być odprawiona przy ponownym pochówku generała.

Ewa Wojtasik, początkowo sceptyczna, po rozmowie z prokuratorem zaakceptowała ekshumację. Zadeklarowała również zgodę na pobranie materiału do badań genetycznych mających potwierdzić tożsamość generała. Jej rodzina zawsze powątpiewała w przypadkowość śmierci wuja. Takie przekonanie wynikało z lektury listu żony generała, Heleny Sikorskiej, z 1959 roku. Generałowa napisała z Londynu do rodziny w Polsce, że jej zdaniem za śmiercią Władysława stoją Sowieci.

Ochrona zabytków

Ponieważ prace miały się odbywać na terenie obiektu zabytkowego, wystąpiono o zgodę do Małopolskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, który swą decyzję uzależnił od opinii wyznaczonego przez siebie specjalisty. Został nim prof. Ireneusz Płuska z Katedry Konserwacji i Restauracji Rzeźby krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Począwszy od 30 września 2008 roku, kiedy to prokuratorzy dokonali oględzin sarkofagu, aż do zakończenia prac w krypcie, profesor sprawował stały nadzór konserwatorski. W oględzinach uczestniczyli również – na prośbę kard. Dziwisza – dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu prof. Jan Ostrowski oraz księża: prof. Jacek Urban, dyrektor Archiwum Kapitulnego Katedry na Wawelu, i prałat Zdzisław Sochacki, proboszcz katedry.

Sarkofag okazał się nie lada wyzwaniem na drodze do zaplanowanej ekshumacji. Posadowiony w północno-wschodnim narożniku krypty, bezpośrednio przy wejściu, obok sarkofagu króla Jana III Sobieskiego, został wykonany jeszcze w 1981 roku. Ówczesny przewodniczący Rady ➤

Fot. K. Liszka

Fot. A. Arseniuk

Złożenie szczątków gen. Sikorskiego do trumny po ekspertyzie; w głębi pośrodku stoją prezes IPN Janusz Kurtyka i prok. Ewa Koj

Państwa PRL Henryk Jabłoński chciał wtedy sprowadzić ciało Wodza Naczelnego do Polski, na co oczywiście polskie środowisko emigracyjne nie wyrażało zgody, a co przełożyło się na negatywną decyzję władz brytyjskich. Autorami projektu, bardzo trudnego do wykonania, byli Małgorzata i Janusz Gawłowscy z krakowskiej ASP. W bloku z marmuru, tzw. Zielonej Marianny, wydobywanego w okolicach Stronia Śląskiego, wydrążono od wewnątrz komorę na trumnę ze szczątkami. Ma kształt prostopadłościanu o wymiarach 235 x 110 x 91 cm, waży ok. 2,5 tony. W czasie oględzin ujawniono dwa sklejone spękania powstałe pierwotnie w trakcie drążenia lub montażu sarkofagu. Z tego też powodu podnoszenie sarkofagu było operacją niebezpieczną. Przy jakiejkolwiek pomyłce mógł ulec zniszczeniu. Powołano zespół inżynierów, który opracował projekt stalowego wciągnika, umożliwiającego podniesienie sarkofagu na wysokość 110 cm. Do zamontowania urządzenia i podniesienia sarkofagu niezbędny był udział specjalistów z Pracowni Konserwacji Dzieł Sztuki. Ich zadaniem było skucie postumentu, na którym osadzono sarkofag, a następnie sklejenie go po zakończeniu wszystkich innych prac.

Fot. K. Liszka

Eksperci różnych dziedzin

Kolejnym krokiem prokuratorów była wizyta w Instytucie Ekspertyz Sądowych w Krakowie, u jego dyrektora Aleksandra Głazka, i prośba o zorganizowanie interdyscyplinarnego zespołu ekspertów, który przeprowadziłby kompleksowe badania ekshumowanych szczątków generała Sikorskiego. W skład powołanego przez dyrektora Głazka zespołu, oprócz biegłych z Instytutu z zakresu genetyki, histopatologii, toksykologii, mikrobiologii, weszli specjaliści z Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz kierownik Katedry i Zakładu Radiologii Szpitala Uniwersyteckiego.

Od początku oczywiste było, że szczątki Wodza Naczelnego i premiera RP muszą mieć na każdym etapie zaplanowanych czynności asystę wojskową. Do tego zadania Dowódca 2. Korpusu Zmechanizowanego, gen. Edward Gruszka, wyznaczył oficerów 6. Brygady Powietrznodesantowej pod dowództwem gen. Andrzeja Knapa.

Ustalono, że czynności związane z ekshumacją i badaniami rozpoczną się 24 listopada o 16.00, a zakończą się w późnych godzinach wieczornych 26 listopada 2008 roku. Przed godziną zero w Sali Kapitulnej Katedry Wawelskiej odbyło się spotkanie robocze, mające na celu skoordynowanie czynności wszystkich osób i ekip biorących udział w przedsięwzięciu. Oprócz wspomnianych już osób, uczestniczyli w nim przedstawiciel Prezydenta Miasta Krakowa, który wydał zgodę na zatrzymanie ruchu na trasie przejazdu samochodu ze szczątkami generała z Wawelu do ZMS i z powrotem, oraz przedstawiciele krakowskiej policji, której zadaniem było eskortowanie trumny i zapewnienie bezpieczeństwa.

Zgodnie z tym planem 24 listopada 2008 roku w krypcie św. Leonarda rozpoczęły się prace mające na celu zainstalowanie stalowej konstrukcji do podniesienia sarkofagu. Następnego dnia o 9.05 rozpoczęło się podnoszenie sarkofagu, śledzone przez wszystkich obecnych w krypcie w wielkim napię-

Fot. K. Liszka

Przeniesienie szczątków gen. Sikorskiego z Wawelu do Zakładu Medycyny Sądowej

ciu. Zakończyło się pomyślnie po półgodzinie. Trumnę ustawiono w krypcie na katafalku. Po odprawionym nabożeństwie szczątki generała w asyście honorowej żołnierzy oczekiwały na transport do ZMS przy ul. Grzegórzeckiej.

Na trasie przejazdu grupa studentów Wydziału Prawa UJ w Krakowie rozwiesiła afisze informujące o uroczystościach w związku z ponownym, uroczystym pochówkiem gen. Sikorskiego (patrz: ilustracja na s. 69).

Sekcja

O 15.00 dokonano otwarcia drewnianej trumny zewnętrznej i przecięto nożycami znajdującą się wewnątrz metalową trumnę transportową, którą sprowadzono do Polski we wrześniu 1993 roku. Znajdujące się w środku zawinięte w koc szczątki generała przełożono do metalowej kapsuły transportowej i przewieziono do Zakładu Diagnostyki Obrazowej. Przy użyciu aparatu rentgenowskiego wykonano zdjęcia układu kostnego, a następnie wykonano badanie na tomografie komputerowym. O 21.00 szczątki generała wróciły do ZMS, przy stole sekcyjnym stanęli lekarze: Adam Gross, Tomasz Konopka i Krzysztof Woźniak oraz prokuratorzy: Piotr Nalepa, Dariusz Psiuk, a także niżej podpisana. Rozpoczęliśmy zewnętrzne i wewnętrzne oględziny szczątków. Biegli z Instytutu Ekspertyz Sądowych w tym czasie pobrali materiał do ustalonych wcześniej badań. Czynności te, z nocną przerwą między 1.05 a 7.15, trwały do 13.20 dnia następnego.

Szczątki gen. Władysława Sikorskiego złożono do nowej trumny. Generał Edward Gruszka nałożył na nie mundur generalski, który został uszyty na wzór galowego munduru, znajdującego się w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Włożył również do trumny swoje generalskie rękawiczki.

Kondukt żałobny, prowadzony przez ówczesnego biskupa polowego Wojska Polskiego Tadeusza Płoskiego, ruszył spod Krzyża Katyńskiego ul. Bernardyńską na Wzgórze Wawelskie. Trumna ze szczątkami generała, eskortowana przez wojsko i policję, umieszczona była na armatniej lawecie. Po uroczystej mszy żałobnej koncelebrowanej przez siedmiu biskupów, trumnę ze szczątkami generała ponownie złożono w krypcie św. Leonarda i opuszczono sarkofag.

Choć wstępne wyniki badań znane były już po ich zakończeniu, to dopiero po opracowaniu kompleksowej opinii przez Instytut Ekspertyz Sądowych ujawniono jej treść na konferencji prasowej 29 stycznia 2009 roku. Zgodnie ekspertyzą gen. Sikorski zginął na skutek obrażeń wielonarządowych (czaszki, żeber, narządów wewnętrznych, kości kończyn) charakterystycznych dla katastrof komunikacyjnych. Niezmiernie ważne było to, że charakter niektórych złamań świadczył o napięciu mięśni w chwili katastrofy, co wskazuje na to, że gen. Sikorski był żywy i przytomny podczas wodowania. Wykluczono jednocześnie inne możliwości śmierci, takie jak uduszenie czy zastrzelenie. Badania genetyczne potwierdziły tożsamość generała.

Ekshumacja współpasażerów

Wiosną 2009 roku prokuratorzy IPN za pośrednictwem Prokuratury Generalnej (do 1 kwietnia 2010 roku – Prokuratury Krajowej), wdrożyli międzynarodową procedurę zmierzającą do sprowadzenia do Polski pozostałych ofiar katastrofy, pochowanych poza granicami kraju: gen. Tadeusza Klimeckiego, płk. Andrzeja Mareckiego, por. Józefa Ponikiewskiego (pochowanych na cmentarzu w Newark w Wielkiej Brytanii) oraz kuriera Jana Gralewskiego (spoczywającego na cmentarzu North Front w Gibraltarze).

Do ekshumacji na cmentarzu w Newark doszło 2 grudnia 2010 roku w obecności prokuratora Dariusza Psiuka, córki płk. Mareckiego – Teresy Ciesielskiej oraz przedstawiciela polskiego konsulatu. Po przetransportowaniu 4 grudnia 2010 roku drogą lotniczą szczątków do Krakowa, o 16.00 rozpoczęła się ich autopsja. Jej wyniki ogłoszono 2 marca 2011 roku. Charakter

Śledztwo tuż po wypadku

4 lipca 1943 roku premier i Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych, gen. broni Władysław Sikorski, na pokładzie samolotu Liberator Mk II nr ew. AL 523 należącego do 511. Dywizjonu brytyjskich Królewskich Sił Powietrznych, wyruszył z lotniska w Gibraltarze. Zatrzymał się tam w drodze powrotnej do Londynu z Bliskiego Wschodu.
Na pokładzie samolotu znajdowało się siedemnaście osób: sześciu członków załogi i jedenaście osób towarzyszących generałowi, z tego sześcioro obywateli polskich: ppor. Zofia Leśniowska (córka gen. Sikorskiego), gen. Tadeusz Klimecki, płk. dypl. Andrzej Marecki, por. Józef Ponikiewski, sekretarz generała Adam Kułakowski i kurier Jan Gralewski.
Samolot wystartował o 23.07. Po rozpędzeniu na pasie startowym na odcinku ok. 1100 jardów, wzniósł się na ok. 150 stóp, a następnie zaczął nagle obniżać pułap lotu, aż do momentu wodowania w odległości ok. 1200 jardów od punktu startu. Lot trwał około szesnastu sekund, samolot zaś przed zatonięciem utrzymywał się na powierzchni wody około 6–8 minut. Z katastrofy ocalał jedynie pilot samolotu, czechosłowacki kapitan Eduard Prchal. W trakcie akcji ratunkowej nie wyłowiono z morza pięciu ciał, w tym Zofii Leśniowskiej i Adama Kułakowskiego.
Z raportu sporządzonego w 1943 roku przez komisję RAF (Court of Inquiry) kierowaną przez marszałka Johna Slessora wynikało, że przyczyną wypadku, w którym zginął gen. Władysław Sikorski wraz z towarzyszącymi mu osobami, było zablokowanie sterów wysokości samolotu, zaistniałe z przyczyn niemożliwych do ustalenia. Raport stanowczo wykluczył możliwość sabotażu jako przyczyny wypadku, choć nie podał żadnych okoliczności, które prowadziły do takiego wniosku.
3 września 1943 roku na posiedzeniu Rady Ministrów Rządu RP na uchodźstwie zdecydowano o odrzuceniu treści raportu i polecono Inspektoratowi Polskich Sił Powietrznych zapoznanie się z dokumentacją dochodzenia przeprowadzonego przez komisję RAF. Brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa nie udostępniło jednak całości akt postępowania przeprowadzonego przez komisję, lecz jedynie streszczenie przebiegu śledztwa. Dokonana w tej sprawie w 1969 roku, z polecenia ówczesnego premiera Wielkiej Brytanii Harolda Wilsona, ocena tych materiałów przez podległe mu służby wykazała, że „w raporcie są pewne słabości, które gdyby zostały opublikowane – mogłyby zostać wykorzystane w kłopotliwy sposób. Jest tam wyraźny cień wątpliwości; zdolny adwokat mógłby to dobrze wykorzystać".

obrażeń kośćca u gen. Klimeckiego i płk. Mareckiego był w zasadzie taki sam jak u gen. Sikorskiego. Różnice między obrażeniami wynikały z zajmowanych miejsc w samolocie i innych pozycji ciała. Natomiast ujawnione złamania, które odniósł Józef Ponikiewski, nie musiały się łączyć ze śmiertelnymi uszkodzeniami narządów wewnętrznych. Mógł np. stracić przytomność i utonąć.

Po wykonaniu badań szczątki gen. Klimeckiego i płk. Mareckiego zostały pochowane na cmentarzu wojskowym na Powązkach, natomiast trumna ze szczątkami Józefa Ponikiewskiego została przewieziona do Oporowa, gdzie na miejscowym cmentarzu znajduje się grobowiec rodzinny.

Warto wyjaśniać wątpliwości

W czasie śledztwa z katowickim IPN kontaktowali się entuzjaści ekshumacji, deklarując zrozumienie i poparcie w dążeniu do prawdy historycznej. Niektóre z tych osób swoją wiedzą próbowały wzbogacić ustalenia prokuratorów. Wśród nich była Maria Potocka, członkini Towarzystwa Miłośników Historii w Warszawie, która zebrała sporo dokumentów przedstawiających historię rodziny kuriera Jana Gralewskiego. Udało się jej też odnaleźć na Powązkach grób rodziny, w którym pochowano siostrę Jana – Marię, matkę, ojca i stryja. Te ustalenia powodują, że niezależnie od stanu szczątków Jana Gralewskiego pochowanego na cmentarzu w Gibraltarze, po jego ekshumacji i sprowadzeniu do Polski, będzie możliwe potwierdzenie jego tożsamości.

Jeśli w siedemdziesiątą rocznicę katastrofy w Gibraltarze ktoś ma jeszcze wątpliwości co do słuszności przeprowadzonych przez IPN ekshumacji, powinien poznać lub przypomnieć sobie słowa prezesa IPN Janusza Kurtyki. Występując przed senatem, na wątpliwości marszałka Bogdana Borusewicza, Kurtyka odpowiedział: „Odwołuję się do zamachu na Kennedy'ego. Amerykanie przez długie lata niezwykle uparcie dążyli do wyjaśnienia tej śmierci. *De facto* ta tajemnica nie została do końca wyjaśniona. Były nawet twierdzenia, że Amerykanie tego nie chcą, tak naprawdę bowiem już wiedzą, że wywiad sowiecki wykonał ten zamach, ale nie chcą upublicznić tych badań, bo mogłoby to rzutować na stosunki amerykańsko-sowieckie. Odwołuję się do tego przykładu, by powiedzieć, że śmierć przywódcy politycznego, jeżeli ma charakter niejasny – jest ważna dla państwa i narodu. Dlatego warto dążyć do wyjaśnienia tak dramatycznych wydarzeń".

Ewa Koj – prokurator, naczelnik Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach

Fot. K. Liszka

Uroczystosci przy trzecim pogrzebie gen. Sikorskiego

Gruzy i kamienie – relacja Anny Katanowskiej

W przededniu wybuchu wojny Anna Katanowska (wówczas jeszcze Łuniewska) była dorastającą dziewczyną. Ostatnie miesiące pokoju zapamiętała tak:

„W 1939 roku, przed wybuchem wojny, tak się już czuło w powietrzu, że coś się wydarzy. Wszyscy spodziewali się wojny. Niby się tego nie mówiło głośno, przeciwnie: [mówiono], że nie będzie wojny. Ale i tak wszyscy się tego spodziewali. Nawet ja, mając dwanaście lat".

Po ataku Niemiec na Polskę Anna wróciła z wakacji z Józefowa do Warszawy, do rodzinnego domu.

„Zrobiło się od razu pierwszego dnia piekło. Z powodu intensywnego bombardowania wszyscy mieszkańcy zeszli do piwnic i tam zaczęło kwitnąć życie. Podobnie było potem w czasie powstania. Ale trudno było wytrzymać, więc ja i moja rodzina przenieśliśmy się do mieszkania przy ulicy Żurawiej. W Śródmieściu było wtedy spokojnie".

Względny spokój nie trwał jednak długo:

„Zaczęło się robić gorąco. Wszyscy, ja również, nie wiedzieliśmy, co będzie i jakie będzie dalej nasze życie. Czy będziemy żyli, czy nas zabiją? Co będzie? Matki zapłakane, płaczące kobiety. Rozpacz. Ale jednocześnie taki humor warszawski zawsze był obecny".

Z końcem września punkty oporu zaczęły dogasać. Walki ustały również w stolicy.

„Z kapitulacją było dziwnie, nie było nic wiadomo, cisza. I naraz pojawiają się niemieckie samoloty, ale już nie było bombardowania. Ustały odgłosy strzelania. A ostatnie dni przed kapitulacją to ciągłe naloty dywanowe. Nie było już artylerii przeciwlotniczej, więc Niemcy latali, jak chcieli. Za dnia nikt nie wychodził z piwnic, bo strach. Nocą za to było spokojnie".

Fot. R. Pękala

Anna Katanowska z domu Łuniewska – ur. 28 stycznia 1927 roku w Warszawie. W czasie okupacji niemieckiej przebywała w stolicy, podczas Powstania Warszawskiego ukrywała się w wraz z siostrą w piwnicach. Jeden z braci, Tadeusz, zawodowy żołnierz, był więźniem obozu w Starobielsku i ofiarą Zbrodni Katyńskiej, a drugi, Zbigniew, walczył w Powstaniu Warszawskim, podczas którego został ranny. Ojciec, przedwojenny współwłaściciel fabryki słodyczy, zginął, gdy Anna miała kilkanaście lat – został rozstrzelany prawdopodobnie podczas przymusowych prac w okolicach Hali Mirowskiej. Po wojnie Anna Katanowska ukończyła studia na Wydziale Farmacji Uniwersytetu Warszawskiego. Następnie pracowała w Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej oraz w warszawskich aptekach.

Rodzina Łuniewskich

Fot. ze zbiorów A. Katanowskiej

Od lewej Maria Łuniewska, jej córka Anna i siostra Stanisława

Fot. ze zbiorów A. Katanowskiej

Fot. ze zbiorów A. Katanowskiej

Anna Katanowska w okresie okupacji

Zaświadczenie o chorobie na czerwonkę z obozu w Pruszkowie

Fot. ze zbiorów A. Katanowskiej

Pomimo klęski w wojnie obronnej ludność Warszawy zdobywała się na odwagę, aby otwarcie manifestować swoje przywiązanie do ojczyzny:

„W niedzielę pod koniec września, kiedy podpisano już akt kapitulacji, ale Niemcy jeszcze nie wkroczyli do stolicy, wybrałam się na mszę do kościoła św. Anny. Na tej mszy był także oficer polski, ubrany w galowy mundur. Wszyscy się za nim oglądali, chcieli go wręcz dotknąć, był jak objawienie".

W niedługim czasie po wkroczeniu okupanta rozpoczęło się plądrowanie sklepów, których właścicielami byli Żydzi. Z powodu tworzenia getta Anna wraz z rodziną została zmuszona do zmiany miejsca zamieszkania. Nowe lokum, znajdujące się przy ulicy Chłodnej, było usytuowane w sąsiedztwie „żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej". Z jego okien widoczne były mury getta.

„Jedyne, co zapamiętałam i co utkwiło mi w pamięci, to głód. Biedni mali chłopcy przechodzili na »aryjską« stronę przez otwór w murze pozostawiony nad rynsztokiem. Później obserwowałam, jak żandarmi pilnujący bramy wyłapywali tych chłopców i bili ich pałkami. Bardzo znęcali się nad nimi. Sama zresztą rzucałem bochenki chleba na podwórko do tego getta. I czasem na to podwórko wychodził mężczyzna i śpiewał operowe arie. Śpiewał pięknie, i to po włosku. Wtedy wszyscy otwierali okna, słuchali, a potem rzucali mu chleb i co kto miał. Naprawdę nadzwyczajny głos".

W momencie wybuchu II wojny światowej Anna Łuniewska miała ukończonych sześć klas szkoły powszechnej. Chociaż przed wakacjami dostała się do Państwowego Gimnazjum im. Marii Konopnickiej, nie mogła oficjalnie kontynuować nauki. Niemcy bowiem kazali zamknąć polskie szkoły wyższe i średnie. Anna uczęszczała więc na tajne nauczanie:

„Komplety organizowane były w prywatnych mieszkaniach, nawet jeden z nich odbywał się w lokum, w którym przebywałam. Drugim miejscem był dom mojej koleżanki Hanny Łukasik. Oczywiście, nie wolno było nosić teczek, tylko zeszyt, najczęściej zwinięty i schowany pod pachą albo w kieszeni palta. Mieliśmy problem, bo nie było długopisów i musiałyśmy używać kałamarzy. Co więcej, dwie koleżanki dojeżdżały spoza Warszawy, bo tam nie było możliwości pobierania nauki.

Dobrze pamiętam lekcje chemii. Nauczycielka, pani Anna Ziemiec, przynosiła ze sobą odczynniki i w łazience prezentowała nam doświadczenia chemiczne. To były pierwsze lekcje. Z kolei pani Obarska, która [przed wojną] była zastępcą dyrektora szkoły, wykładała historię na bardzo wysokim poziomie. Oczywiście, nie było świadectw ukończenia szkoły. Po liceum dostałam tylko ręcznie wypisaną przez panią Obarską kartkę potwierdzającą ukończenie klasy o profilu matematyczno-fizycznym. To było tuż po powstaniu.

Fot. ze zbiorów A. Katanowskiej

Tadeusz Łuniewski, brat Anny Katanowskiej

Fot. ze zbiorów A. Katanowskiej

List ze Starobielska od Tadeusza Łuniewskiego

W razie niemieckiej kontroli miałyśmy mówić, że spotkałyśmy się z okazji imienin koleżanki. A poza tym zawsze miałyśmy robótki ręczne ze sobą, ale żadnej kontroli nigdy nie było".

W 1943 roku w „Nowym Kurierze Warszawskim", niemieckiej gadzinówce, pojawiły się wzmianki dotyczące zbrodni w Katyniu. W rodzinie Łuniewskich obawiano się, że brak kontaktu z Tadeuszem, bratem Anny, który był oficerem więzionym w Starobielsku, może mieć związek z tymi informacjami.

„Mama nie chciała w to wierzyć. Do końca uważała, że Tadek żyje. Ja natomiast myślałam inaczej. Tliła się jeszcze nadzieja, bo w „Kurierze" drukowano tylko listy jeńców przetrzymywanych w Kozielsku. Mieszkańcy Warszawy byli podzieleni, jedni wierzyli tym informacjom, inni nie. My natomiast mieliśmy listy od Tadeusza i nagle ta korespondencja się skończyła. Mama wysyłała również listy do brata, ale te wracały ze stemplami".

Tymczasem w Warszawie trwał terror drugiego okupanta. Anna Katanowska z przejęciem wspomina odwet niemiecki za zabicie dwóch policjantów w Wawrze.

„Wawer już był wtedy zamieszkany. Nie wiem, ile osób zginęło, ale kilkaset na pewno. Sami mężczyźni. Rozstrzelali ich. Straszny strach padł wtedy na Warszawę. Na murach pisano kredą »Wawer pomścimy«, »Wawer pamiętamy«".

Kolejnym znaczącym wydarzeniem, które dotknęło Annę i spowodowało rozłąkę z rodziną, było Powstanie Warszawskie:

„Jakiś czas przed wybuchem powstania mówiono już, że będzie zbrojne wystąpienie. Już młodzież przebywała na punktach. Czekali na godzinę »W«. Ja nie należałam do żadnej organizacji. Ale jedna z koleżanek poleciła mnie zaangażowanym osobom, a ja chciałam pomóc. Pod wskazanym adresem na pl. Narutowicza zastałam partyzantów, którzy wręczyli mi pudełko z ulotkami. Miałam je zawieźć na Pragę. I kiedy szłam, z daleka zobaczyłam trzech żandarmów ubranych w te ich zielone mundury. Z daleka ich poznałam. Na szczęście mnie nie zatrzymali i mogłam oddać paczkę".

Kiedy jednak ojciec Anny dowiedział się o jej działaniach, kategorycznie zabronił jej udziału w konspiracji. Ona mimo to wciąż czekała na wybuch walk:

„1 sierpnia usiadłam na balkonie, chciałam to widzieć, być świadkiem. Naprzeciwko znajdował się browar Haberbusch i Schiele i tam zaczęła wyć syrena. A potem pierwsze, co usłyszałam, to odgłosy wystrzałów dochodzące od strony Woli. Życie znowu przeniosło się do piwnic".

7 sierpnia pojawiły się pogłoski o rozstrzeliwaniu przez Niemców ludności cywilnej. W związku z tym Anna i jej siostra za namową ojca postanowiły przedostać się na teren Starego Miasta:

„Następnego dnia rano po naszym przyjściu walki przeniosły się na Stare Miasto w okolice pl. Zamkowego. Znalazłyśmy schronienie w podziemiach zabudowań należących do jezuitów. Już wtedy było tam bardzo dużo osób. W takich warunkach przetrwałyśmy do 15 sierpnia".

W tym czasie walki zaostrzyły się, a przebywanie poza schronem stało się niebezpieczne. Anna, jej siostra i znajomi przenieśli się do piwnicy służącej za schron, znajdującej się przy pl. Krasińskich.

„Z przykrością to mówię, ale sama nie brałam udziału w Powstaniu

Fot. ze zbiorów A. Katanowskiej

Zbigniew Łuniewski, brat Anny Katanowskiej

Warszawskim. Nie mogłam zostawić siostry, a miałam koleżankę, która mnie namawiała, żebym została sanitariuszką w jej oddziale. Ale nie poszłam, nie mogłam. Wtedy brakowało także żywości. Lokatorki z domu, gdzie i ja mieszkałam, miały mąkę i suszone drożdże. Więc jedna z nich zaczęła przygotowywać chleb. Potem wyrobione ciasto należało oddać do piekarni. A trzeba je było zanieść z pl. Krasińskich na ul. Długą. Niedaleko, ale po drodze, znajdowały się dwie barykady. I jeden z ukrywających się zaniósł ten chleb. Po jakimś czasie przyniesiono go na noszach, urwało mu nogi, ale prosił przynieść się tam, gdzie ukrywał się z żoną. Wtedy zaczął na nią złorzeczyć, ponieważ to ona kazała mu iść z chlebem. Później zabrali go do szpitala.

Razem z nim przyniesiono też chleb, ale nadal nieupieczony. Więc ja się zgłosiłam, żeby pójść do piekarni. Próbowali mnie od tego odwieść, ale poszłam. Przechodziłam między podwórkami, mijając barykady. I udało się, ale później po chleb wrócił już ktoś inny. Jadłam nawet ten nieszczęsny chleb".

Schrony w piwnicach stanowiły osłonę dla ludności cywilnej, jednak nie były to najbezpieczniejsze miejsca w czasie nalotów i bombardowań.

„Ktoś wyrwał mnie ze snu, trwał ostrzał, huk pocisków narastał. Zobaczyłam, jak po przeciwległej stronie piwnicy osypują się cegły. Nie zdążyłam uciec i część tego rumowiska spadła na mnie. Naraz zrobiło się cicho. Byłam przytomna, czułam, że nic mnie nie boli. Żyję. Na szczęście udało mi się oswobodzić. Zaraz po tym bombardowaniu przyszedł do nas nasz brat, Zbigniew Łuniewski. Akurat jego oddział, Chrobry I, znajdował się niedaleko. On sam miał pseudonim »Łukocz«. Oddział Chrobry bronił podczas powstania Pasażu Simonsa, który był ważnym punktem obrony trasy w kierunku Starego Miasta. 31 sierpnia budynek został zniszczony podczas nalotu niemieckiego, w wyniku którego zginęło około trzystu osób. Ranny Zbigniew przetrwał bombardowanie i kanałami przedarł się na Starówkę".

Z końcem sierpnia pojawiły się plotki o zawieszeniu broni:

„Rankiem bodajże pierwszego września zobaczyłam, że rzeczywiście drogą w stronę ul. Freta szedł cały rząd ludzi. Więc razem z siostrą również wyszłyśmy. Nie miałyśmy żadnych rzeczy, tylko małe tobołki. Oprócz tego miałam sweter, puszkę konserw i zegarek, który schowałam do tej otwartej puszki. Wszyscy ci ludzie zostali poprowadzeni w kierunku Woli i Dworca Zachodniego. Na Woli oddzielono kobiety od mężczyzn. Pilnowali nas żołnierze. W czasie marszu widziałam, jak jeden z Ukraińców w służbie niemieckiej wyciągnął z szeregu młodą dziewczynę i siłą zaprowadził ją na jakieś podwórko. Dalej nie wiem, co się działo, ale matka tej dziewczyny pobiegła do Niemca prosić o ratunek. Na dworcu wsiedliśmy do podstawionego pociągu i wieczorem dojechaliśmy na teren obozu w Pruszkowie. Już w Pruszkowie spotkałam kuzynkę, która pracowała w PCK. Dzięki niej wraz z siostrą trafiłyśmy do baraku dla chorych na czerwonkę".

Z obozu furmankami chorzy byli rozwożeni do szpitali. Siostry Łuniewskie dostały się do jednego z takich ośrodków w Tworkach, a następnie do prywatnego mieszkania znajomej lekarki. Tam spotkały się z matką, która również przetrwała powstanie. Kolejnym miejscem zakwaterowania rodziny był dom w Opocznie, w którym Anna doczekała końca wojny.

„Już wszyscy mówili, że idą Rosjanie. 17 stycznia 1945 roku było bombardowanie, Opoczno było strasznie zdruzgotane. Niemcy uciekali, kiedy Rosjanie wkraczali do miasta. W lutym wróciłam do Warszawy".

Stolica naznaczona piętnem wojny nie przypominała miasta z czasów jego świetności.

„Gruzy i kamienie. Gdzieniegdzie uprzątnięte drogi, żeby można było przejść. Wypalone domy, zagruzowane piwnice. Nasz dom na ul. Chłodnej był również doszczętnie zniszczony".

Okupację oraz powstanie przeżyły matka, siostra, bratowa z dziećmi oraz brat Zbigniew. Obraz wojny zostawił w pamięci pani Anny trwały ślad. Przy każdej próbie przywołania wspomnień powraca głębokie wzruszenie.

oprac. Piotr Wiejak

Fot. ze zbiorów A. Katanowskiej

Pruszków, dawny obóz przejściowy dla mieszkańców Warszawy wysiedlonych po upadku powstania

Anna Katanowska
Sygnatura: N-0532
Data nagrania: Maj 2012 roku
Czas nagrania: ok. 300 minut
Archiwum Historii Mówionej BEP IPN, Rafał Pękała, Konrad Starczewski

Gangsterzy i filantropi

Jerzy Eisler

We wspomnieniach z lat PRL niezwykle często na określenie ówczesnej rzeczywistości, zwłaszcza tej z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, pojawiają się takie przymiotniki jak: szara, mroczna, smutna, ponura, zapyziała, siermiężna itp. Kino polskie miało niemały problem z tym, jak ukazywać tę nieatrakcyjną codzienność, skoro wiadomo było, że przyszli widzowie znają ją doskonale i są szalenie wyczuleni na każdy fałsz.

Filmowcy próbowali sobie z tym radzić na dwa sposoby. Po pierwsze, zwłaszcza w wypadku filmów gatunkowo poważniejszych – takich jak dramaty psychologiczne czy obrazy obyczajowe – a czasem nawet kryminałów o zacięciu społecznym, twórcy najwyraźniej kapitulowali (z perspektywy dzisiejszego widza można dopowiedzieć: na szczęście) i próbowali ukazywać tamten świat tak, jak on naprawdę wyglądał. Było zatem w filmach miejsce na obrazy obskurnych, brudnych i przy tym wszystkim po prostu niebezpiecznych dla podróżnych dworców kolejowych czy autobusowych, źle oświetlonych, pełnych dziur i równie groźnych ulic, knajp – gdyż niepodobna było tego typu „lokale gastronomiczne" nazwać restauracjami czy choćby barami – i wreszcie budek z piwem, w których pobliżu gromadził się zawsze kwiat okolicznych niebieskich ptaków.

Drugie rozwiązanie było krańcowo odmienne. W tym wypadku filmowcy starali się stworzyć wyidealizowany, daleki od rzeczywistości obraz otaczającego ich świata. Ulice w polskich miastach w tych produkcjach – wśród których dominowały pogodne komedie, filmy muzyczne czy sensacyjno-przygodowe – wyglądały bardzo po europejsku. Warszawa i inne miasta, w których rozgrywała się akcja, zawsze prezentowały

Planowanie skoku; od lewej: Jacek Hahn, Wojciech Rajewski, Janusz Hahn, Gustaw Lutkiewicz

Fot. Filmoteka Narodowa

się znacznie lepiej niż w rzeczywistości i miały swoisty urok. Nawet warszawski bazar Różyckiego w takich filmach jak *Małżeństwo z rozsądku* (1966) czy *Milion za Laurę* (1971) wyglądał na swój sposób malowniczo i – jak by to określili niektórzy – „klimatycznie". Wieczorami ulice były oświetlone i pełne kolorowych reklam neonowych, w skali w zasadzie niespotykanej w świecie realnym, a w dzień jezdnie znacznie częściej niż w rzeczywistości były zwilżane przez polewaczki. Wynikało to nie tylko z troski o czystość ulic, lecz – zdaniem znanej badaczki dziejów filmu Doroty Skotarczak – w tym wypadku w większym stopniu chodziło o tzw. efekt *glamour*. Na mokrych jezdniach, które dzięki polewaczkom wyglądały na sterylnie czyste, lepiej odbijały się światła, nadając ulicom wygląd prawdziwie wielkomiejski.

Ze zjawiskiem tym mamy do czynienia także w scenie, w której polewaczka oblewa wodą samochód wiozący złodziejską szajkę w pochodzącej z 1962 roku znakomitej komedii sensacyjnej *Gangsterzy i filantropi*, będącej fabularnym debiutem dwóch wybitnych dokumentalistów – Jerzego Hoffmana i Edwarda Skórzewskiego. Postawili oni przed sobą nader ambitny cel zrealizowania zabawnej, a zarazem inteligentnej komedii. Nie mogli przy tym do końca się zdecydować, czy pokazywać Warszawę, na której ulicach zrealizowano blisko połowę zdjęć, w sposób realistyczny, by nie powiedzieć naturalistyczny, czy może właśnie nieco „bajkowo", w sposób dość umowny. Jako dokumentaliści skłaniali się do tego pierwszego rozwiązania, lecz byli niezbyt konsekwentni. Dlatego też znajdujemy w filmie zarówno fragmenty ukazujące kawałek prawdziwej Warszawy z początku lat sześćdziesiątych, jak i te – szczególnie w drugiej części – pokazujące świat „uspołecznionej gastronomii", wystylizowane chwilami na amerykańskie kino rozrywkowe.

„Mózg" szajki (Gustaw Holoubek) gra w szachy przez telefon

Fot. Filmoteka Narodowa

Prorocza scena napadu

Film *Gangsterzy i filantropi* składa się z dwóch odrębnych nowel. W pierwszej z nich – wzorowanej na angielskiej czarnej komedii z lat pięćdziesiątych – noszącej tytuł *Profesor*, w tytułową postać mózgu bandyckiego napadu wcielił się z powodzeniem Gustaw Holoubek. Twórcy filmu ukazali skok – drobiazgowo przygotowany przez niego, a realizowany przez złodziejską szajkę. Był to niezwykle sprytny pomysł obrabowania mikrobusu, który pod ochroną milicyjnego gazika przewoził do banku dzienny utarg z Centralnego Domu Towarowego. Nawiasem mówiąc, autorzy filmu, wymyślając scenę napadu na konwój z gotówką, o ponad dwa lata wyprzedzili… życie. W tym miejscu trzeba bowiem przypomnieć, że wieczorem 22 grudnia 1964 roku przed Domem pod Orłami przy ulicy Jasnej w Warszawie, gdzie mieścił się wówczas oddział Narodowego Banku Polskiego, dokonano zuchwałego napadu rabunkowego. Łupem dwóch złodziei uzbrojonych w broń palną padł przewożony samochodem przedświąteczny utarg ze wspomnianego CDT.

Co ciekawe, autorzy filmu *Gangsterzy i filantropi* wielokrotnie zawyżyli wysokość łupu, który miał wpaść w ręce tytułowych gangsterów. „Profesor" poinformował bowiem swoich wspólników, że dzienny utarg CDT wynosi od ośmiu do dziesięciu milionów złotych, podczas gdy – jak oficjalnie podawano – pod Orłami zrabowano „tylko" 1,3 miliona złotych, a była to – powtórzmy – kwota uzyskana w okresie zwiększonych zakupów przed Bożym Narodzeniem. Warto w tym miejscu wspomnieć o pochodzącym z 2001 roku filmie Wojciecha Wójcika *Tam i z powrotem*, w którym w sposób zawoalowany nawiązywano do tego napadu.

Wracając do pierwszej noweli, wypada przypomnieć, że misternie przygotowany plan napadu skończył się fiaskiem. Mimo że „Profesor" przewidział niemal wszystko, to jednak nie wziął pod uwagę, że osiedlowi złodzieje mogą ukraść koła od znajdującego się na strzeżonym parkingu samochodu, którym mieli się ewakuować tytułowi gangsterzy. Znakomitym pomysłem twórców filmu było zderzenie obrazu tych przestępców, a zwłaszcza ich szefa, dżentelmena o nienagannych manierach i nieprzeciętnej inteligencji, z wizerunkiem swojskich złodziejaszków obdarzonych specyficznym sprytem.

Szczególnie widoczne jest to w trakcie zapewniania sobie jak najbardziej przekonywającego alibi przez kolejnych uczestni-

ków planowanego napadu. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że najoryginalniejsze alibi zapewnił sobie sam „Profesor". Otóż w chwili napadu rabunkowego, korzystając z telefonu, magnetofonu i urządzenia podnoszącego słuchawkę rozgrywał z emerytowanym sędzią (w tej roli Kazimierz Opaliński) codzienną, wieczorną partię szachów. Oczywiście, wymagało to doskonałej znajomości nie tylko zasad tej gry, ale także przyzwyczajeń i sposobu myślenia partnera, który bezwiednie miał zapewnić niepodważalne alibi. Hoffman i Skórzewski ukazali w ten sposób odmienne światy, istniejące jakby obok siebie, ale jednak czasem – w decydującym momencie – spotykające się ze sobą: wytwornego, wykształconego „Profesora" oraz jego w sumie prostackich wspólników.

Niewymuszone łapówki

Druga nowela nosi tytuł *Alkoholomierz*, a jej bohaterem jest tzw. przeciętny obywatel Anastazy Kowalski, który niespodziewanie traci pracę. Jest to kara za spowodowanie przypadkowego wybuchu w laboratorium chemicznym. Główną rolę – zdominowanego przez gderliwą i stale narzekającą niemal na wszystko żonę (Hanka Bielicka) – znakomicie zagrał Wiesław Michnikowski. Po stracie pracy, bojąc się zbyt wcześnie wrócić do domu, postanowił odwiedzić jeden z lokali gastronomicznych, gdzie w roztargnieniu zaczął się bawić tytułowym alkoholomierzem. Obsługa uznała go za występującego *incognito* inspektora Państwowej Inspekcji Handlowej i wręczyła mu łapówkę. „Szary obywatel" postanowił wykorzystać nadarzającą się okazję i regularnie odwiedzać coraz bardziej luksusowe lokale gastronomiczne. Tam od zaplątanych w różne gastronomiczne machlojki tytułowych „filantropów" pobierał coraz większe łapówki. Tak po prawdzie nie były to nawet klasyczne łapówki, gdyż ani ów obywatel nie legitymował się fałszywym upoważnieniem do kontroli, ani nie domagał się od obsługi kolejnych lokali gastronomicznych finansowych gratyfikacji, ani nic nie obiecywał ich kierownikom. On „tylko" w widoczny sposób bawił się alkoholomierzem lub ważył na składanej wadze podawane mu kotlety, a rozcieńczający wodą trunki i przygotowujący „poza gramaturą" posiłki szefowie restauracji sami uznawali, że trzeba mu się opłacać.

Niejako przy okazji widzowie mogli obserwować, jak wyglądały wtedy rozmaite bary, kawiarnie i restauracje – także niejednokrotnie te (ze względu na obowiązujące tam ceny) właściwie dla nich niedostępne. Film był nie tylko śmieszny, ale i krytyczny wobec polskiej rzeczywistości z początku lat sześćdziesiątych. Chyba był zresztą zbyt krytyczny, skoro – jak wspominał później Jerzy Hoffman – jako „antysocjalistyczną" odrzucono trzecią nowelkę. Opowiadała ona o karierze dwóch hochsztaplerów, którzy w swojej prywatnej firmie wykorzystywali fakt, że żurek był tańszy niż sama butelka w skupie. Kupowali na dużą skalę żurek, wylewali go i w ten sposób dla własnych celów pozyskiwali butelki.

Własny, polski komizm

Ciekawe, że dzisiaj powszechnie wysoko oceniani *Gangsterzy i filantropi*, po premierze wywołali wśród krytyków filmowych sprzeczne opinie. Tytułem przykładu można przypomnieć, że Lech Pijanowski na łamach tygodnika „Film" napisał: „Film Hoffmana i Skórzewskiego zawiódł nadzieje, które w nim pokładałem. Punktem wyjścia obu nowel były, być może, jakieś wypadki, które mogły się zdarzyć rzeczywiście, ale w swoim ostatecznym kształcie filmowym są zbyt ➤

Gangsterzy z łupem: Mirosław Majchrowski, Jacek Hahn, Janusz Hahn

Fot. Filmoteka Narodowa

wymyślone […]. Szkoda, że w drodze od dokumentu do filmu fabularnego Hoffman i Skórzewski nie zaufali temu, co dobrze umieją, i spróbowali czegoś zupełnie innego".

Łagodniejszy w ocenie wydawał się – przy innych okazjach często nader surowy – Zygmunt Kałużyński, który stwierdził w „Polityce", że film, mimo pewnych nawiązań do kryminałów amerykańskich czy francuskich, ma charakter jednoznacznie polski. Podkreślając, że komedia ta cieszyła się takim powodzeniem „jak żaden może film polski w ciągu ostatnich miesięcy", zarazem zwracał uwagę na fakt, że ten komizm był „jednym z najcenniejszych odkryć naszej sztuki w ostatnich latach. Właśnie dlatego, że jest własny, wyrosły z miejscowych obserwacji, z naszego terenu, gdzie przebiega osobliwa linia kontaktu dwóch cywilizacji". Oczywiście, autorowi tych słów chodziło o przebiegającą przez Polskę granicę między Wschodem a Zachodem.

Wydaje się, że dość blisko tej oceny plasowała się opinia Juliusza Kydryńskiego, który zanotował w „Życiu Literackim", że „grzechem pierworodnym *Gangsterów i filantropów* okazał się brak zdecydowania na jeden z trzech możliwych wariantów: na autentyczną komedię kryminalną, choćby zrobioną »z przymrużeniem oka«, na komedię satyryczną we właściwym tego słowa znaczeniu, albo wreszcie na czystą groteskę. Rozczarowanie po obejrzeniu *Gangsterów i filantropów* jest tym przykrzejsze, że gdyby nie owo pomieszanie gatunków i proporcji, gdyby nie owo niewykorzystanie szansy tam, gdzie »sama się prosiła«, szukanie jej zaś tam, gdzie odnaleźć jej nie było można, film byłby bardzo udany. […] Można tak sądzić, ponieważ utwór Hoffmana i Skórzewskiego nawet w tym kształcie, w jakim ukazał się na ekranach, jest przecież śmieszny, wesoły, dowcipny […] – jest dziełem świadczącym o wysokiej kulturze jego twórców".

Na pewno wpływ na to miało także zaangażowanie plejady znakomitych, a dziś częściowo niestety już zapomnianych aktorów. W pierwszej noweli – obok wspomnianych odtwórców głównych ról – w epizodach i rolach drugoplanowych pojawiają się m.in.: Roman Kłosowski, Zdzisław Leśniak, Gustaw Lutkiewicz i Marian Łącz. W *Alkoholomierzu* zaś, poza Michnikowskim i Bielicką, występują też m.in.: Marian Kociniak, Mieczysław Pawlikowski, Ryszard Pietruski i Zdzisław Tobiasz. Swoistym bonusem dla prawdziwych amatorów starych filmów jest pojawienie się w roli statystów dwóch wybitnych reżyserów filmowych: Jerzego Hoffmana oraz… Stanisława Barei.

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące", czyli kryzys(y) w PRL* (2008)

Uznany za kontrolera chemik (Wiesław Michnikowski), przyjmuje niewymuszona łapówkę od kelnera (Adam Perzyk)

Fot. Filmoteka Narodowa

Orły na koszulkach obozowej drużyny piłki nożnej

Tomasz Zawistowski

Zdarza się, że rabuś nazywający siebie poszukiwaczem amatorem próbuje na rynku antykwarycznym sprzedać znaleziska wykradzione ze stanowisk archeologicznych. Pozbawione kontekstu, jakim jest opis miejsca i okoliczności znalezienia, stają się one z naukowego punktu widzenia bezwartościowe. Podobna sytuacja dotyczy wielu obiektów, w tym pamiątek historii najnowszej, które po wyrwaniu z kontekstu historycznego są nierozpoznawalne. Orzeł z koszulki członka polskiej reprezentacji piłkarskiej ze stalagu XVII B zachował się na szczęście w całym zespole obozowych pamiątek, dzięki czemu nie jest dzisiaj bezimiennym kawałkiem pomalowanej tkaniny.

Jeniec-zawodnik z orłem na koszulce

Fot. ze zbiorów autora

Fot. ze zbiorów autora

Orzeł noszony na koszulkach zawodników polskiej drużyny futbolowej stalagu XVII B Krems-Gneixendorf w latach 1941–1945

W wyniku wojny obronnej 1939 roku około 420 tys. polskich żołnierzy znalazło się w niemieckiej niewoli. W trakcie późniejszych działań wojennych za druty niemieckich obozów trafiali żołnierze wojsk lądowych i lotnicy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Kolejna fala jeńców napłynęła po kapitulacji Powstania Warszawskiego. Przetrwanie wymuszonej przez niewolę bezczynności było dla nich wszystkich ciężkim zadaniem.

Sport za drutami

Niemcy, przewidując konieczność przyjęcia dużej liczby jeńców, stworzyli system segregacji, transportu i zakwaterowania w sieci obozów, której struktura odpowiadała strukturze terytorialnej Wehrmachtu. Oficerowie oddzielani byli

Fot. ze zbiorów autora

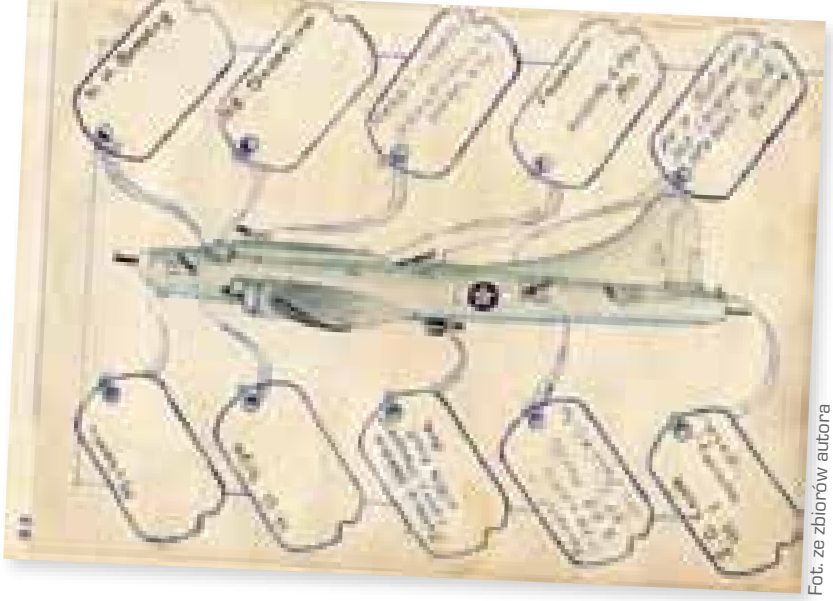

Fot. ze zbiorów autora

U góry z lewej: karykatura ze sztambucha kpr. pchor. Stanisława Ciecierskiego; z prawej: wpisy pamiątkowe amerykańskich lotników z Latającej Fortecy B-17 „Thunderbird", zestrzelonych 17 kwietnia 1943 roku na południowy wschód od Bremy; u dołu: dyplom upamiętniający międzynarodowe rozgrywki w Krems w 1941 roku

Fot. ze zbiorów autora

od pozostałych żołnierzy i osadzano ich w osobnych obozach.

Polska i Niemcy należały do grupy państw, które w Genewie, w roku 1929, podpisały konwencję dotyczącą jeńców wojennych. Artykuł 17 tego dokumentu stwierdzał, że „strony walczące będą popierały jak najbardziej rozrywki umysłowe i sportowe, organizowane przez jeńców wojennych". Postanowienie to było przez stronę niemiecką respektowane z pewnymi ograniczeniami, wynikającymi ze względów bezpieczeństwa. Nie wyrażono zgody na uprawianie szermierki, rzutu oszczepem oraz skoku o tyczce. Pierwsze dwie dyscypliny mogły jeńcom dać broń do ręki, a dla tyczkarzy druty mogły okazać się za niskie…

Sport uprawiano najchętniej w obozach oficerskich (oflagach), oficerowie bowiem w myśl konwencji genewskiej byli zwolnieni z obowiązku pracy. Szeregowi i podoficerowie nie mieli aż tyle wolnego czasu i – chcąc nie chcąc – w pracy dawali ujście energii, której wobec skromnych, jenieckich racji żywnościowych i tak nie było za wiele. W oflagach natomiast uprawianie sportu było bardzo istotnym elementem życia codziennego, niekiedy wręcz modą. Sprzęt sportowy po części pochodził z paczek dostarczanych przez Czerwony Krzyż i YMCA, a po części był kupowany półlegalnie za pośrednictwem niemieckich strażników. Dużym powodzeniem cieszyły się gry zespołowe – piłka nożna, koszykówka i piłka ręczna. Na marginesie warto wspomnieć, że potoczna nazwa tej ostatniej dyscypliny pochodzi od nazwy obozu w Szczypiornie, gdzie przetrzymywani w latach 1917–1918 przez Austriaków polscy legioniści grali w nią z zapałem.

Uprawianie sportu indywidualnego i zespołowego pozwalało jeńcom lepiej przezwyciężać problemy psychiczne związane z długotrwałym, przymusowym odosobnieniem. W organizowanie zawodów angażowali się przedwojenni sportowcy, których sporo znalazło się w obozach, jak również nowi adepci różnych dyscyplin, a także działacze, trenerzy i medycy. W latach olimpijskich 1940 i 1944 w niektórych obozach zostały zorganizowane igrzyska ze zniczami, flagami olimpijskimi i uroczystym wręczaniem nagród. Olimpiady były prawdziwie międzynarodowe, brali w nich udział jeńcy wielu narodowości. W 1940 roku w jednym z obozów wykonano imitacje medali w postaci tekturowych proporczyków obramowanych drutem kolczastym. Kolejne obozowe igrzyska zostały przytłumione przygnębiającymi wieściami z płonącej Warszawy, niemniej – pomimo minorowych nastrojów – podjęto decyzję o doprowadzeniu ich do końca.

Po zakończeniu wojny okazało się, że umiejętności nabyte i udoskonalone za drutami nie poszły na marne. Z byłych jeńców wojennych rekrutowała się duża część powojennych działaczy sportowych.

Fot. ze zbiorów autora

Akwarele samolotów ze sztambucha

Jeniecka droga kaprala podchorążego

W roku 1944 z powstańczej Warszawy do stalagu VIII B w Łambinowicach, zwanych wówczas Lamsdorf, trafił wraz z sześcioma tysiącami swych kolegów *Kriegsgefangener* nr 102837 – czyli kapral podchorąży Stanisław Ciecierski. Po kilku miesiącach pobytu w podopolskim obozie przeniesiono go nad Dunaj, do największego na terenie Austrii obozu jenieckiego – stalagu XVII B Krems-Gneixendorf.

W Krems Niemcy przetrzymywali jeńców wielu narodowości. Przebywali tam Francuzi, Belgowie, Serbowie, Grecy i Brytyjczycy, a od 1941 roku zwożono Rosjan, z których zresztą znaczna część zginęła. Pod koniec wojny trafili do Krems byli niemieccy sprzymierzeńcy – Włosi. Najsilniejsza jednak i bodaj najbardziej zauważalna była w tym czasie czterotysięczna grupa amerykańskiego personelu latającego. Prawie nieznany w Polsce obóz w Krems zapisał się silnie w pamięci i tradycji amerykańskiej. W początku lat pięćdziesiątych na Broadwayu wystawiono sztukę, której akcja toczyła się w tym właśnie obozie, w 1953 roku nakręcono zaś jej słynną, filmową adaptację pod tytułem *Stalag 17*.

Sztambuch warszawskiego powstańca

Jeńcy amerykańscy byli spośród wszystkich najlepiej zaopatrzeni. Otrzymywali bogate paczki żywnościowe, ciepłą odzież i sprzęt sportowy. W 1944 roku z inicjatywy YMCA wydrukowano dla nich w Genewie 25 tysięcy sztambuchów, grubych, oprawnych w płótno zeszytów z numerowanymi stronami, zatytułowanych *A WARTIME LOG – A Remembrance from Home through the American Y.M.C.A.* Przeznaczone zasadniczo dla Amerykanów logi trafiały niekiedy w ręce cudzoziemców – drogą wymiany bądź jako podarunki. Jeden z nich stał się własnością kpr. pchor. Stanisława Ciecierskiego, który w ostatnich dniach niewoli zebrał wpisy od kolegów zza drutów i powklejał na puste karty przeróżne pamiątki obozowego życia. Były tam obrazki religijne, menu wieczerzy wigilijnej z 1944 roku, akwarele malowane przez amerykańskich lotników, przedstawiające własne i wrogie samoloty oraz walki powietrzne, karykatury, programy obozowych koncertów, naklejki od papierosów i czekolad, a wszystko to uzupełnione wpisami kolegów-jeńców. Życzenia szybkiego wyzwolenia składali na kartach Belgowie, Francuzi, Rumuni, Amerykanie, Grecy, Walijczycy, Rosjanie, Serbowie i Polacy z kampanii wrześniowej przeniesieni do Krems z obozów na Węgrzech. Wiemy z zapisków, że Ciecierski zobowiązał się do zgolenia brody w dniu wyzwolenia. Bombardier Edward Thomas Haywood wpisał mu do sztambucha krótką dedykację „Good luck and good speed!".

Na pierwszej stronie logu została wklejona fotografia przedstawiająca kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, namalowana – według podpisu – przez polskich jeńców wojennych w Lamsdorfie i znajdująca się w Krems. Według relacji kapelana obozowego: „Żołnierze-jeńcy ofiarowali swe szczupłe i mizerne »lager-marki«, za które niemieckie »Lagerkommando« dostarczyło farb, pędzli itp. W miesiącu maju wynoszono obraz na plac apelowy przy dźwiękach hejnału z wieży Mariackiej i naszym wiekowym *Boże, coś Polskę*, brać żołnierska śpiewała *Litanię Loretańską* i *Pod Twoją obronę*. Kiedy Niemcy ewakuowali część obozu, dali rozkaz pozostawienia obrazu. Wtedy polscy żołnierze zdjęli płótno z ram, zwinęli i przemycili pod drutami kolczastymi, przywożąc obraz do obozu — Stalag XVII B — w Krems (Austria), dokąd zostali przeniesieni. Przed tym obrazem odprawiałem przez półtora roku co niedzielę Msze św. Za drutami w sąsiednim obozie jeńcy rosyjscy stali z gołą głową w bezruchu i skupieniu".

Pamiątkowy orzeł

Dzięki sztambuchowi dotrwały do naszych czasów dokumenty, niekiedy

Fot. ze zbiorów autora

Fot. ze zbiorów autora

Menu obozowej wieczerzy wigilijnej z 1944 roku

Stasiowe naleśniki

Kapral podchorąży Stanisław Ciecierski dał się z pewnością zapamiętać swoim kolegom. Wspominali go, jeśli nie jako wybitnego piłkarza, to z pewnością z racji jego nietuzinkowych osiągnięć kulinarnych, których opisem jeden z nich ozdobił *WARTIME LOG:*

Jeżeli kiedyś przy zielonym stole
Anonsował będziesz: „karo, kiery, piki" –
Pomyśl także o tym, jak kiedyś w niewoli
Pitrasiłeś, bracie, „dobre" naleśniki.
A jak to było, opowiem:
Dwie łyżki mąki żytniej – czarnej jak cholera!
Spojrzysz na nią, bracie! – na mdłości się zbiera.
Dwie łyżeczki soli – czy to nie za mało?
Do tego pół jajka – żeby się trzymało.
Dwie szklanki wody zimnej i dwie łyżki mleka,
Mąka z dwóch sucharków... Piecyk na was czeka!
Krzyczy brat Verbin. „Dobra bratku!" – Stasio odpowiada,
A podnosząc swą twarz szlachetną, przystrojoną brodą
(Wszak brodę ma kozioł, osioł i inna dziczyzna –
Dlaczego nie ma mieć jej mężczyzna.)
Tak rzecze:
„Kto z was nie umie smażyć naleśników – za mną!
A chwyciwszy patelnię jedną, dwa gramy skórki, odsłoniwszy ręką drogę, krokiem poloneza
Z kartonem drzewa kradzionego pod pachą do kuchenki zmierza.
Tu stanął, a nam się zdawało,
Że usłyszymy głos jego – nie, to echo grało.
W kuchni wre ogień. Patelnia na piecu.
Stasio skórkę w dwóch palcach, patelnię nacisnął,
Wygiął grzbiet łukiem kocim, w oczach krwią zabłysnął
I ruchem z prawa w lewo patelnię smarował.
Po dwukrotnym objeździe grzbiet swój wyprostował
I głosem piorunowym ryknął: „Dwie łyżki!".
Dwie łyżki ciasta spadły w patelni otchłanie,
A za dwie minuty Stasio przewracanie
Rozpoczął.
Nożem, łyżką, widelcem, palcami udało mu się wreszcie naleśnik przewrócić,
A jego kolega, chcąc swe męki skrócić,
Uciekł.
Stasio w dwóch godzinach (lecz już bez kolegi)
Wypełnił talerz płytki po samiutkie brzegi.
Czytelniku zacny! Chcesz swe życie skrócić,
Nie używaj powroza, kuli, noża, gazu –
Zjedz dwa naleśniki (à la Stasio), a pęknięsz od razu.

Podpis nieczytelny, Krems, 23 kwietnia 1945

całkiem banalne, a niekiedy ważniejsze. Wśród nich przetrwała też pamiątka bezcenna. Na jednej z kart wklejony jest polski herb dwunastocentymetrowej wysokości, wykonany ręcznie z płótna pociągniętego farbami olejnymi. Podpis mówi, że orzeł ten był umieszczony na koszulkach członków polskiej reprezentacji piłkarskiej w obozie Krems-Gneixendorf w latach 1941–1945. Dodatkowo zachowało się zdjęcie jeńca piłkarza z takim samym, a może wręcz tym samym orłem na koszulce.

Nie wiadomo, w jaki sposób właściciel sztambucha wszedł w posiadanie orła. Może zdążył wziąć udział w ostatnich obozowych meczach, a może pomagał przy ich organizacji? O jego późniejszym zaangażowaniu w sprawy futbolu świadczy jedyny powojenny dokument, który wetknięto za okładkę – legitymacja złotej odznaki Warszawskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej z 1950 roku.

Inne zdjęcie ze sztambucha, przedstawiające polską drużynę na boisku, jest podpisane na odwrocie „St. Aegyd". I to jest kolejna zagadka: jaki mecz polscy piłkarze grali w miejscowości, w której znajdował się mały, tajemniczy podobóz niesławnego KL Mauthausen?

Opakowania od papierosów i wigilijne menu, pamiątkowe wpisy i akwarele amerykańskich lotników, wreszcie orzeł i zdjęcia piłkarzy to mali, milczący świadkowie historii. Być może umieszczony wśród nich orzeł stanowi jedyny dowód na to, że kiedyś, na obozowym boisku w Krems biegali jeńcy futboliści. Kilka sekund meczu pokazał amerykański reżyser jako krótką scenę we wspomnianym już wcześniej filmie.

Tomasz Zawistowski – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*

Błyskawica gotowa do strzału – zwraca uwagę złożona kolba

Fot. Muzeum Powstania Warszawskiego

Konspiracyjne peemy

Michał Mackiewicz

Miarą doskonałej organizacji polskiego ruchu oporu w latach II wojny światowej jest imponująca liczba rozmaitych środków walki wyprodukowanych w konspiracyjnych warsztatach. Szczególną dumą napawa kilka tysięcy pistoletów maszynowych – ewenement na skalę europejską.

Pistolet maszynowy – broń, która zadebiutowała pod koniec I wojny światowej – okazał się nieoceniony w starciach na najbliższym dystansie. W walce partyzanckiej dawał jego użytkownikowi wyraźną przewagę nad żołnierzem uzbrojonym w tradycyjny karabin powtarzalny. Nie może więc dziwić, że członkowie oddziałów leśnych, a zwłaszcza miejskich grup bojowych, najbardziej go pożądali. Armia przedwrześniowa nie pozostawiła po sobie peemów (a trzeba pamiętać o tym, że sprzęt ukryty w 1939 roku stanowił istotny składnik konspiracyjnego arsenału), wobec czego na początku źródłem pozyskiwania „rozpylaczy", jak je w żargonie partyzanckim nazywano, był wróg. Zdobycz stanowiła jednak kroplę w morzu potrzeb, sytuacja zaczęła się poprawiać dopiero z chwilą pojawienia się alianckich zrzutów i uruchomienia własnej produkcji.

Sten i Błyskawica

Choć do Polski trafiały rozmaite peemy, w tym amerykańskie thompsony i udety (UD), radzieckie pepesze oraz zdobyczne niemieckie MP i włoskie beretty, najliczniej reprezentowany był angielski Sten Mk.II. Tani, łatwy w produkcji i niezawodny, stanowił brytyjską odpowiedź na niemieckiego schmeissera (MP40). Nazwa pochodzi od pierwszych liter nazwisk konstruktorów (Shepherd i Turpin) i miejscowości Enfield (dziś to dzielnica Londynu), gdzie mieściła się Królewska Fabryka Broni Strzeleckiej. Sten działał na zasadzie odrzutu zamka swobodnego. Przystosowano go do strzelania ogniem ciągłym i pojedynczym, a zasilanie odbywało się z magazynka pudełkowego na 32 naboje 9x19 mm,

Sten z warszawskiej wytwórni Jarnuszkiewicza

Błyskawica rozłożona na podstawowe części

Fot. Muzeum Wojska Polskiego

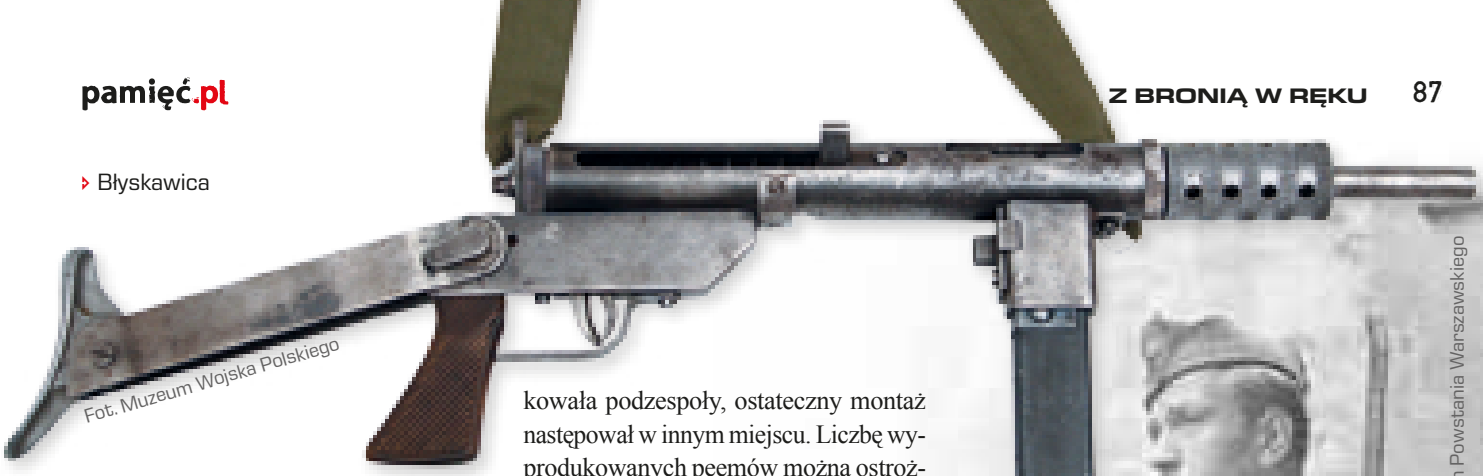

Błyskawica

Fot. Muzeum Wojska Polskiego

dołączanego prostopadle z lewej strony. Najpopularniejszą wersją stena był Mk.II produkowany w latach 1942–1944; powstało ich ok. 2 mln. Prostota konstrukcji stała się inspiracją dla rusznikarzy z Armii Krajowej, dysponującej znakomitymi kadrami i mającej największe możliwości uruchomienia produkcji seryjnej. Polskie steny, produkowane od 1943 roku, stanowiły w zasadzie wierną kopię angielskich, chociaż zdarzały się pewne różnice – w zależności od partii i warsztatu. Tych ostatnich było kilka, najwięcej w Warszawie, m.in. przy ul. Leszno 18 (warsztat Teofila Czajkowskiego) lub Grzybowskiej 25 (Fabryka Łóżek i Sprzętu Szpitalnego „Konrad Jarnuszkiewicz i S-ka"), ale także w Suchedniowie, Skarżysku-Kamiennej, Krakowie i Radomiu. Produkcja była dobrze zorganizowana i finansowana ze środków Kedywu Komendy Głównej AK; część warsztatów produkowała podzespoły, ostateczny montaż następował w innym miejscu. Liczbę wyprodukowanych peemów można ostrożnie szacować na tysiąc kilkaset sztuk. Nie zachowało się zbyt wiele stenów z „polską" proweniencją. Dwa bezcenne egzemplarze znajdują się w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie; pochodzą z warsztatu przy ul. Grzybowskiej 25. Na obsadach magazynków znajdują się sygnatury bite z przedwojennych sztanc: STEN PM/orzeł/W.P.

Fot. Muzeum Wojska Polskiego

Stopka kolby Błyskawicy

Powstanie Błyskawicy, najsłynniejszego po stenie polskiego konspiracyjnego pistoletu maszynowego, oraz jej seryjna produkcja, należą niewątpliwie do największych osiągnięć podziemnej zbrojeniówki. Chociaż stenów powstało więcej, Błyskawica była oryginalną konstrukcją. Opracowali ją inżynierowie Wacław Zawrotny i Seweryn Wielanier, produkcja ruszyła pod koniec 1943 roku. Części produkowane były w kilku miejscach w Warszawie, a ostatecznego montażu dokonywano przy pl. Grzybowskim w firmie Franciszka Makowieckiego. Błyskawica zbliżona była konstrukcyjnie do stena, jednakże jej układ zaczerpnięto z niemieckiego MP40 (składana kolba i magazynek dołączany od dołu). Dostosowany do dziewięciomilimetrowej amunicji peem działał na zasadzie odrzutu zamka swobodnego i strzelał tylko serią. Nazwa broni pochodzi od wyrytych na stopce kolby Błyskawic (znak sugerował, że jest to element elektrycznej kuchenki firmy Elektrit). Produkcję pistoletów maszynowych Błyskawica kontynuowano w trakcie Powstania Warszawskiego. Ogółem wytworzono ich kilkaset sztuk. Bojowy sprawdzian wypadł dla polskiego pistoletu maszynowego nadspodziewanie dobrze. Broń uwieczniona została na wielu zdjęciach, widać ją także na kadrach powstańczej kroniki. Podobnie jak w przypadku konspiracyjnych stenów, do naszych czasów dotrwało niewiele Błyskawic. Największym zbiorem szczyci się MWP, wśród zachowanych egzemplarzy są peemy wydobyte w trakcie ekshumacji powstańców warszawskich.

Fot. Muzeum Powstania Warszawskiego

Powstaniec warszawski z Błyskawicą

KOP-PAL, Bechowiec i KIS

Sten i Błyskawica były najliczniej wytwarzanymi w podziemiu peemami, chociaż nie jedynymi. Nieco zapomnianym pozostaje KOP-PAL wyprodukowany prawdopodobnie w ponad stu egzemplarzach. Decyzję o zbudowaniu pistoletu maszynowego podjęło kierownictwo Komendy Obrońców Polski (od 1943 roku – Polska Armia Ludowa). Plany techniczne wykonano w 1941 roku według projektu

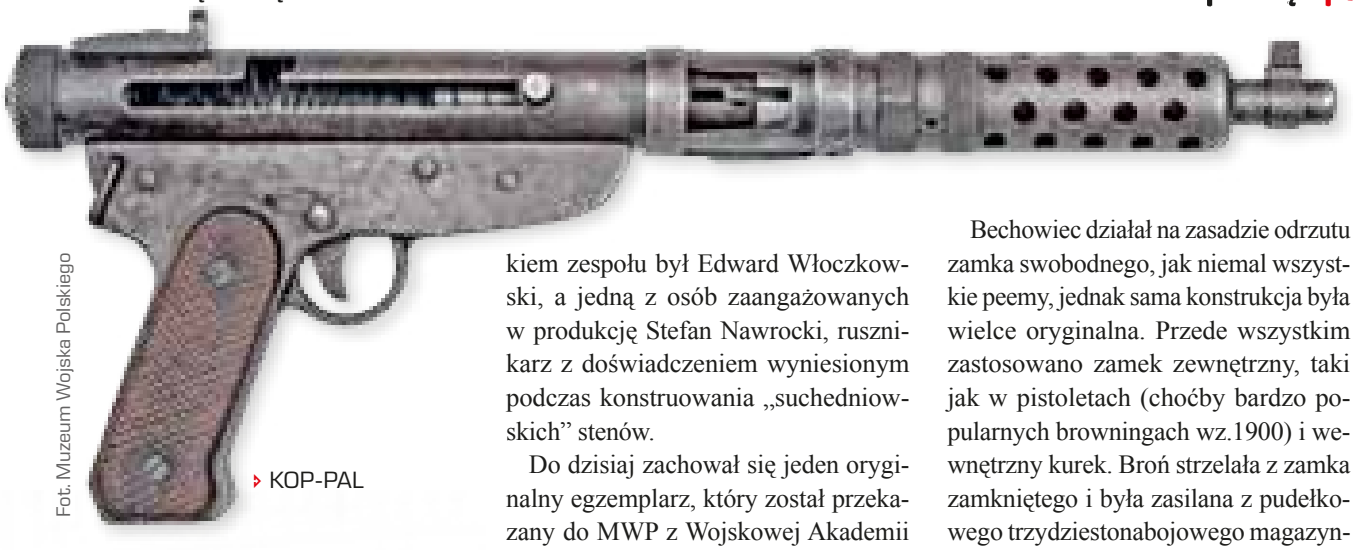

Fot. Muzeum Wojska Polskiego

KOP-PAL

inżynierów Michała Adamowicza i Stefana Englera. Wskutek dramatycznych wydarzeń, które dotknęły KOP, produkcja ruszyła dopiero w początkach 1943 roku. Broń składano w warsztacie przy ul. Gniewkowskiej na Woli; kierownikiem zespołu był Edward Włoczkowski, a jedną z osób zaangażowanych w produkcję Stefan Nawrocki, rusznikarz z doświadczeniem wyniesionym podczas konstruowania „suchedniowskich" stenów.

Do dzisiaj zachował się jeden oryginalny egzemplarz, który został przekazany do MWP z Wojskowej Akademii Technicznej. Przez specjalistów broń oceniana jest jako bardzo solidna, a jakość jej części – dość wysoka. Pierwotnie zamierzano wyprodukować osiemset sztuk, jednak z całą pewnością zrealizować się tego nie udało. Być może część peemów wykorzystano podczas Powstania Warszawskiego. Broń działała na zasadzie odrzutu zamka swobodnego, zasilana była z pudełkowego magazynka dołączanego z lewej strony. Na komorze zamkowej wybijano nazwę broni i rok produkcji, np. „K.O.P.-P.A.L. 1944" oraz numer seryjny.

Kolejnym wartym przypomnienia peemem jest bechowiec. Opracował go członek Batalionów Chłopskich Henryk Strąpoć, domorosły rusznikarz bez żadnego technicznego wykształcenia. Prace rozpoczęto w 1942 roku, dwa lata później ruszyła produkcja, przy czym podzespoły wytwarzano konspiracyjnie w hucie w Ostrowcu, a konstruktor dopasowywał części i składał broń. Wykorzystywano stare lufy karabinowe, które przekalibrowywano (broń dostosowano do amunicji 9x19 mm, kilka egzemplarzy zaś do 7,62x25 mm).

Bechowiec działał na zasadzie odrzutu zamka swobodnego, jak niemal wszystkie peemy, jednak sama konstrukcja była wielce oryginalna. Przede wszystkim zastosowano zamek zewnętrzny, taki jak w pistoletach (choćby bardzo popularnych browningach wz.1900) i wewnętrzny kurek. Broń strzelała z zamka zamkniętego i była zasilana z pudełkowego trzydziestonabojowego magazynka. Zaopatrzono ją w przełącznik rodzaju ognia. Z perspektywy czasu bechowiec oceniany jest bardzo dobrze, jako broń solidna, celna, poręczna i niezawodna. Powstało kilkanaście egzemplarzy.

Nie można też nie wspomnieć o KIS-ie, peemie opracowanym przez partyzantów ze zgrupowania słynnego Jana Piwnika „Ponurego". Broń tę montowano z przygotowanych zawczasu części, w polowej rusznikarni w Górach Świętokrzyskich (tak naprawdę była ona niemal w ciągłym ruchu). Podobnie jak w przypadku Błyskawicy, punktem wyjścia był angielski sten, ale polski peem okazał się jeszcze bardziej uproszczoną i oszczędniejszą wersją (KIS nie miał np. kolby). Zdołano wyprodukować kilkadziesiąt sztuk. Jak dotąd nie jest znany ani jeden oryginalny egzemplarz KIS-a.

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kircholm–Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

Fot. Muzeum Powstania Warszawskiego

Powstaniec z Błyskawicą na posterunku przy ul. Moniuszki

Fot. Muzeum Wojska Polskiego

Bechowiec

Mądrzy i odważni

Karolina Wichowska

Pod okupacją Trzeciej Rzeszy organizowali tajne komplety, ucząc – wbrew zarządzeniom niemieckim – znacznie więcej niż tylko pisania, czytania i rachunków. W czasach komunizmu, ryzykując karierę, a nawet osobistą wolność, przekazywali uczniom prawdę o Katyniu i pakcie Ribbentrop-Mołotow. Nauczyciele historii prawdziwej byli bohaterami czwartej odsłony projektu IPN „Kamienie pamięci", skierowanego do szkół.

Fot. P. Życieński

Uczennice Gimnazjum nr 18 w Częstochowie prezentują postać Zofii Idzikowskiej

Zadaniem uczestników było odnalezienie kogoś, kto prowadził tajne komplety w czasie okupacji lub uczył o tym, co zostało przemilczane w PRL-owskich podręcznikach – i opisanie historii takiej osoby oraz przygotowanie prezentacji o niej. Uczniowie opisali postaci tak słynne w całej Polsce, jak Anna Radziwiłł (1939–2009) – w PRL legendarna nauczycielka historii, w wolnej Polsce senator, autorka podręczników i wiceminister edukacji (była bohaterką pracy uczennic warszawskiego liceum im. Waldemara Milewicza) – a także osoby znane tylko lokalnie. Bohaterami nie musieli być nauczyciele historii czy języka polskiego, ani nawet nauczyciele w ogóle. Bywało bowiem, że o faktach pomijanych w oficjalnej narracji młodzież dowiadywała się np. od instruktora harcerskiego albo po prostu od kogoś ze znajomych.

Nauczyć prawdy, przechować pamiątki

Wśród bohaterów uczących historii prawdziwej znalazł się nauczyciel... fizyki – Krzysztof Wielgut (1919–2001), którego sylwetkę przedstawili uczniowie Zespołu Szkół im. Jana Kochanowskiego w Częstochowie. Pierwsze studia Wielguta to zresztą właśnie historia (dyplom w 1949 roku), fizykę ukończył później, zaocznie. Mimo że wykładał przedmiot ścisły, parokrotnie był wzywany przez Urząd Bezpieczeństwa, gdzie zarzucano mu „niesocjalistyczne wychowanie młodzieży". Trudno zresztą spodziewać się innego po uczestniku wojny obronnej 1939 roku, a później – żołnierzu ZWZ/AK. Fizyk kazał swoim uczniom z tyłu zeszytu wynotowywać obowiązki wobec ojczyzny i domu, a z ich wypełniania odpytywał młodzież równolegle ze sprawdzaniem wiedzy ze swojego przedmiotu. W 1967 roku na prośbę pierwszoklasistów założył kółko historyczne – uczniom nie wystarczało bowiem to, czego dowiadywali się na lekcjach od innych nauczycieli.

Działalność nauczycieli historii prawdziwej zazwyczaj nie ograniczała się do przekazywania uczniom nieprzeinaczonych faktów. Teofil Budzanowski (1894–1959) – nauczyciel polonista, poeta, weteran wojny z bolszewikami 1920 roku i Powstania Warszawskiego, w Polsce międzywojennej poseł na sejm – dbał także o to, by nie przepadły ważne pamiątki. Tuż po wojnie, kiedy partyjne władze Piotrkowa Trybunalskiego kazały zniszczyć tablicę upamiętniającą uczniów i nauczycieli poległych w czasie I wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej, Budzanowski polecił woźnemu zatynkowanie jej. Została odkryta po 1989 roku. Uchronił też od zniszczenia sztandar szkoły, ukrywając go w podwójnej ścianie szafy. Wówczas bowiem, na początku lat pięćdziesiątych, tradycyjne sztandary likwidowano, zastępując je nowymi z logo Związku Młodzieży Polskiej. Za nieprzejednaną postawę wobec władz komunistycznych Budzanowski został aresztowany i zwolniony ze stanowiska dyrektora szkoły.

Fot. P. Życieński

Mama Piotra Malicha (na zdjęciu) była uczennicą Lecha Zagłoby-Zyglera, bohatera pracy uczniów Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 2 w Bydgoszczy

Represje były jeszcze bardziej przykre, jeśli nastąpiły w wyniku donosu ucznia. Miało to miejsce w przypadku Lecha Zagłoby-Zyglera (ur. 1950). Ten bydgoski nauczyciel historii i wiedzy o społeczeństwie sam się na bieżąco dokształcał, czytając drugoobiegowe wydawnictwa, które przynosił na zajęcia. Raz opowiedział kawał: demokracja do demokracji socjalistycznej ma się tak, jak krzesło do krzesła elektrycznego. Za sprawą jednego z uczniów nie pozostało to w murach klasy i pedagog był wzywany do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych na rozmowę. – Jednym ze sposobów rozpoczętej około 1949 roku stalinizacji szkoły było namawianie uczniów i nauczycieli, żeby wzajemnie donosili na siebie. Nikt nie mógł czuć się bezpiecznie – mówi prof. Jan Żaryn, historyk z Biura Edukacji Publicznej IPN.

Sroga pani z małpką

Część prac, poza tym, że prezentuje ciekawe postaci, zwraca uwagę oryginalnością. Podczas finału uczennice Gimnazjum nr 18 w Częstochowie wystąpiły w profesorskich togach i biretach, a portfolio nauczycielki przygotowały w formie starego zeszytu z oryginalnymi szkicami. Bohaterka tej prezentacji – przedwojenna dyrektor szkoły w Częstochowie, Zofia Idzikowska (1884–1957) – była jedną z inicjatorek tajnego nauczania w czasie II wojny światowej. Po ataku Niemiec na Polskę natychmiast zmobilizowała pracowników gimnazjum, uczniów i rodziców, żeby pomogli zabezpieczyć majątek szkoły. Drzwi do biblioteki zamurowała. Początkowo nauczała na tajnych kompletach, później udostępniała własne mieszkanie do tych celów. Po wojnie weszła w skład komisji weryfikującej wyniki tajnego nauczania. Pracowała zawodowo do 1952 roku. Zarówno przed wojną, jak i w czasie okupacji oraz po wojnie była nauczycielką srogą i zasadniczą, ale jednocześnie wyczuloną na osoby potrzebujące. „Pamiętaj o innych" – tak brzmiała dewiza kierowanej przez nią szkoły. Wizerunek pryncypialnej profesorki ocieplała nieodłączna pupilka – małpka o imieniu Wicek, która mieszkała w gabinecie pani dyrektor.

Na oryginalny pomysł wpadli też uczniowie Miejskiego Zespołu Szkół w Gorlicach. Nie zdecydowali się na wybór jednej postaci, lecz postanowili upamiętnić twórców tajnego nauczania w swoim mieście. Sporządzili bibliografię, nawiązali współpracę z Muzeum Regionalnym PTTK i środowiskami kombatanckimi. Na podstawie zgromadzonych materiałów przygotowali i poprowadzili zajęcia dla kolegów, a trwałym efektem ich pracy jest szlak wycieczkowy przez miejsca związane z konspiracyjną pracą oświatową na ziemi gorlickiej. To kapitalna forma upamiętnienia bohaterów. Cieszy, że uczestnicy projektu mieli też tak ciekawe pomysły, jak notka w Wikipedii, opracowanie strony internetowej czy podjęcie starań o nadanie ulicy nowego patrona lub postawienie pomnika.

Bohaterami przyszłorocznej odsłony „Kamieni pamięci" będą żołnierze ruchu oporu lat 1939–1945. Już dziś zapraszamy do udziału.

współpraca: Małgorzata Żuławnik

Wielka wojna na planszy

Wydana w przedwojennej Polsce strategiczna gra militarna nie przystawała do rzeczywistości lat czterdziestych. Obserwując to, co się działo na frontach II wojny światowej, tworzyliśmy nową grę – mówi żołnierz AK i twórca gry planszowej „Wielka wojna" Zdzisław Zaborski w rozmowie z Karolem Madajem i Karoliną Wichowską.

Skąd pomysł, żeby w czasie okupacji tworzyć grę o wojnie?

Jeszcze przed wojną moi kuzyni mieli podobną grę: plansze z mapą i komplet figur w rodzaju ołowianych żołnierzy. Takie zestawy były w sprzedaży. Ale kiedy zaczęliśmy analizować bieżącą sytuację II wojny światowej, okazało się, że reguły tamtej w ogóle nie przystawały do rzeczywistości. Przecież zaczęto wprowadzać zupełnie nowy system walki – wojnę błyskawiczną. Decydującymi we współczesnej wojnie stały się nowe rodzaje broni, dlatego pomyślałem, żeby stworzyć nową wersję gry. Ta pierwotna polegała na tym, że grało się wszystkimi figurami – będącymi w pudełku – jak pionkami. W nowej miała dominować strategia, przecież armia niemiecka wygrywała dzięki ruchliwości swych oddziałów. Trzeba było zdecydować, czy wystawiamy piechotę czy kawalerię – albo wojska pancerne czy artylerię do zaplanowanej gry. Trzeba więc było dostosować reguły gry do ówczesnej taktyki poszczególnych jednostek wojskowych, tu reprezentowanych przez kartonowe figury. Tymi parametrami były: prędkość posuwania figur w różnych warunkach terenowych, zasięg skutecznego strzału, co każda z jednostek niszczy i na jaką odległość. Zaczęliśmy pracować nad grą w roku 1943.

Z kim Pan testował grę?

To nie było testowanie, była to normalna gra w wojnę i stopniowo uściślaliśmy reguły gry. Najlepiej mi się grało z nieżyjącym już Andrzejem Stelmachowskim, pierwszym po wojnie marszałkiem senatu. Kończył wtedy podchorążówkę. Jednym z rodzajów ćwiczeń w tajnej wojskowości były długie „spacery" po okolicznych lasach i polach, a przy tej okazji określanie np. odległości celu, co było potrzebne przy strzelaniu z karabinu. Gra, oprócz rozrywki, była też formą ćwiczenia strategii.

Fot. K. Madaj

Zdzisław Zaborski „Błyskawica"– ur. w Pruszkowie 5 lutego 1925 roku; żołnierz Armii Krajowej VI Rejonu VII Obwodu „Obroża" Okręgu Warszawskiego; należał do drużyny dyspozycyjnej sztabu rejonu w Pruszkowie, pełnił służbę łącznika w stopniu strzelca.

Wiemy już, że za wystawienie określonych sił płaci się punktami, których każdy ma na początku tyle samo. Ale co się dzieje, kiedy spotkają się gdzieś na mapie czołgi dwóch graczy?

Wtedy ten, czyja kolejka akurat przypada, strzela i posuwa się dalej. Każdy strzał automatycznie uznaje się za trafiony – figurę przeciwnika zabiera się z planszy. Terytorium rozdzielaliśmy mniej więcej po równo między graczy. Wygrywał ten, kto zniszczył sztab przeciwnika, a obronił swój. Oczywiście stopniowo modyfikowaliśmy zasady. Rozgrywka potrafiła się ciągnąć nawet dwa dni, było to wtedy, gdy wystawiliśmy zbyt liczne armie.

Nigdy nie nakryli Pana Niemcy?

Akurat podczas tej gry – nie. Ale były rozmaite inne przygody. Raz z Andrzejem Stelmachowskim grałem w szachy i obok mieliśmy rozłożoną prasę podziemną, przede wszystkim pisma wojskowe, bo akurat mieliśmy szkolenie. Nasze mieszkanie było połączone z sąsiednim, w którym mieszkała ciocia. Akurat u nas był zepsuty wodociąg. Nasza kucharka poszła do sąsiadów przez ukryte drzwi – z jednej strony zastawione szafami, a z drugiej zasłonięte kilimem. I tam wpadła na Niemców, którzy przyszli po moją ciocię, siostrę mamusi. Ktoś doniósł Niemcom, jakoby była Żydówką, bo miała na nazwisko Wolfram. Żandarmi wszystkich mieszkańców spędzili do jednego pokoju, a tu nagle jeszcze wchodzi z wiadrem jedna osoba. „Skąd pani przyszła?!" – zaczęli na nią krzyczeć. A myśmy siedzieli za szafą i grali w szachy. Aż tu nagle zza szafy zjawia się Niemiec z rozpylaczem, czyli pistoletem maszynowym, skierowanym na nas. Niemcy byli tak przerażeni tą całą dziwną sytuacją, że nie zobaczyli pisemek, tylko szachy i dwóch młodych ludzi. Nam też kazali przejść do drugiej części mieszkania, tam gdzie już była reszta mieszkańców. Ustawili wszystkich pod ścianą. A żandarmi byli ci sami, którzy często przychodzili do ojca do fabryki ołówków, której był dyrektorem. „Herr Zaborski, to cały ten dom jest wasz?". I zaczęło się tłumaczenie. Było nawet śmiesznie, bo mieliśmy psa dobermana, który się zdenerwował całą sytuacją, usiadł przed Niemcami i, powiedzmy, zanieczyścił podłogę... Gazet podziemnych Niemcy nie znaleźli dzięki przytomności stryjenki – powiedziała żandarmom, że w innym pokoju dziecko płacze, po drodze zgarnęła pisma i włożyła je dziecku pod materac. Ojciec, znający dobrze język niemiecki, udowodnił żandarmom na rodzinnych zdjęciach, że pochodzenie żydowskie Wolframów jest wykluczone.

Gra jest zrobiona ręcznie, przez Pana...

Mieliśmy dostęp do materiałów. Karton pochodził ze ścinków powstałych przy produkcji pudełek w fabryce ołówków w Pruszkowie. Modele samolotów były umieszczone na podstawkach drucianych wysokości ok. 5 cm. Drut gdzieś się znalazło i można było robić figurki. Sam je wycinałem. Mapę wykonałem na papierze pakowym.

Fot. K. Madaj

Zestaw do „Wielkiej wojny" własnoręcznie przygotowany przez Zdzisława Zaborskiego

Kiedy Panowie znajdowali czas na grę? Przecież w czasie okupacji nawet młodzież miała pełne ręce roboty.

Owszem. Przede wszystkim musieliśmy się przygotowywać do matury na tajnych kompletach. Początkowo nauka w zakresie gimnazjalnym odbywała się pod przykrywką kursów przygotowawczych do szkół zawodowych drugiego stopnia. Trzeba pamiętać, że od ósmej wieczorem do rana obowiązywała godzina policyjna, więc od 20 mieliśmy czas na naukę i czytanie w domu. Maturę zdawałem w 1943 roku, a potem zaczęliśmy szkolenie wojskowe – zajęcia odbywały się dwa razy w tygodniu. W „Wielką wojnę" grywaliśmy w soboty i niedziele. Przy sztabie w pruszkowskiej AK byłem gońcem, bo to była drużyna dyspozycyjna sztabu. Jeździłem dwa razy w tygodniu, najczęściej rowerem. Nasz rejon obejmował duży teren – do Piastowa i Magdalenki. Trzeba było wozić nie tylko pocztę, czyli grypsy pisane ołówkiem atramentowym na małej bibułce, ale też rozmaite większe materiały i instrukcje. Nawet sprawiłem sobie specjalną kurtkę z dużymi kieszeniami. Byłem najmłodszym zwerbowanym żołnierzem w tym rejonie. Nie wywieziono mnie do Niemiec, bo pracowałem w fabryce ołówków jako praktykant. Musiałem pracować, ponieważ dostałem już nawet powołanie i byłem na liście do wywiezienia na przymusowe roboty do Rzeszy.

Pewnego razu żandarmi aresztowali 21 osób z fabryki. Prawdopodobnie dlatego, że ojciec zwolnił jednego pracownika, który pił w pracy, i ten doniósł do Niemców, że w fabryce jest organizacja. Trzy dni nas bili w ich siedzibie w Zaborowie, następnie zawieźli na Pawiak i na Szucha. Ale dyrekcja fabryki ołówków znalazła jakieś możliwości i wykupiła od Niemców swych pracowników.

Ręcznie zrobiona przez Pana gra przetrwała okupację i powstanie. Jak to się udało?

Gra była przechowywana w Pruszkowie, a on nie został zniszczony. O to, żeby „Wielka wojna" zachowała się w całości, troszczyła się moja mamusia. Następnie żona dbała o to, żeby tej gry nie zniszczyć.

W jakie jeszcze gry się wtedy grało?

W szachy i w wojnę morską. Ta ostatnia gra polegała na tym, żeby zgadnąć, na którym polu przeciwnik ma okręt. Poza tym jeszcze w chińczyka, ale to akurat bezmyślna, losowa gra.

Niedawno ukazała się w sprzedaży gra „Rancho". Jej pierwowzór, gra „Superfarmer", również powstał w czasie okupacji.

Tak, jej twórcą jest Karol Borsuk, spowinowacony ze mną matematyk. „Superfarmer" początkowo miał tytuł „Hodow-

Zdzisław Zaborski objaśnia Karolowi Madajowi reguły gry

Fot. K. Wichowska

la zwierzątek". Rzucało się specjalną kostką i wymieniało zwierzęta, żeby mieć takie, które przydadzą się w gospodarstwie. Karol Borsuk wymyślił tę grę pod koniec okupacji. Ukazała się nawet w sprzedaży, choć była ręcznie robiona przez całą rodzinę. Nie trzeba było jej ukrywać przed Niemcami, zwierzątka im nie przeszkadzały.

A pan nie myślał o tym, żeby swoją grę wydać po wojnie? Władze komunistyczne na pewno nie miałyby nic przeciwko grze wojennej, w której walczy się z Niemcami...

Nie było na to czasu. W kwietniu 1945 roku komuniści aresztowali moich przełożonych z AK. Postanowiłem uciekać z Puszkowa, pojechałem do Krakowa i tam ukończyłem studia na Akademii Górniczo-Hutniczej, na Wydziale Elektromechanicznym. W Krakowie nikt mnie nie znał, więc byłem bezpieczny. W 1948 roku, dwa lata przed końcem moich studiów, umarł mój ojciec. Musiałem wraz z matką zarobić na utrzymanie pięciorga rodzeństwa. Zatrudniłem się na Śląsku, w biurze projektów hutniczych – odbudowywaliśmy hutnictwo w Polsce. Po skończeniu studiów przeniosłem się do Warszawy, bo tu dostałem nakaz pracy. Później założyłem rodzinę – wychowywanie dzieci zabierało sporo czasu. Gra poszła w zapomnienie. Kiedy odnalazła się „Hodowla zwierzątek", przy egzemplarzu była kartka z moim nazwiskiem. Wydawnictwo skontaktowało się ze mną i poprosiło o pokazanie egzemplarza „Wielkiej wojny". Wyciągnąłem go z antresoli pierwszy raz od czasów okupacji.

Egzemplarz gry „Wielka wojna" przetrwał Powstanie Warszawskie w tej samej kolekcji prywatnej, w której zachowała się kopia gry „Hodowla zwierzątek" prof. Karola Borsuka. Odkryta przez firmę Granna i wydana pod tytułem „Superfarmer", okazała się międzynarodowym hitem oraz najlepiej sprzedającą się polską grą na świecie. „Wielka wojna" nie była jeszcze opracowywana, dlatego dziękujemy firmie Granna za pierwszeństwo w udostępnieniu oryginału gry.

OKIEM PROJEKTANTA GIER

„Wielka wojna" to gra planszowa Zdzisława Zaborskiego, która powstała w podwarszawskim Pruszkowie w warunkach konspiracji w 1943 roku. Jako gra strategiczna dla dwóch osób miała pokazywać specyfikę wojny błyskawicznej i uczyć podchorążych nowoczesnej taktyki wojennej. Zasady są stosunkowo proste, jednak – ze względu na dużą liczbę elementów – przygotowanie do gry oraz pełna rozgrywka trwają od kilku do kilkunastu godzin.

W „Wielkiej wojnie" zachwyca przede wszystkim plansza w postaci dużej, ręcznie wykonanej kolorowej mapy. To pełne szczegółów pole gry przedstawia bardzo zróżnicowane tereny od gór przez nizinę po morze, a także miasta, drogi, tory kolejowe, lasy, bagna itp. Szosy i linie kolejowe współgrają z siatką kwadratów o umownym boku, np. 5 km, według skali mapy. Siatka pozwalała na określenie dla każdej figury (jednostki bojowej) prędkości posuwania się i odległości skutecznego strzału – np. czołg ciężki pokonuje w jednym ruchu najwyżej odległość dwóch kwadratów w terenie płaskim (kolor zielony) i dwa razy więcej po szosie.

Każdy z graczy dysponuje zestawem precyzyjnie wykonanych tekturowych figurek jednostek, takich jak lekkie i ciężkie czołgi, różne rodzaje artylerii, piechoty, a nawet samolotów, pociągów i statków. Za określoną na początku gry sumę punktów gracze kupują jednostki i w sekrecie przed przeciwnikiem rozstawiają je na planszy w zależności od obranej przez siebie strategii. Gdy już obie armie są ustawione, odkrywa się graniczną zasłonę i zaczyna się tytułowa „wielka wojna", której celem jest eliminacja wrogich oddziałów oraz zdobycie sztabu przeciwnika. By to osiągnąć, gracze poruszają wszystkimi swoimi jednostkami o przewidzianą dla nich liczbę pól ruchu. Jednostki, poza atakiem, mogą też wykonywać określone czynności, takie jak budowanie i wysadzanie mostów czy załadunek na pociąg. Realizmu dodaje grze możliwość zdobywania wrogich maszyn i remontowania ich we własnych warsztatach. Eliminowanie jednostek przeciwnika odbywa się automatycznie po oddaniu strzału z odpowiedniej odległości bądź najechaniu na kratkę, na której znajduje się wroga jednostka.

Długi czas rozgrywki oraz oczekiwania na swój ruch sprawiają, że grą mogą być zainteresowani przede wszystkim pasjonaci wojskowości. System walki nawiązuje do szachów, jest jednak bardzo intuicyjny. Do rozgrywki nie jest potrzebne doświadczenie z nowoczesnymi grami wojennymi. Te bowiem często, przy równie długim czasie gry, charakteryzują się bardzo skomplikowaną mechaniką, co bywa zaporą dla początkujących graczy.

Patrząc na „Wielką wojnę", należy jednak pamiętać, że jest to gra obchodząca swoje siedemdziesiąte urodziny i jako taka jest cennym świadkiem nie tylko polskiej myśli projektowej czasów II wojny światowej, lecz również realiów życia w okupowanej Warszawie. W muzeum Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie jedna z sal poświęcona jest powstałej w roku 1943 grze „Ghetto". Oryginalny egzemplarz jej rówieśniczki z pewnością zasługuje na równie honorowe miejsce w jednym z polskich muzeów.

Karol Madaj

Jak uczyć o Wołyniu?

„By pamiętać, trzeba wiedzieć" – tymi słowami rozpoczyna się wprowadzenie autorstwa dr. Andrzeja Zawistowskiego do zestawu materiałów edukacyjnych *Kto tego nie widział, nigdy w to nie uwierzy... Historia i pamięć* wydanego przez Biuro Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej w związku z 70. rocznicą Zbrodni Wołyńskiej. Jak pokazują badania, stan wiedzy o tych wydarzeniach jest w społeczeństwie polskim dalece niezadowalający. Swoje zrobiła tu oczywiście nieobecność tego tematu w szkołach i debacie publicznej w okresie PRL, w III RP jednak wciąż jest jeszcze wiele do zrobienia.

Publikacja BEP jest adresowana przede wszystkim do nauczycieli pracujących w szkołach ponadgimnazjalnych. Zgodnie z wytycznymi podstawy programowej w klasie pierwszej uczniowie poznają historię XX wieku. Zazwyczaj wówczas po raz pierwszy stykają się w szkole z tym trudnym i drastycznym tematem (i chyba dlatego traktowanym pobieżnie bądź zupełnie pomijanym na wcześniejszych etapach edukacji). Intencją autorów *Kto tego nie widział, nigdy w to nie uwierzy*... było udzielenie merytorycznego wsparcia podczas zajęć na temat ludobójstwa dokonanego na terenach Wołynia i Galicji Wschodniej przez OUN i UPA w okresie II wojny światowej.

Zaczątkiem pracy nad publikacją była debata „Wołyń 1943. Jak o tym uczyć?", która odbyła się 14 czerwca 2012 roku w Studiu Koncertowym im. Agnieszki Osieckiej Programu Trzeciego Polskiego Radia. Dyskusję poprowadził Jerzy Sosnowski, a udział w niej wzięli znawcy tematu: Tomasz Bereza, Zbigniew Gluza, Grzegorz Motyka, Ewa Siemaszko, Piotr Tyma i Aleksandra Zińczuk. Podczas długiej debaty pojawiło się kilka wniosków, co do których wszyscy rozmówcy byli zgodni: należy uczyć przede wszystkim faktów, ale tak, by nie zaszczepiać nienawiści w obu narodach, a nacisk należy położyć na pamięć o ofiarach. Fragmenty debaty zostały zamieszczone w publikacji.

Naszą propozycję wprowadzenia do szkoły tego tragicznego tematu w szerszym niż do tej pory zakresie rozpoczyna wykład prof. Andrzeja Leona Sowy przybliżający tematykę ludobójstwa na Kresach Południowo-Wschodnich. Autor omawia w nim nie tylko przebieg wydarzeń w latach 1939–1945, lecz także kreśli obraz relacji polsko-ukraińskich w okresie międzywojennym. Artykuł ten jest zwięzłym kompendium wiedzy, stanowiącej podstawę do wykorzystania kolejnych materiałów.

Kolejnym elementem pakietu są cztery scenariusze lekcji, które mogą być wykorzystywane pojedynczo bądź jako cykl zajęć (biorąc pod uwagę realia polskiej szkoły – raczej dodatkowych). Pierwszy, autorstwa Agnieszki Jaczyńskiej, ma na celu przedstawienie wydarzeń lat 1943–1944 na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Szczególny nacisk położono tu na podkreślenie faktu, że tzw. antypolska akcja OUN-UPA była działaniem zaplanowanym i zorganizowanym przez nacjonalistów ukraińskich, a nie spontanicznym, oddolnym zrywem ludności ukraińskiej przeciw Polakom. Zasadniczym elementem kolejnego scenariusza lekcji (autorstwa Rafała Pękały z Sekcji Notacji i Opracowań Multimedialnych BEP IPN) są relacje pięciorga świadków historii, ocalałych z rzezi. Trzecią propozycję lekcji, zatytułowaną *Sprawiedliwi Ukraińcy*, przygotowała Katarzyna Cegieła. Odwołując się do tytułu nadawanego przez izraelski instytut Yad Vashem, autorka Sprawiedliwymi nazywa osoby, które narażając życie, pomagały Polakom ukrywać się przed ukraińskimi nacjonalistami. Ostatni scenariusz, mojego autorstwa, zestawia cztery wielkie zbrodnie XX wieku – Holocaust, mordy w Rwandzie i Kambodży, które zostały już uznane za ludobójstwo, oraz rzezie na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Wskazanie na podobieństwa i różnice między nimi ma na celu także omówienie z uczniami definicji ludobójstwa przyjętej przez ONZ i odniesienie jej do konkretnych wydarzeń.

Okrucieństwo dokonanej na Kresach Południowo-Wschodnich zbrodni i niemożliwa do uniknięcia drastyczność opisów i relacji każe postawić pytanie, czy i kiedy (od jakiego wieku) należy temat rzezi wołyńskiej przedstawić uczniom. W jaki sposób rozmawiać z młodzieżą o zbrodni popełnionej z tak dużym okrucieństwem, jakich użyć środków wyrazu, słów, jak dopasować materiał ikonograficzny dla konkretnego wieku odbiorców. Dlatego też do materiału została dołączona ekspertyza psychologiczna dotycząca prezentacji tego tematu młodym ludziom, przygotowana przez dr Agnieszkę Pisulę. Wynika z niej jednoznacznie, że tak trudne i drastyczne tematy powinny być prezentowane uczniom szkół ponadgimnazjalnych. Dopiero bowiem przekroczenie szesnastego roku życia przez uczniów daje nauczycielowi pewność ich wystarczającej dojrzałości emocjonalnej. Należy przy tym zwrócić baczną uwagę na to, aby prezentowanie treści drastycznych miało uzasadniony pedagogicznie cel i nie było podyktowane tylko chęcią zaspokojenia ciekawości czy fascynacji złem.

Ważnym dopełnieniem publikacji są najnowsze ustalenia ze śledztwa Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Lublinie opracowane przez

prokuratora Piotra Zająca. Jednoznacznie wskazują one na to, że zbrodnia dokonana na Wołyniu i w Galicji Wschodniej była ludobójstwem.

Publikacja zawiera także fragmenty relacji świadków i inne źródła historyczne, mapy oraz płytę z zapisem relacji ocalałych z rzezi wołyńskiej i filmem dokumentalnym z cyklu „Z Archiwum IPN" pt. *Wołyń w pożodze*.

Materiał edukacyjny *Kto tego nie widział, nigdy w to nie uwierzy… Historia i pamięć* dostępny jest w formie PDF na stronie pamiec.pl w zakładce „Biblioteka cyfrowa". Od września 2013 roku nauczyciele będą mogli go otrzymać podczas warsztatów organizowanych przez oddziałowe biura edukacji publicznej IPN. Szczegóły wkrótce na naszych stronach internetowych.

Olga Tumińska

Nasze matki, wasz antysemityzm

Filip Gańczak

Nienawiść do Żydów była w Armii Krajowej normą – sugeruje niemiecki serial. Skuteczne przeciwstawienie się tej narracji będzie wymagało ogromnej pracy.

Fot. ZDF/David Slama

„Napluli na Polskę", „Fałszowanie historii", „Po co nam niemieckie kłamstwa w TVP?" – to tylko niektóre nagłówki prasowe w związku z niemieckim miniserialem *Nasze matki, nasi ojcowie* (*Unsere Mütter, unsere Väter*) w reżyserii Philippa Kadelbacha. W marcu trzy półtoragodzinne odcinki pokazała niemiecka telewizja publiczna ZDF, a w czerwcu Telewizja Polska. Pierwsze niemieckie recenzje były pozytywne. Po polskiej stronie opinia była dość zgodna: serial utrwala stereotyp Polaka antysemity.

Zagubieni Niemcy, nienawistni Polacy

Berlin, lato 1941 roku. Pięcioro przyjaciół spotyka się po raz ostatni, nim rozdzieli ich wojna. Szampan, taniec, pozowanie do zdjęć. Widzimy pięknych dwudziestoletnich – młodych ludzi o czystych sercach, dziwnym trafem nieskażonych przez osiem lat hitlerowskiej dyktatury. Czas niszczenia sumień dopiero się jakoby zaczyna.

Wilhelm walczył już w Polsce i Francji. Teraz wierzy w szybkie zwycięstwo nad Związkiem Radzieckim. Gdy trzeba, wykona zbrodniczy rozkaz, na przykład zastrzeli sowieckiego komisarza politycznego, który oddał się do niewoli. Z czasem traci jednak wiarę w sens wojny i dezerteruje.

Jego młodszy brat Friedhelm początkowo uchodzi za bardziej wrażliwego. Nie pali się do walki i wśród kolegów ma opinię tchórza. Stopniowo jednak wojna przeistacza go w bezdusznego żołnierza, który ślepo wypełnia rozkazy – m.in. bierze udział w egzekucjach rosyjskich i polskich cywilów.

Charlotte służy jako pielęgniarka w szpitalu polowym. Nie waha się wydać Żydówki, ale później dręczą ją wyrzuty sumienia.

Greta pozostaje w Berlinie i wdaje się w romans z gestapowcem. Z jednej strony chce w ten sposób pomóc ukochanemu Viktorowi – niemieckiemu Żydowi – zdobyć papiery pozwalające na wyjazd za granicę. Z drugiej strony liczy na wsparcie własnej piosenkarskiej kariery.

Viktor pochodzi ze zasymilowanej rodziny. Gdyby nie naziści, przejąłby po ojcu dobrze prosperujący zakład krawiecki. Zamiast tego trafia do pociągu jadącego do Auschwitz. Udaje mu się jednak wydostać z wagonu. Razem z Polką Aliną Bigaj – byłą robotnicą przymusową – zostają przygarnięci przez oddział leśny Armii Krajowej.

Przed polskimi partyzantami Viktor udaje Niemca. Przedstawieni w serialu akowcy prędzej bowiem gotowi są zaakceptować w swoim gronie Niemca niż Żyda. „Żydów potopimy jak koty" – odgraża się młody żołnierz z orzełkiem na czapce. Dowódca oddziału żartuje zaś, że Żydów poznałby „po smrodzie".

Któregoś dnia grupa akowców napada na niemiecki pociąg. Okazuje się, że w jednym z bydlęcych wagonów stłoczeni są Żydzi – niedoszli więźniowie któregoś z obozów zagłady. Oddział AK nie pozwala im opuścić pociągu. „Mają tak zdechnąć?" – nie dowierza Viktor. „Tak" – odpowiada niewzruszony partyzant. Żydzi w jego przekonaniu „są tak samo parszywi jak komuniści czy Ruskie. Lepiej martwi niż żywi".

„W jednym szeregu z SS"

„To są sceny, które rozegrały się w tej lub podobnej formie [w rzeczywistości]"– przekonywał prof. Julius Schoeps, dyrektor Centrum Studiów im. Mojżesza Mendelssohna przy uniwersytecie w Poczdamie, konsultant historyczny serialu. „Armia Krajowa […] składała się z polskich nacjonalistów. Antysemityzm w jej szeregach był ekstremalnie rozpowszechniony" – wtórował mu na łamach wysokonakładowego tabloidu „Bild" dr Ralf Georg Reuth, niemiecki historyk i dziennikarz, autor biografii Adolfa Hitlera, Josepha Goebbelsa i Erwina Rommla.

W Polsce zawrzało. Głos zabrali nie tylko publicyści i historycy, lecz również czołowi politycy.

„Oburzenie jest uzasadnione. Sceny filmu, w których pokazana jest AK, sprawiają wrażenie, jakby chodziło o organizację na wskroś antysemicką" – skomentował dziennikarz „Frankfurter Rundschau" Harry Nutt. „Ta interpretacja jest nie tylko historycznie nieprawdziwa i głupia, lecz również z kilku powodów niebezpieczna. […] Armia Krajowa jest stawiana w jednym szeregu z SS i w ten sposób zhańbieni zostają ludzie, którzy walczyli przeciwko niemieckiej okupacji i nazistowskiemu terrorowi" – dopowiedział na łamach „Badische Zeitung" socjolog dr Hans-Werner Retterath.

W niemieckiej prasie przypominano też jednak, że Polacy nie są wyłącznie narodem ofiar. „Również tutaj istniały i istnieją antysemityzm i rasistowska przemoc" – pisał Ulrich Krökel, dziennikarz od trzech lat mieszkający w Warszawie.

„Na ile antysemicka była w rzeczywistości Armia Krajowa?" – zapytał prof. Włodzimierza Borodzieja, histo-

Fot. ZDF/David Slama

ryka z Uniwersytetu Warszawskiego, tygodnik „Der Spiegel". „Trudno dziś ustalić, jak wielu Żydów Polacy mają ma swoim sumieniu. Przyjmuje się, że jest to liczba pięciocyfrowa. Większość z nich ze strachu lub chciwości została wydana Niemcom przez swoich polskich sąsiadów. AK nie miała z tym nic wspólnego" – tłumaczył profesor.

Co więcej, w szeregach Armii Krajowej można było spotkać Żydów, którzy wcale nie ukrywali swojego pochodzenia. „Nigdy, ani ze strony kolegów, ani przełożonych z AK, nie spotkałem się z przejawami antysemityzmu" – mówił „Rzeczpospolitej" Stanisław Aronson, polski Żyd, który walczył w Powstaniu Warszawskim. W „Biuletynie Informacyjnym" – konspiracyjnym tygodniku Armii Krajowej – 18 marca 1943 ostrzegano wręcz osoby szantażujące ukrywających się Żydów, że „tego rodzaju wypadki […] są rejestrowane i będą karane z całą surowością prawa".

Owszem, zdarzały się zbrodnie na Żydach obciążające akowców. W literaturze przedmiotu znaleźć można m.in. informację o oddziale AK „Białe Barwy" pod dowództwem Kazimierza Olchowika „Zawiszy". W sierpniu 1944 roku oddział ten miał wymordować na Kielecczyźnie kilkudziesięciu Żydów, którym udało się uciec z obozu pracy w Skarżysku-Kamiennej.

„Jeżeli w jakiejś organizacji jest 300 tys. ludzi, a w szczytowym momencie w Armii Krajowej było właśnie tak wielu żołnierzy, to jest pewne, że będą wśród nich także jacyś antysemici. […] Moim zdaniem, AK-owcy byli antysemitami w mniejszości" – mówił w wywiadzie dla portalu naTemat.pl prof. Antoni Dudek, członek Rady Instytutu Pamięci Narodowej.

Jest też zasadnicza różnica między antysemityzmem a gotowością do zbrodni. Nie przypadkiem wśród Polaków ratujących w czasie okupacji Żydów zdarzały się osoby znane wcześniej z antysemickich poglądów. Niemiecki serial najgorszy rodzaj polskiego antysemityzmu pokazał tymczasem jako niemal normę. Sportretowani w *Naszych matkach*... żołnierze polskiego podziemia sprawiają wrażenie, jakby nienawiść do Żydów wyssali z mlekiem matki. Główni niemieccy bohaterowie serialu to zaś w gruncie rzeczy dobrzy ludzie, wciągnięci jedynie w wir wojny i zamienieni w tępe narzędzia zbrodniczego systemu. Nawet znany z umiarkowania prof. Borodziej nie mógł się oprzeć wrażeniu, że chodzi o przerzucanie winy.

Jak podbić serca widzów

Taki zarzut pojawia się nie po raz pierwszy. W 2009 roku „Der Spiegel" opublikował głośny artykuł *Ciemny kontynent*. Holocaust nie byłby możliwy bez europejskich pomocników Hitlera – brzmiała teza niemieckich dziennikarzy. W jednym szeregu z SS wymieniono m.in. polskich szmalcowników, którzy tropili i wydawali Żydów. Przypomniano także o zbrodni w Jedwabnem, gdzie w 1941 roku chrześcijańscy mieszkańcy wymordowali żydowskich sąsiadów, i o pogromach Żydów w powojennej Polsce.

Publikacjom tego typu często towarzyszy swoiste poczucie wyższości: my już rozliczyliśmy się ze swoimi grzechami, za to wy, Polacy, macie jeszcze poważną lekcję do odrobienia.

Innym problemem jest częsta w Niemczech – nawet wśród ludzi wykształconych – historyczna ignorancja w odniesieniu do Polski. W 1994 roku ówczesny prezydent Roman Herzog pomylił Powstanie Warszawskie z powstaniem w getcie. Dziesięć lat później burmistrz Berlina Klaus Wowereit nie potrafił powiedzieć, kiedy wybuchła II wojna światowa.

Kilka lat temu przeglądałem niemieckie podręczniki szkolne do historii pod kątem treści poświęconych Polsce. Nie znalazłem ich wiele. Przeciętny uczeń za Odrą o skromnym niemieckim ruchu oporu dowiaduje się więcej niż o Polskim Państwie Podziemnym. Wzmianki o Powstaniu Warszawskim pojawiają się tylko w części podręczników.

Uzupełnić te luki mogłaby telewizja. 23 czerwca tego roku ZDF – reagując na krytykę pod adresem niefortunnego serialu – pokazała półgodzinny dokument *Walka o przeżycie. Polska pod niemiecką okupacją* (*Kampf ums Überleben. Polen unter deutscher Besatzung*) Andrzeja Klamta i Alexandra Berkela. Do głosu dochodzą tu żołnierze AK, działający w Radzie Pomocy Żydom Władysław Bartoszewski czy historyk Bogdan Musiał. Późna pora emisji zrobiła jednak swoje. Film obejrzało jedynie 920 tys. Niemców. Dla porównania: serial *Nasze matki, nasi ojcowie* gromadził przed telewizorami średnio 7,19 mln widzów. W dodatku został już sprzedany do przeszło sześćdziesięciu krajów.

Nie jest jednak specyfiką Niemiec, że ciekawe filmy dokumentalne pokazywane są zazwyczaj tuż przed północą. Telewizja Polska mogłaby więc pomyśleć o własnym serialu o II wojnie światowej, który również na Zachodzie byłby w stanie podbić serca masowej widowni. Udany *Czas honoru* chyba mimo wszystko nie ma takiego potencjału. A przecież o naszych matkach, ojcach i dziadkach mamy prawo opowiadać światu sami. Nie tylko takimi filmami jak *Pokłosie*.

Miasto sprzed ruin

Łukasz Kubacki

Film *Warszawa 1935* to kawał dobrej roboty. Bez względu na drobne niedociągnięcia.

Ci, którzy interesują się dawną Warszawą, z pewnością pamiętają pierwsze zapowiedzi projektu *Warszawa 1935*. Cyfrowa rekonstrukcja przedwojennej zabudowy stolicy Polski – to brzmiało niezwykle frapująco, ponieważ nikt do tej pory nie podjął się takiego wyzwania i w dodatku z takim rozmachem. Owszem, kilka lat temu Muzeum Powstania Warszawskiego zaprezentowało nam *Miasto ruin*, będące wirtualnym przelotem nad zniszczoną Warszawą wiosną 1945 roku. Tam jednak cały czas widzieliśmy obraz z dużej wysokości – od kilkuset metrów do niemal kilometra nad poziomem terenu. Co prawda, autorzy opracowali kilkadziesiąt bardzo dokładnie przygotowanych obiektów miasta, na których koncentrowała się kamera, ale reszta modeli 3D miała zdecydowanie mniejszą złożoność i służyła jedynie uzupełnieniu obrazu.

W przypadku *Warszawy 1935*, twórcy wyznaczyli sobie jeszcze ambitniejsze zadanie – wykonania kompletnych kwartałów miasta z pełnym detalem zabudowy, poruszającymi się po drogach pojazdami oraz przechodniami spacerującymi po chodnikach.

Autor filmu, Tomasz Gomoła, i producent, Studio Newborn, zasługują na najwyższe uznanie za podjęcie wyzwania. Wyzwania karkołomnego, bo wymagającego mozolnego ślęczenia nad szczątkową ikonografią przedwojennej Warszawy. Nie bez znaczenia była pomoc i konsultacje Archiwum Państwowego Miasta Stołecznego Warszawy, które w swych zbiorach ma fotoplan miasta z 1935 roku oraz tzw. referat gabarytów, czyli wizualną dokumentację budynków miejskich. Ogromną pracę wykonali również członkowie Fundacji „Warszawa 1939.pl", którzy są specjalistami od przedwojennej zabudowy stolicy i swego czasu dzielili się swoją wiedzą z twórcami *Miasta ruin*.

Od fotoplanu do elewacji

Efekt wizualny robi naprawdę duże wrażenie. Współczesna technika umożliwia osiąganie coraz lepszych rezultatów – i to widać. Dzięki współpracy z Centrum Informatycznym Świerk, działającym w ramach Narodowego Centrum Badań Jądrowych, które zapewniło wysokiej klasy sprzęt komputerowy, udało się stworzyć materiał filmowy z setkami ruchomych obiektów i plików graficznych.

Kamera zabiera nas nad charakterystyczne miejsca na mapie przedwojennej Warszawy, które pojawiały się na obrazkach promocyjnych oraz w zapowiedziach: Dworzec Wiedeński wraz z przylegającym tymczasowym Dworcem Głównym, Ogród Saski z kolumnadą pałacu, Wielką Synagogę przy Tłomackiem, pl. Napoleona ze wspaniałym gmachem towarzystwa Prudential, kwartały kamienic na miejscu dzisiejszego Pałacu Kultury i Nauki oraz ulicę Marszałkowską. Część ujęć została wykonana z lotu ptaka, niektóre fragmenty miasta sfilmowano z perspektywy jadącego tramwaju. Niezwykle spektakularne jest ujęcie z dużego pułapu, wykonane prostopadle do zabudowy. Początkowo mamy złudzenie oglądania oryginalnego fotoplanu Warszawy z 1935 roku, lecz po chwili dostrzegamy poruszających się ludzi oraz pojazdy, a sama kamera obniża swą wysokość oraz zmienia kąt, aby pokazać elewacje budynków. Godne uwagi jest ujęcie, gdy podróżujemy z zachodu na wschód miasta, mijając Chłodną, Gościnny Dwór, Hale Mirowskie, by dotrzeć do głównej alei Ogrodu Saskiego. Ogromna szkoda, że nie pokazano całego Pałacu Saskiego, lecz jedynie górne fragmenty jego kolumnady.

Część ujęć jest stylizowana na zdjęcia nocne przy pięknej iluminacji miasta oraz ładnie wyeksponowanych charakterystycznych neonach z epoki. Efekt potęgują kałuże oraz mokre chodniki. Większość akcji filmu rozgrywa się jednak w ciągu dnia, by widz mógł dostrzec główne detale budynków, reklamy, ruch na ulicach oraz samych przechodniów, których ubrania powstały na

Fot. kadry z filmu *Warszawa 1935*

podstawie analizy ówczesnych żurnali. Dbałość o szczegóły jest oszałamiająca. Gwoździem programu jest przejażdżka ul. Marszałkowską od ulicy Królewskiej do skrzyżowania z Alejami Jerozolimskimi, gdzie do dziś z tamtych czasów ostał się jedynie dawny gmach Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Rosja", też zresztą znacznie przebudowany po wojnie. Twórcom udało się zrekonstruować elewacje wszystkich kamienic, wraz z charakterystycznymi detalami i reklamami z lat trzydziestych – np. radioodbiornika kryształkowego czy rejsu transatlantyckiego do Ameryki. Takie szczegóły bardzo cieszą oko, podobnie jak dbałość o detal komunikacji miejskiej oraz innych pojazdów poruszających się po ulicach.

Rozbita ciągłość

O ile, podkreślam, twórcy zasługują na najwyższe uznanie za podjęcie tak trudnego tematu, o tyle ośmielę się zwrócić uwagę na kilka drobnych mankamentów, których wyeliminowanie sprawiłoby, że *Warszawa 1935* okazałaby się jeszcze lepszym filmem.

Po pierwsze, nie podobały mi się wstawki informacyjne, które co jakiś czas przewijały się podczas projekcji. Założeniem ich było zapewne przedstawienie ówczesnej Warszawy oraz II Rzeczypospolitej jako miasta – względnie państwa – dynamicznego, z sukcesami, gdzie uczeni dokonują nowych odkryć. O ile jestem w stanie zrozumieć informację o zbudowaniu prostego silnika odrzutowego przez prof. Jana Oderfelda, bo była to innowacja w skali europejskiej, o tyle zupełnie nietrafionym pomysłem było, według mnie, umieszczenie na początku projekcji notki o wynalezieniu lampy naftowej przez Ignacego Łukasiewicza, co przecież miało miejsce w połowie XIX stulecia. Miałoby to sens, gdyby akcja projekcji rozpoczynała się faktycznie w okresie zaborów, a kończyła na tytułowym 1935 roku. Sądzę, że film byłby spójniejszy, gdyby tego typu przerywniki nie były pokazywane.

Sensowne natomiast byłoby pokazanie polskiego lotnictwa sportowego, którego osiągnięcia są w filmie wspominane. Co prawda na plakacie promocyjnym widzimy RWD-5bis Stanisława Skarżyńskiego oraz RWD-6 Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury, ale na ekranie kinowym już ich nie oglądamy. Aż się prosi dodać scenerię Lotniska Mokotowskiego, na którym fetowano zwycięstwa wspominanych pilotów, a w 1934 roku zorganizowano *Challenge*, którego triumfatorami byli Jerzy Bajan i Gustaw Pokrzywka. Jest też niestety błąd rzeczowy – Stanisław Skarżyński i Andrzej Markiewicz odbyli rajd afrykański nie w 1932 roku, jak informują nas napisy, lecz rok wcześniej. Ten sam Skarżyński, pokonując samotnie w 1933 roku Południowy Atlantyk, celowo nie zabrał ze sobą radioodbiornika oraz spadochronu, ponieważ były mu niepotrzebne, zważywszy na specyfikę lotu transatlantyckiego i fakt bicia rekordu świata w bardzo niskiej kategorii wagowej samolotu, w której liczył się każdy kilogram. Szczególnie wzmianka o tym ostatnim wyczynie bardzo mnie zirytowała, ponieważ kreowała Skarżyńskiego na pilota z ułańską fantazją. Tymczasem był to człowiek niezwykle skromny, pracowity, który miał precyzyjnie opracowaną trasę, wraz z dokładnymi danymi meteorologicznymi, a do bicia rekordu przygotowywał się miesiącami.

Kolejny element, który może przeszkadzać, to niewielkie nieścisłości detalu architektonicznego miasta i ich obecność w filmie. Najbardziej charakterystycznym przykładem jest Dworzec Wiedeński – w 1935 roku był w trakcie rozbiórki, a jego funkcję przejął tymczasowy Dworzec Główny z drewnianą halą, również zresztą przedstawiony w filmie. Wytrawni varsavianiści mogliby dostrzec jeszcze kilka innych, drobnych nieścisłości. Są to jednak szczegóły, mniej istotne, jeżeli samą datę 1935 roku potraktuje się bardzo umownie i nie zastosuje rygorystycznego porównywania zabudowy z filmu do tego, co było obecne na fotoplanie z połowy lat trzydziestych. Podobnie można spojrzeć na opisane wcześniej uwagi do tekstów informacyjnych. W skali przedsięwzięcia są to drobiazgi, które wielu odbiorcom nie będą w ogóle przeszkadzały, a niektórym mogą nawet przypaść do gustu.

Ostatnie uwagi dotyczą kompozycji filmu. Kiedy go oglądałem, brakowało mi w nim pewnej ciągłości w pokazywaniu fragmentów miasta, narracji. Widz może się zgubić i czuć nieco przytłoczony liczbą nieznanych mu fragmentów zabudowań. Przydatny mógłby być rodzaj mapki albo pewne nawiązania do współczesnej zabudowy, być może skonstruowanie opowieści czytanej przez lektora lub napisów pojawiających się w toku projekcji. Brak narracji powoduje, że możemy być lekko zaskoczeni, gdy po przejażdżce północną częścią ulicy Marszałkowskiej następuje koniec filmu. Odnoszę wrażenie, że goniące terminy oraz, jak mniemam, wysokie koszty produkcji nie pozwoliły twórcom dopracować scenariusza.

Pasja, którą widać

Mimo wszystko *Warszawa 1935* jest niezwykle spektakularnym obrazem, odtwarzającym to, co zachowało się jedynie w pamięci najstarszych mieszkańców oraz na zdjęciach, pocztówkach i taśmach filmowych. Widać, że film zrodził się z miłości do miasta oraz z pasji. Mam ogromną nadzieję, że *Warszawa 1935* doczeka się dalszego ciągu, w którym przekroczymy Wisłę, odbędziemy podróż po praskich uliczkach oraz ujrzymy np. Pałac Saski w pełnej okazałości. Kapitał na pewno nie zostanie zmarnowany, ponieważ modele trójwymiarowe zabudowań można wykorzystać jako element efektów specjalnych w produkcjach filmowych albo w stale rozwijającej się branży gier komputerowych czy w prezentacji edukacyjnej.

Ten film to świetna propozycja dla mieszkańców stolicy, szczególnie tych, którzy pasjonują się przedwojenną Warszawą. Polecam go również osobom interesującym się nowinkami technologicznymi, ponieważ jest to wyśmienita prezentacja tego, co można dzisiaj stworzyć dzięki technologiom cyfrowym.

Łukasz Kubacki – historyk, pracownik Muzeum Historii Polski

Zachód zaskoczony

Kłopotliwa panna „S” Patryka Pleskota to studium przygotowane z nadzwyczajną pracowitością, staranne i potrzebne. Można podziwiać rozmiary przeprowadzonej kwerendy – i to tym bardziej, że temat wymagał jej prowadzenia w aktach wytworzonych w różnych krajach.

Oczywiście czas otworzy jeszcze niejedno archiwum – ale tak jest zawsze w wypadku historii najnowszej. To, co autor już przebadał, z pewnością uprawomocnia zarysowany przezeń obraz. Zabawne, że najmniej ciekawe z tej masy akt różnego typu zdają się materiały polskiego wywiadu. Oczywiście przy opracowywaniu takiego tematu trzeba je znać, gdyż one też trafiały na biurka znaczących postaci PRL. Rzadko jednak napotyka się w nich jakieś sprawy prawdziwie nowe w swoim czasie, uzyskane w sposób niedostępny dla innych fachowców. Jeśli w ogóle, to najciekawsze są – może nieprzypadkowo – wywiadowcze informacje z Watykanu. Ogólnie jednak powiem, że przy tej lekturze byłem wręcz zaskoczony – nie po raz pierwszy zresztą – marnością tajnych służb PRL. W swoim czasie myślałem o nich źle – ale sądziłem, że są coś warte w sensie fachowym. Inna sprawa, że w odniesieniu do krajów o polityce raczej przewidywalnej i prowadzonej otwarcie, wywiady są chyba użyteczne bardziej w sprawach szczególnych niż takich, o których mówi cała prasa.

Autor bada, rzecz jasna, najważniejsze kraje zachodnie. Czasem epizodyczne pojawienie się jakiejś sprawy czyni ważnymi także kontakty PRL z krajami, które nie są pierwszoplanowym tematem książki (*casus* Grecji). Może jakiś inny autor napisze kiedyś więcej o Izraelu, którego dyplomacja – jak z potocznej wiedzy wiadomo – nieraz interesowała się Polską. Warto by również więcej dowiedzieć się o opinii Jugosławii na temat Polski lat osiemdziesiątych. Ciekawe byłoby też poznanie, co myślały wówczas o Polsce Chiny.

Rozumiem oczywiście, że autor nie mógł przebadać polityki wszystkich krajów na Ziemi – książka i tak jest już bardzo gruba. Cieszę się, że Patryk Pleskot objął analizą różne kraje; nieszczęściem polskiej historiografii jest bowiem wchodzenie w głębokie i w konsekwencji zbyt wąskie „studnie”. Na przyszłość sugeruję autorowi napisanie następnej książki o raportach pisanych przez obce dyplomacje i wywiady na podstawie bezpośrednich obserwacji w Polsce. Na przykładzie własnych badań o 1956 roku mogę powiedzieć, że takie teksty bywają też bardzo ciekawe jako źródło do analizy sytuacji wewnętrznej w danym kraju – choć nominalnie służą kształtowaniu polityki innych państw wobec niego.

Kłopotliwa panna „S” jest pracą wyraźnie faktograficzną. Jako taka też jest potrzebna, zwłaszcza że zarys faktów został zrobiony bardzo starannie. Książka na długo będzie stanowić punkt odniesienia dla wszystkich piszących o położeniu Polski wśród innych krajów w rozważanym czasie. Autor skupił się na działaniach wyraźnie politycznych lub/i dyplomatycznych. Czasem objął też manifestacje typu „świeczka w Białym Domu”. Ciekawe i warte dalszego badania jest zagadnienie wewnętrznych uwarunkowań polityki rządów zachodnich. One nieraz znajdowały się pod silną presją oddolną w sprawach polskich oraz pod wpływem miejscowych konfliktów politycznych, rzutujących na stosunek do wydarzeń w Polsce. Chociażby odmowa przez właściciela *Bateaux Mouches* (stateczków turystycznych) zorganizowania spaceru po Sekwanie dla gen. Jaruzelskiego podczas jego wizyty w Paryżu dodała pikanterii i tak już mocnemu sygnałowi przyjęcia gościa tylnymi drzwiami w Pałacu Elizejskim. Prezydent Francji, dokonując takiej manifestacji, kierował się względem na politykę francuską. Autor widzi oczywiście także ten aspekt zagadnienia, nawet w odległej Portugalii czy w Norwegii (tam akurat w kontekście Nagrody Nobla dla Wałęsy, co miejscowy rząd wykorzystał dla umocnienia własnej pozycji politycznej).

Wpływ opinii publicznej Zachodu na rządy, podobnie jak w ogóle jej formowania się w rozpatrywanej sprawie, byłoby dobrze zestawić z reakcjami na inne, odległe wydarzenia, w jakimś wymiarze porównywalne (np. na zamach generalski w Chile). Można by też wejść głębiej w kwestię zgody miejscowych rządów na różne prosolidarnościowe działania społeczne. Oczywiście, że robili to sami ludzie, indywidualnie bądź w zrzeszeniach – ale nie sądzę, by nawet w demokratycznych krajach różne działania odbywały się bez wiedzy i przynajmniej milczącej zgody władz państwowych. Nie jechałoby do Polski tyle paczek (i powielaczy) bez milczącej zgody rządów.

W małym stopniu autor wszedł w ciche, niesformalizowane działania zachodnich ambasad w Warszawie. Sam miałem okazję obserwować taką aktywność ambasady francuskiej. Oczywiście, jej urzędnicy prywatnie przewozili różne listy do Francji, a Karol Modzelewski bezpośrednio z więzienia przyszedł na „całkowicie prywatne” przyjęcie do jednego z nich – ale było i jest oczywiste, że w dyplomacji całkowitej prywatności nie ma. Ciekawe były też ciche działania np. Francji – wprawdzie sformalizowane, ale niekoniecznie nagłaśniane (jak przyznanie prawa pobytu Polakom zatrzymanym w tym kraju przez stan wojenny, czy przedłużenie pobytu naukowcom, których stan wojenny zastał we Paryżu, przez École des Hautes Études en Sciences Sociales).

Autor, jak powiedziałem, skupia się na ściśle zdefiniowanej warstwie faktograficznej. Niemniej przy lekturze nawet tej suchej faktografii nieodparcie nasuwają się wnioski ogólne, z których parę postaram się wysnuć. Znakomicie widać, w jak wielkim stopniu polityka Zachodu wobec Polski była uwikłana w kontekst światowy. To warto uświadamiać polskiej opinii publicznej, która nieraz przecenia wagę własnego kraju. Pleskot znakomicie pokazuje, jak w tle stosunku do Solidarności lub/i do PRL rysowała się sprawa ZSRR oraz obawy o ewolucję stosunków z „niedźwiedziem”. Ciekawe są uwagi, że zdarzali się w USA politycy, którzy nie mieli nic przeciwko interwencji sowieckiej w Polsce – bo ona by jeszcze

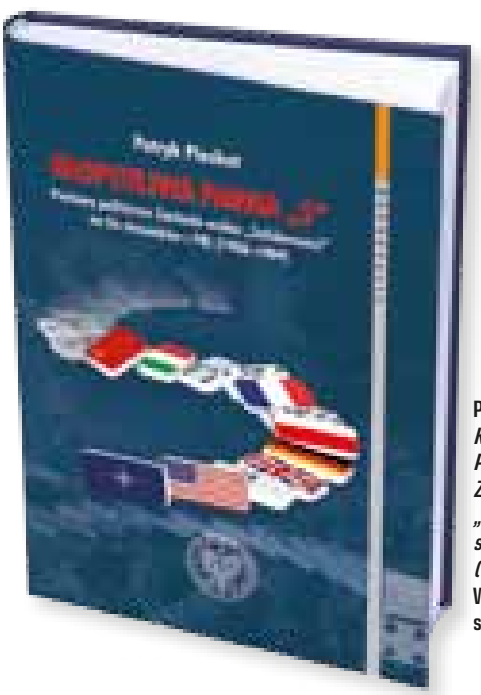

Patryk Pleskot, *Kłopotliwa panna „S”. Postawy polityczne Zachodu wobec „Solidarności” na tle stosunków z PRL (1980–1989)*, IPN, Warszawa 2013, ss. 878

bardziej skompromitowała komunizm, a zarazem pozwoliła podtrzymać poziom forsownych zbrojeń. Bardzo ciekawe jest jednak także odetchnięcie Zachodu, że Sowieci „nie weszli"; może zresztą odetchnięcie jak najbardziej racjonalne. Ciekawe są uwagi jak to np. RFN odetchnęła, ponieważ tamtejszy rząd obawiał się, że otwarta interwencja ZSRR w Polsce zaszkodzi polityce prowadzonej wobec NRD. Znakomicie widać w książce zwykłe, ludzkie obawy Zachodu przed zmianą sytuacji. Przecież to zadziało się trochę tak, jak gdyby po latach pukania drzwi nagle się otworzyły – co wszystkich zaskoczyło. Na dodatek „wszyscy" zupełnie nie byli na to przygotowani.

W trakcie lektury książki czytelnik widzi, w jakim stopniu najpierw wybuch społeczny i jego konsekwencje w Polsce, a potem, dajmy na to, upadek muru w Berlinie i zjednoczenie Niemiec, zaburzały dotychczasowe myślenie zachodnie – budowane przez parędziesiąt lat, z nadzieją na upadek komunizmu faktycznie coraz bardziej platoniczną. Wobec obaw przed ZSRR oraz głębokiego nieprzygotowania na nową sytuację można zrozumieć pewną wyrozumiałość Zachodu (w głębszej warstwie) wobec wprowadzenia stanu wojennego w Polsce, a potem obawy, by nie iść za szybko nawet po wyborach 1989 roku. Można lepiej zrozumieć chęć podtrzymania gen. Wojciecha Jaruzelskiego w tym momencie, a po wyborze Tadeusza Mazowieckiego na premiera ciepłe słowa zarówno dla niego, jak i dla generała. Chyba Zachód też dobrze zdawał sobie sprawę z tego, jak trudna będzie transformacja. Autor znakomicie wychwycił sarkastyczną odpowiedź, udzieloną przez podsekretarza stanu USA Lawrence'a Eagleburgera ambasadorowi Johnowi Davisowi, gdy ten, po powołaniu Mazowieckiego na stanowisko premiera, zapytał o dalsze zadania: „Następnym Pańskim zadaniem będzie działanie na rzecz wspierania [reform gospodarczych] i zapewnienia Polsce prosperity, w tym stabilnego wzrostu gospodarczego, pełnego zatrudnienia, niskiej inflacji, wysokiej wydajności i mercedesa (albo jego odpowiednika) w każdym garażu. Najlepsze życzenia dalszych sukcesów" (s. 812).

Bunt w Polsce, a w ostatecznej konsekwencji upadek komunizmu, przekreślały całą sowietologię, z jej perspektywą dającej się oczekiwać modernizacji ZSRR. W pewnym sensie przekreślały filozofię polityki odprężenia lub/i rozmiękczania „Krajów Demokracji Ludowej" z NRD na czele – nawet jeśli bez niej nie byłoby najpewniej całej ewolucji w Polsce, narodzin Solidarności itd. Sama Solidarność zaskakiwała Zachód – w równym stopniu tamtejszy ruch związkowy, jak władze. W końcu był to związek zawodowy, który uosabiał naród, związek modlących się, związek opowiadający się nie tylko przeciw komunizmowi, lecz także – przynajmniej nominalnie – przeciw socjalizmowi (co przeszkadzało François Mitterrandowi). W końcu przywódca tego związku przyjmował Margaret Thatcher, znienawidzoną przez związki brytyjskie; miała swoją pikanterię okoliczność, że związkowcy z Wielkiej Brytanii prosili Wałęsę, by trafił Thatcher do rozumu w sprawie roli związków zawodowych.

Interesująco autor pokazuje, jak kraje Zachodu rozgrywały własne sprawy międzynarodowe „na karku" Polski (np. jak USA chciały bardziej podporządkować sobie sojuszników przy okazji kryzysu polskiego). Ciekawe jest też studium bezpośrednich reakcji Zachodu – reakcji na pierwsze wiadomości. Kraje demokratyczne zawsze potrzebują dłuższego czasu na ustosunkowanie się do nowej sytuacji niż takie, w których decyzja podejmowana jest w bardzo wąskim kręgu. W krajach demokratycznych większa jest również najpewniej obawa, by nie popsuć spraw jeszcze bardziej (o czym autor szczególnie interesująco pisze w odniesieniu do pierwszych reakcji Stolicy Apostolskiej).

Ciekawe są ustalenia autora dla szerszego zagadnienia globalizacji. Jeszcze Stalin robił w ZSRR, z grubsza biorąc, co chciał, świat zaś nie wiedział o tym lub udawał, że nie wie. W czasie analizowanym przez autora już nic nie można było ukryć, chyba że na jeden dzień, gdy chmury wisiały nad Polską (*sic*!). Zaistniałych materialnych powiązań gospodarczych oraz finansowych nie dawało już się zerwać. Polska nie mogła po prostu odmówić płacenia długów i Zachód dobrze o tym wiedział. Z czasem rządzący nie mogli już odmówić ważnym ludziom z Zachodu „prywatnych" wizyt u „prywatnych" ludzi z Solidarności czy składania kwiatów na grobie ks. Jerzego Popiełuszki. Jeżeli mnie pamięć nie myli, w 1959 roku władze były w stanie nie dopuścić do wejścia wiceprezydenta Nixona do katedry św. Jana podczas zwiedzania przezeń Starego Miasta. Teraz już nie były w stanie uniemożliwić niczego zachodnim mężom stanu. Jeśli dowiozły samego „prywatnego człowieka z wąsami" do papieża w Tatry, to znaczy, że już doprawdy niewiele mogły.

Nadto mentalnie wszyscy już w coraz mniejszym stopniu akceptowali podział rzeczywistości na całkowicie odrębne strefy. Władze PRL mogły się złościć na zapraszanie opozycji do ambasad zachodnich, ambasady mogły wzruszać ramionami i zapraszać – ale najważniejsze, że to już nie były czasy, gdy Polacy obawiali się zbliżyć do obcej ambasady (jak w latach stalinowskich czy w pewnych sytuacjach nawet później). Nie jest to jednak miejsce na rozważanie przyczyn tej ewolucji.

Zastanawia, jaki był wpływ ewolucji polskiej elity komunistycznej na politykę zagraniczną Zachodu wobec Solidarności lub/i PRL. W końcu dla Mieczysława Rakowskiego grupą odniesienia byli bardziej politycy zachodnioniemieccy niż radzieccy, a jego osoba dla tych zachodnich też nie była bez znaczenia dla oceny sytuacji w Polsce. Podejrzewam, że nawet dla gen. Jaruzelskiego kwestia przyjęcia go w Pałacu Elizejskim była ważna nie tylko z punktu widzenia polskiej opinii publicznej, ale również osobiście. Sam Jerzy Urban nie pasował już do stereotypu komunisty. Przecież Urban nie marzył o wyrażaniu mu uznania przez towarzyszy radzieckich (chyba że dla wygody politycznej). Cała ta elita już bardziej broniła władzy niż idei – a to jest fundamentalna różnica. To nie byli już ideolo-komuniści. Samo przeprowadzenie operacji 13 grudnia w wielu aspektach odbiegało zresztą od klasycznego działania komunistycznego na korzyść latynoamerykańskiego zamachu stanu; przynajmniej takie było *decorum* (reszta to oczywiście sprawy do dyskusji). Cała ta elita bała się przede wszystkim ZSRR. Podejrzewam, że Zachód to dostrzegał – choć dowody trudno zdobyć. Autor ciekawie przywołuje pozytywną opinię prezydenta George'a Busha o gen. Jaruzelskim; Bush mówił o nim z sympatią jako o człowieku i nie odmawiał mu patriotyzmu.

Autor ocenia politykę władz w pierwszych latach po wprowadzeniu stanu wojennego jako twardą. Nie jestem jednak pewien, czy nie była ona twarda krócej, niż autorowi się zdaje. Choćby sami szybko zauważyliśmy, że pomiędzy tym całym wojskowym żelastwem pozostaje dużo miejsca do przemykania się, a represje są hamowane. Nie wątpię, że było to elementem planu politycznego (cel: stworzenie szarych stref). Podejrzewam, że Zachód to też dostrzegał. Ciekawy jest jednocześnie wpływ związków elity Solidarności (Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki) z Zachodem dla wyrabiania sobie opinii o NSZZ „Solidarność" przez Zachód. Te związki z Zachodem, w Polsce w jakimś stopniu utrzymywane od 1956 roku (tolerowane, czasem może nawet chciane przez władze!), miały ogromne znaczenie dla biegu polityki w analizowanym przez autora okresie. Przecież gen. Jaruzelskiemu bardzo zależało na wystąpieniu w ONZ m.in. dlatego, że chciał pokazać polskiej opinii, iż jest szanowany przez Zachód. Za Stalina by mu akurat na tym tak nie zależało. Niezależnie od bezpośredniego politycznego i gospodarczego kryzysu komunizmu, tu od dawna rozwijały się głębsze procesy.

Marcin Kula

Trudna pamięć o Wołyniu

Książka *Pojednanie przez trudną pamięć. Wołyń 1943* pod reakcją Aleksandry Zińczuk została przygotowana w trzech językach: po polsku, ukraińsku i angielsku – po to, aby mogła dotrzeć także do zachodnich czytelników. Na niespełna dwustu stronach części polskiej zawarto relacje, eseje, rozważania historyków oraz rozmowy ze świadkami tragicznych wydarzeń. Publikacja, która jest częścią projektu o tej samej nazwie, powstała w wyniku współpracy polsko-ukraińskiej. Składają się na nią teksty publicystów, historyków, a także Polaków i Ukraińców zaangażowanych w pojednanie obu narodów. Relacje na Wołyniu i Lubelszczyźnie w 2012 roku zebrał zespół studentów z Polski i Ukrainy. Według redaktorki książki, która również koordynowała projekt, celem przedsięwzięcia jest pokazanie wspólnej historii Polaków i Ukraińców w XX wieku oraz „trudu godzenia się z historią".

Publikacja zamienia się miejscami w polsko-ukraiński protokół rozbieżności. Jest to widoczne zwłaszcza przy lekturze rozmowy historyków – Grzegorza Motyki i Leonida Zaszkilniaka – dotyczącej stanu badań nad rzezią wołyńską w 1943 roku i szerzej – trudnych relacji polsko-ukraińskich. Rozbieżności dotyczą zarówno terminologii użytej do opisania tragicznych wydarzeń („ludobójstwo" czy „konflikt polsko-ukraiński"), jak i liczby ofiar. Jednym z postulatów historyka ukraińskiego jest obniżenie wysokości strat polskich – świadczy to o tym, jak trudno zmierzyć się z bolesną historią także w środowisku naukowym. Badaczy różni ponadto ocena Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Pojednanie... nie jest książką tylko o rzezi wołyńskiej, lecz również o tragicznych losach Polaków i Ukraińców i o odmiennej pamięci obu społeczności. Poruszony został więc w niej temat konfliktu polsko-ukraińskiego na Chełmszczyźnie w 1945 roku, akcji „Wisła", a także współistnienia obu narodów przed II wojną światową. Przedstawione zostały dwie różniące się narracje. Obie mają w publikacji takie samo znaczenie i poświęcono im tyle samo uwagi i miejsca. Lektura *Pojednania...* sprawia więc wrażenie symetryczności między doświadczeniami polskimi a ukraińskimi. Dotyczy to również przedstawienia krzywd wyrządzonych sobie wzajemnie przez oba narody. Takie zestawienie sprzyja pokazaniu przykładów pomocy udzielanej Polakom przez Ukraińców w czasie masowych mordów i odwrotnie: ratowania Ukraińców przez Polaków w czasie akcji odwetowych. Zastosowanie tego zabiegu przy opisie rzezi wołyńskiej jest jednak błędne. Czytelnik nieznający w ogóle tematu publikacji, zwłaszcza czytelnik z Zachodu, może odnieść wrażenie, że jest uprawnione porównanie tragicznych wydarzeń – zbrodni i odwetu – co z kolei może prowadzić do relatywizowania ludobójstwa na Wołyniu. Jak zauważa w publikacji historyk Rafał Wnuk, istnieje również zagrożenie, że każda ze stron tego polsko-ukraińskiego projektu będzie widziała jedynie to, co chce zobaczyć. Niewłaściwe jest więc obecne w wielu wypowiedziach zamieszczonych w książce zestawienie zbrodni wołyńskiej z akcją „Wisła". Przede wszystkim nie ma bezpośredniego związku między ludobójstwem dokonanym na Polakach a prześladowaniami i wypędzeniem ludności ukraińskiej w Polsce rządzonej przez komunistów. Porównanie obu tragedii jest po prostu niestosowne i niesprawiedliwe.

***Pojednanie przez trudną pamięć. Wołyń 1943*, red. Aleksandra Zińczuk, Stowarzyszenie Panorama Kultur, Lublin 2012, ss. 396**

Praca wykonana przez zespół studentów budzi uznanie – zebrano ponad 140 relacji mieszkańców Wołynia, dotyczących tragedii wołyńskiej i, jak wynika z lektury, działań przeciwko Ukraińcom w 1944 i 1945 roku. Za bardzo cenne trzeba uznać zamieszczone informacje o wzajemnej pomocy niesionej przez przedstawicieli obu narodów, chwalebne przykłady ratowania życia i opowieści świadków o poniesionych w wyniku tego tragicznych konsekwencjach. To dzięki tym wiadomościom, zebranych metodą historii mówionej, istnieje szansa na pojednanie polsko-ukraińskie.

Niestety, w książce przedstawiono jedynie krótkie fragmenty relacji i rozmów – być może wynika to ze specyfiki zebranego przez zespół materiału. Mogłyby ponadto zostać lepiej zredagowane. Część notacji jest również pozbawiona kontekstu historycznego; szkoda, że nie zdecydowano się przedstawić więcej informacji o miejscu i czasie przywoływanego wydarzenia – nie wszystkie relacje dotyczą przecież rzezi wołyńskiej.

W publikacji *Pojednanie...* został także przedstawiony problem polityki historycznej współczesnej Polski i Ukrainy. W publikowanych artykułach próbuje się wyjaśnić przyczyny różnych ocen tragedii przez oba społeczeństwa, co dobrze ilustruje tekst Andrija Portnowa o powodach nieobecności Polaków z Wołynia w świadomości społeczeństwa ukraińskiego.

Należy podkreślić, że książka ta ma szansę otworzyć polsko-ukraińską dyskusję o wspólnej pamięci dotyczącej nie tylko ludobójstwa na Wołyniu, lecz także tragedii Polaków i Ukraińców, które wydarzyły się w innych miejscach. O tym, że pojednanie jest możliwe, świadczy wspomnienie Leona Popka o wyjeździe polskich rodzin na groby zamordowanych bliskich. Mimo że publikacja momentami popada w fałszywą symetrię doświadczeń polskich i ukraińskich i nie jest pozbawiona błędów edytorskich, to można mieć nadzieję, że przyczyni się do lepszego zrozumienia trudnych relacji obu narodów w czasie II wojny światowej.

Jakub Gołębiewski

Obiektywnie o III RP

Niektórzy uważają, że przygotowywanie naukowych publikacji dotyczących najnowszych dziejów jest bardzo trudne. Wiąże się to przede wszystkim z tym, że wydarzenia, które miały miejsce niedawno, w sposób szczególnie widoczny wpływają na teraźniejszość, budząc sporo emocji. Może dlatego wciąż brakuje pełnych, naukowych biografii wielu ważnych osób z życia publicznego, a wśród publikacji dotyczących ostatnich lat zdecydowanie więcej można zauważyć pamfletów publicystycznych i wspomnień aniżeli rzetelnych opracowań.

Zasada ta stosuje się także do historii III RP. W księgarniach i bibliotekach można zauważyć bardzo dużo wspomnień mniej lub bardziej wpływowych polityków, przedstawiających swoją subiektywną wizję konkretnych wydarzeń (niestety, w przeciwieństwie do swoich poprzedników z II RP, których cechowała bardzo rozwinięta kultura słowa pisanego, dzisiejsi politycy zadowalają się formułą wywiadów rzek). Wśród pamfletów publicystycznych jednym z najgłośniejszych ostatnio była książka Roberta Krasowskiego *Po południu*. Jak dotąd, tylko prof. Antoniemu Dudkowi, autorowi najnowszej wersji podręcznika dziejów III RP, udało się przygotować obiektywną publikację naukową na ten temat.

Antoni Dudek ma duże doświadczenie w badaniu i opisywaniu problemów historycznych tego okresu. Już na początku dziejów III RP starał się dokumentować i syntetyzować poszczególne wydarzenia. Wydaje się jednak, że zwłaszcza teraz, gdy III RP funkcjonuje już ponad dwadzieścia lat, przygotowany przez prof. Dudka podręcznik nabiera szczególnie pozytywnych walorów. Należy wysoko ocenić zwłaszcza pewien dystans autora wobec opisywanych wydarzeń, brak jednoznacznego angażowania się po którejś ze stron sporu. Profesor Dudek już we wstępie zastrzega, że nie ukrywa bliskości z tradycją antykomunistyczną, niemniej poglądy polityczne nie zablokowały obiektywizmu autora. Dla porównania, powyższe słabości nie ominęły zbliżonych – w intencji twórców – publikacji historycznych dotyczących II Rzeczypospolitej. Żyjące w tamtych czasach osoby, których ambicją było przygotowanie podobnej syntezy jak recenzowane opracowanie, nie potrafiły ustrzec się przed mocnym zaangażowaniem. Dotyczy to np. Adama Próchnika czy wybitnego znawcy Polski przedrozbiorowej, Władysława Konopczyńskiego. Publikacja Dudka jest natomiast porównywalna z podręcznikami do historii okresu międzywojennego, publikowanymi w ostatnich latach, a więc po upływie kilku dekad od opisywanych wydarzeń.

Nie oznacza to oczywiście, że czytelnik *Historii politycznej Polski 1989–2012* nie będzie mógł wyrobić sobie własnego poglądu na opisywane zdarzenia ani że nie pozna ciekawych analiz poszczególnych zdarzeń – tych jest bowiem bardzo dużo. Warto zwrócić uwagę zwłaszcza na rozdziały poświęcone okresowi kształtowania się nowych władz i ustroju politycznego. Autor bardzo precyzyjnie przedstawia formowanie się różnych stronnictw w obozie solidarnościowym oraz etapy narastającego sporu pomiędzy koncepcjami reprezentowanymi przez Unię Demokratyczną i Porozumienie Centrum czy Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. Dużym walorem książki jest zwrócenie uwagi na pewne niekonsekwencje programowe i spory wewnątrz poszczególnych obozów, co owocowało rozłamami albo też chwilowymi, dziwnymi sojuszami. Intersująco został również przedstawiony wzrost siły Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej oraz Polskiego Stronnictwa Ludowego.

W książce zdecydowanie ciekawiej wypada charakterystyka rządów postsolidarnościowych niż postkomunistycznych. Analiza tych pierwszych jest bardziej pogłębiona. Niezależnie od opisu kwestii czysto politycznych autor zwraca również uwagę – co jest znaczącą zaletą pracy – na zagadnienia gospodarcze i prawne. Zobrazował także zależność pomiędzy nimi a konkretnymi motywami działania i wydarzeniami politycznymi.

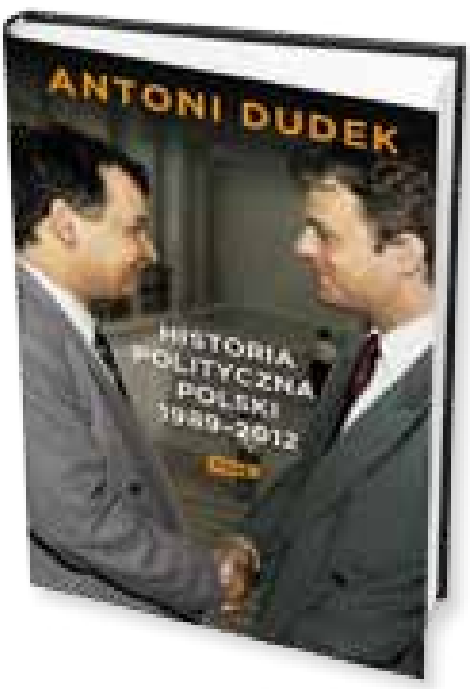

Antoni Dudek, *Historia polityczna Polski 1989–2012*, Wydawnictwo Znak, Warszawa 2013, ss. 672

Dudek skrótowo potraktował natomiast okres 2007–2012. Był to jednak zabieg świadomy i wynikał z przekonania autora, że rządy Platformy Obywatelskiej w koalicji z PSL wciąż są otwartym rozdziałem i na ich podsumowanie trzeba jeszcze poczekać. Niezależnie od tego w książce wskazano najważniejsze zdarzenia polityczne tego okresu wraz z ewentualnymi ich konsekwencjami i możliwymi ocenami.

Historię polityczną Polski 1989–2012 można wykorzystywać jako wiarygodne źródło informacji dotyczące kolejnych etapów dziejów III RP, i to nie tylko jako podręcznik na studiach wyższych. Oczywiście, chcąc rozszerzyć wiadomości dotyczące wybranych lat i zdarzeń, należałoby przeczytać również bardziej szczegółowe i subiektywne publikacje. Naukowego opracowania poszczególnych, węższych zagadnień, wciąż niestety brakuje.

Maciej Nowak

Polacy w „Barbarossie”?

Stosunki polsko-niemieckie przed II wojną światową i plany Adolfa Hitlera wobec Rzeczypospolitej są nadal przedmiotem zainteresowania historyków. Dla jednych zawarcie przez Niemcy z Polską deklaracji o niestosowaniu przemocy 26 stycznia 1934 roku było koniunkturalnym zagraniem Hitlera, mającym przełamać izolację polityczną Niemiec, które wcale nie zamierzały zrezygnować z odzyskania Gdańska, Pomorza i Górnego Śląska; dla innych stanowiło dowód na poważne zamiary wobec Polski, których uwieńczeniem miała być wspólna wyprawa na Związek Radziecki.

W ten drugi nurt wpisuje się nowa publikacja Rolfa-Dietera Müllera z Centrum Historii Wojskowości i Nauk Społecznych Bundeswehry w Poczdamie, niemieckiego profesora, który dał się poznać jako wytrawny badacz II wojny światowej. Jego przetłumaczona na polski książka dotyczy niemieckiego planowania wojennego przeciw ZSRR, na którego tle ukazano stosunki polsko-niemieckie w latach 1933–1939 i zabiegi Hitlera mające na celu pozyskanie Polski jako sojusznika (dosłowne tłumaczenie tytułu niemieckiego brzmi: *Wróg znajduje się na wschodzie. Tajne plany Hitlera wojny przeciw Związkowi Radzieckiemu w 1939 roku*).

Lata dwudzieste i początek lat trzydziestych XX wieku były okresem politycznej i wojskowej współpracy Republiki Weimarskiej i ZSRR, która przynosiła obu stronom korzyści. Dojście do władzy w 1933 roku Adolfa Hitlera, w którego programie politycznym antykomunizm i zdobycie „przestrzeni życiowej” na wschodzie zajmowały poczesne miejsce, doprowadziło do zerwania kooperacji. Wkrótce rozpoczęto studia strategiczne związane z planowaną wyprawą na Związek Radziecki, a Hitler przez kilka lat do sojuszu przeciw ZSRR próbował pozyskać Polskę. Jak twierdzi autor, jej postawa – odrzucenie propozycji przystąpienia do paktu antykominternowskiego – uniemożliwiła dyktatorowi III Rzeszy rozpoczęcie wojny przeciw ZSRR w 1939 roku. Właśnie te plany wojny ze Stalinem jeszcze w 1939 roku są głównym tematem książki. Nas zainteresuje jednak również to, w jaki sposób ukazano w nich rolę Polski.

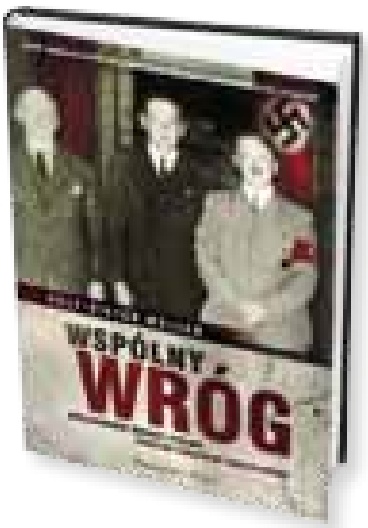

Rolf-Dieter Müller, *Wspólny wróg. Hitlerowskie Niemcy i Polska przeciw Związkowi Radzieckiemu*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2013

Jak czytamy na IV stronie okładki, „badania nieznanych wcześniej materiałów źródłowych doprowadziły cenionego niemieckiego historyka do szokującego wniosku: by jak najszybciej zrealizować plan ataku na Związek Radziecki, Adolf Hitler chciał zawrzeć sojusz z Polską”. Wniosek ten nie jest jednak ani odkrywczy, ani nowy, nie powinien więc szokować. O składanych przez Niemcy propozycjach przystąpienia do paktu antykominternowskiego (skierowanego przeciw ZSRR) wiadomo od dawna. Wiadomo również, że w Warszawie ofertę niemieckich polityków i dyplomatów przeważnie zbywano milczeniem lub ignorowano, a gdy Niemcy postawiły sprawę na ostrzu noża – odrzucono. W tej sytuacji co najmniej zdumiewające jest twierdzenie autora: „Lektura źródeł niemieckich pozwala bowiem odnieść wrażenie, że Warszawa była otwarta na ideę bliżej nieokreślonego sojuszu antyradzieckiego”. Dziwić muszą również następujące słowa: „Rząd polski [...] przez lata dawał Berlinowi do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko zawarciu dwustronnego paktu wojskowego”.

Trudno zgodzić się z tezą Müllera, jakoby polsko-niemieckie partnerstwo w latach 1934–1938 (a więc po zawarciu polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy) „funkcjonowało bez zarzutu” na płaszczyźnie ideologicznej i politycznej. Autor zbyt wielką wagę przypisuje pełnym kurtuazji spotkaniom dyplomatów i dygnitarzy partyjnych, nie dostrzegając, że polsko-niemieckie relacje w latach trzydziestych wciąż dalekie były od dobrosąsiedzkich. Przykładem zadrażnień i równocześnie lekceważącego stosunku Berlina do Warszawy jest mało znana, lecz istotna sprawa zaległości niemieckich za tranzyt kolejowy przez Pomorze, które powstały w 1934 roku, a dwa lata później sięgały już zawrotnej wówczas sumy 80 mln zł. Niemcy, przeznaczając dewizy na zakup za granicą surowców potrzebnych do zbrojeń, przestały regulować swoje zobowiązania wobec Polski. To doprowadziło w lutym 1936 roku do krótkiego i szybko zażegnanego kryzysu w relacjach między oboma państwami. Nieścisłe jest również nazywanie polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy sojuszem lub paktem, ponieważ umowa ta nie zawierała żadnych wzajemnych zobowiązań sojuszniczych na wypadek np. wojny.

Jak wiadomo, swoje plany ekspansji w celu zdobycia „przestrzeni życiowej na wschodzie” Hitler przedstawił dowództwu Wehrmachtu 5 listopada 1937 roku. Müller twierdzi, że „bez wątpienia pod pojęciem »przestrzeni życiowej na wschodzie« Hitler rozumiał nie Polskę, lecz ZSRR, gdyż jeszcze tego samego dnia, 5 listopada 1937 roku, przyjął polskiego ambasadora Józefa Lipskiego w związku z podpisaniem niemiecko-polskiej umowy o ochronie mniejszości narodowych”. Przekonanie, że Hitler zamierzał dochować podpisanych przez siebie umów, jest co najmniej naiwne, jeśli wziąć pod uwagę niemiecką politykę zagraniczną w drugiej połowie lat trzydziestych! Trudno przecież zliczyć, jak wiele porozumień złamał Hitler, także tych, które sam podpisał. Odnosząc się do niemieckich propozycji *Globallösung* z 24 października 1938 roku, autor zapomina, że oprócz przystąpienia Polski do paktu antykominternowskiego, włączenia do Rzeszy Gdańska i przyznania eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej przez Pomorze Hitler oczekiwał od Polski również zgody na klauzulę konsultacyjną, która oznaczałaby pozbawienie Warszawy możliwości prowadzenia samodzielnej polityki zagranicznej. Zgoda na te warunki doprowadziłaby Polskę do utraty niezależności.

W podsumowaniu Müller stwierdza, że Polska definitywnie odrzuciła niemiecką ofertę *Globallösung* dopiero w marcu 1939 roku, za sprawą brytyjskich gwarancji. Teza ta, lansowana przez historyków twierdzących, że to Brytyjczycy swoimi gwarancjami dla Rzeczypospolitej doprowadzili do wojny, została już jednak obalona. Polska bowiem już w styczniu 1939 roku wzgardziła propozycjami Hitlera.

Wspólny wróg... przynosi niewiele nowych informacji na temat stosunków polsko-niemieckich. O tym, że Hitlerowi zależało na pozyskaniu Polski w celu zaatakowania ZSRR, wiadomo od dawna. Pod tym względem praca Müllera nie jest odkrywcza. Znacznie ciekawiej prezentuje się teza o niemieckich planach rozpoczęcia wojny ze Stalinem już w 1939 roku, chociaż i ona nie została w pracy bezspornie udowodniona. Niemniej książkę *Wspólny wróg. Hitlerowskie Niemcy i Polska przeciw Związkowi Radzieckiemu* należy uznać za interesującą, stawiającą wiele pytań i skłaniającą do refleksji nad wydarzeniami 1939 roku.

Marcin Przegiętka

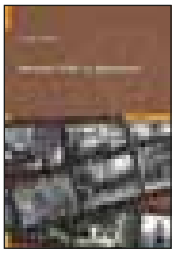

■ Grzegorz Bębnik, *Wrzesień 1939 roku w Katowicach*, IPN, Katowice 2012, ss. 450.

■ Edward Ćwikowski, Henryk Ćwikowski (współpraca Halina Gniedziejko), *Martyrologium Bargłowskie. Syberyjskie doświadczenia mieszkańców Bargłówki i okolic w latach II wojny światowej*, IPN, Białystok 2013, ss. 173 + wkł. zdjęciowa.

■ Edwin Klessa, *Pamiętnik z internowania*, wstęp i oprac. ks. dr Jarosław Wąsowicz SDB, IPN, Poznań 2013, ss. 280 + ss. 16 wkł. zdj.

■ Mirosław Kopa, *Inspektorat Piotrkowski Armii Krajowej w dokumentach i komentarzach*, IPN, Łódź 2013, ss. 948 + ilustracje.

■ *Kto tego nie widział, nigdy w to nie uwierzy... Zbrodnia wołyńska. Historia i pamięć. Materiały edukacyjne*, red. Romuald Niedzielko, IPN, Warszawa 2013, ss. 68.

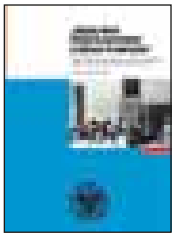

■ Izabela Mazanowska, *„Będą was prześladować z mego powodu". Polityka władz państwowych wobec zakonów i zgromadzeń zakonnych diecezji chełmińskiej w latach 1956–1970*, IPN, Bydgoszcz-Gdańsk 2013, ss. 352.

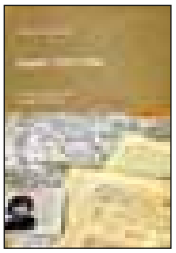

■ Wiesława Michałek, *Zapiski 1939–1944*, wstęp i oprac. Grzegorz Bębnik, IPN, Katowice 2012, ss. 200.

■ Gabriela Nastałek-Żygadło, *Filmowy portret problemów społecznych w „czarnej serii" (1956–1958)*, IPN, Warszawa 2013, ss. 151.

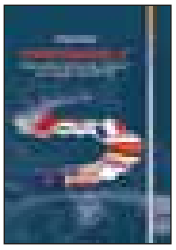

■ Patryk Pleskot, *Kłopotliwa panna „S". Postawy polityczne Zachodu wobec „Solidarności" na tle stosunków z PRL (1980–1989)*, IPN, Warszawa 2013, ss. 878.

■ *Pokolenia wolnej Polski* (seria „Z archiwów bezpieki – nieznane karty PRL"), red. Filip Musiał, Jarosław Szarek, IPN, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2012, ss. 163.

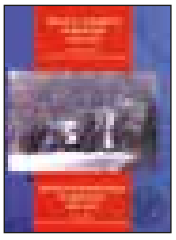

■ *Polscy uchodźcy w Rumunii 1939–1947. Dokumenty z Narodowych Archiwów Rumunii. Refugiații polonezi în România 1939–1947. Documente din Arhivele Naționale ale României*, IPN, Warszawa–Bukareszt 2013, t. 1, cz. 1, ss. 739 + ss. 32 wkł. zdj., t. 1., cz. 2., ss. 1576.

■ *Polskie Państwo Podziemne na Rzeszowszczyźnie 1939–1944/45*, IPN, Rzeszów 2012, ss. 72.

■ Krzysztof Sychowicz, *Władze komunistyczne wobec Kościołów i związków wyznaniowych w województwie białostockim w latach 1944–1975*, IPN, Białystok 2013, ss. 592 + wkł. zdjęciowa.

■ *Szkice z życia codziennego w Gdańsku w latach 1945–1989*, red. Grzegorz Berendt, Edmund Kizik, IPN, Gdańsk 2012, ss. 200.

■ *Tam też była „Solidarność". Małe ośrodki ruchu związkowego i ich rola w latach 1980–1990*, red. Anna Pyżewska, Marcin Zwolski, IPN, Białystok 2012, ss. 248

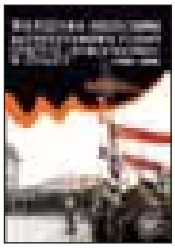

■ *Warszawa niezłomna. Antysystemowe formy opozycji i oporu społecznego w stolicy (1980–1989)*, red. Bartłomiej Noszczak, IPN, Warszawa 2013, ss. 512.

■ Marek Wierzbicki, *Ostatni Bunt. Młodzieżowa opozycja polityczna u schyłku PRL 1980–1990. Fakty, konteksty, interpretacje*, IPN, Lublin–Warszawa 2013, ss. 352.

■ *Z dziejów walk o niepodległość*, t. 2, red. Marek Gałęzowski, Sławomir Kalbarczyk, Jerzy Kirszak, IPN, Warszawa 2013, ss. 572.

Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
00-207 Warszawa, pl. Krasińskich 2/4/6

Publikacje IPN można nabyć:
w siedzibie IPN, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 8:30–16:00
tel. (22) 581 88 72
w Centrum Edukacyjnym IPN
im. Janusza Kurtyki PRZYSTANEK HISTORIA
ul. Marszałkowska 21/25, 00-625 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 10:00–18:00,
sobota w godz. 9:00–14:00,
tel. (22) 576 30 06

Prenumerata „Pamięci.pl"
Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl w zakładce Biblioteka Cyfrowa/Miesięcznik IPN Pamięć.pl

Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej

Sprzedaż wysyłkowa publikacji
zamówienia można składać telefonicznie: tel. (22) 431 82 92, (22) 431 82 88; (22) 431 82 89; fax (22) 431 82 91
pocztą zwykłą na adres Instytutu
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl; joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.poczytaj.pl

NAJNOWSZA GRA PLANSZOWA IPN

PREQUEL BESTSELLEROWEGO 303

JUŻ WE WRZEŚNIU!

111™

pamiec.pl/111

Gra „111" do kupienia w punktach sprzedaży IPN oraz w dobrych sklepach z grami planszowymi.